wolnelektury.pl

Karel Čapek
(tłum. Jacek Illg)

Inwazja jaszczurów

Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Publikacja sfinansowana z darowizn przekazanych na Wolne Lektury w ramach 1% za rok 2020.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

KAREL ČAPEK

Inwazja jaszczurów

TŁUM. JACEK ILLG

KSIĘGA PIERWSZA. ANDRIAS SCHEUCHZERI

1. Dziwactwa kapitana van Tocha

Gdybyście szukali na mapie wysepki Tana Masa, znaleźlibyście ją na równiku, nieco na zachód od Sumatry; ale gdybyście zapytali na pokładzie statku „Kandong Bandoeng" kapitana J. van Tocha, co to jest ta Tana Masa, przed którą właśnie zakotwiczył, przeklinałby przez chwilę, a potem powiedziałby wam, że to najohydniejsza dziura w całym Archipelagu Sundajskim, jeszcze bardziej obrzydliwa niż Tana Bala i co najmniej tak podła jak Pini albo Banjak; że jedynym, za przeproszeniem, człowiekiem, który tam żyje — nie licząc wszawych Bataków — jest wiecznie pijany agent handlowy, mieszaniec Kubanki i Portugalczyka, jeszcze większy złodziej, poganin i prosię niż każde z nich z osobna; i że jeśli jest na świecie coś przeklętego, to jest to przeklęte życie na tej przeklętej Tana Masa. Wówczas zapytalibyście go prawdopodobnie, dlaczego zatem zarzucił tu tę przeklętą kotwicę, jakby chciał tutaj zostać całe przeklęte trzy dni; a on zasapałby rozdrażniony i burczałby coś w tym sensie, że „Kandong Bandoeng" nie przypłynąłby tu tylko po tę przeklętą koprę albo olej palmowy, to oczywiste; a zresztą, nic panu do tego, mój panie, ja mam swoje przeklęte rozkazy, a pan niech będzie łaskaw pilnować swego nosa. I przeklinałby tak długo i siarczyście, jak przystało starszemu, ale jak na swój wiek jeszcze całkiem czerstwemu kapitanowi statku pełnomorskiego.

Lecz gdybyście zamiast zadawać wścibskie pytania pozwolili kapitanowi J. van Tochowi burczeć i złorzeczyć pod nosem, moglibyście dowiedzieć się więcej. Czyż nie widać po nim, że musi sobie ulżyć? Zostawcie go tylko w spokoju, a jego rozdrażnienie samo znajdzie sobie ujście.

— Patrz pan — palnął kapitan — ci faceci u nas w Amsterdamie, ci przeklęci Żydzi tam na górze przypomnieli sobie o perłach... „Niech się pan rozejrzy za jakimiś perłami. Ponoć ludzie szaleją teraz na punkcie pereł i w ogóle". — Kapitan splunął rozgoryczony. — Wiadomo, lokować ecie-pecie w perłach! To dlatego, że wam, ludziom, ciągle zachciewa się jakichś wojen albo czegoś. Boicie się o pieniądze, ot co. I to się nazywa kryzys, panie.

Kapitan van Toch wahał się przez chwilę, czy ma się z wami wdać w dyskusję o sprawach gospodarczych. Dzisiaj bowiem nie mówi się o niczym innym. Tylko że tutaj, w pobliżu Tana Masa jest na to zbyt gorąco i leniwie. Toteż kapitan van Toch machnął ręką i mruknął:

— Łatwo powiedzieć: perły! Panie, na Cejlonie nie ma już czego szukać przez najbliższe pięć lat, na Formosie zabronili połowów. „No to niech pan się postara, kapitanie van Toch, znaleźć nowe łowiska. Niech pan popłynie na te przeklęte wysepki, może tam znajdzie pan całe ławice perłopławów".

Kapitan z pogardą wysiąkał nos w jasnoniebieską chustkę.

— Te szczury w Europie wyobrażają sobie, że da się tu jeszcze znaleźć coś, o czym nikt nie wie! Chryste Panie, co to za kretyni! Dobrze, że nie chcą, żebym tym Batakom zaglądał do pysków, czy nie chowają tam pereł. Nowe łowiska! W Padangu jest nowy burdel, to tak, ale nowe łowiska? Panie, ja te wszystkie wyspy znam jak własne gacie... od Cejlonu aż po tę przeklętą Clipperton Island... Jeżeli ktoś myśli, że coś tu jeszcze znajdzie, na czym by można zarobić, to szczęśliwej podróży! Od trzydziestu lat tutaj pływam, a ci idioci oczekują, że coś tu odkryję! — Kapitan van Toch pienił się wprost na myśl o tych obraźliwych roszczeniach. — Niech tu poślą jakiegoś żółtodzioba, to im tyle odkryje, że będą mrugać oczami ze zdziwienia. Ale wymagać czegoś takiego od kogoś, kto zna ten rejon tak jak kapitan van Toch... Musi pan przyznać... W Europie może dałoby się jeszcze coś odkryć, ale tutaj... Tu przecież ludzie przyjeżdżają tylko po to, by węszyć, co się da zeżreć, a nawet nie zeżreć, tylko co się da kupić i sprzedać. Panie, gdyby w całych przeklętych tropikach było jeszcze coś, co by miało atrakcyjną cenę, stałoby przy tym trzech agentów, którzy machaliby zasmarkanymi chustkami do nosa na statki siedmiu krajów, żeby się zatrzymały. Tak to wygląda, mój panie. Znam to lepiej niż urząd kolonialny Jej Królewskiej Wysokości, za przeproszeniem.

Kolonializm, Interes, Handel

Kapitan van Toch z trudem starał się opanować gniew, co mu się w końcu, po dłuższym pomrukiwaniu udało.

— Widzi pan tych tam dwóch żałosnych próżniaków? To poławiacze pereł z Cejlonu, nie karz mnie Boże, Syngalezi, jak ich Pan Bóg stworzył; ale czemu to uczynił, nie wiem. Wożę toto ze sobą i jeśli znajdę gdzieś kawałek wybrzeża, na którym nie jest napisane „Agency" albo „Bat'a", albo „Urząd Celny", wpuszczam toto do wody, żeby szukało muszli. Ten mniejszy łajdak nurkuje aż na osiemdziesiąt metrów. Tutaj na Wyspach Książęcych znalazł na głębokości dziewięćdziesięciu metrów korbkę od kinematografu, ale perły... gdzież tam! Ani śladu! Nikczemna hołota ci Syngalezi. Więc taką przeklętą mam pracę, mój panie: udawać, że kupuję olej palmowy, a przy tym szukać nowych łowisk perłopławów. Może jeszcze zechcą, żebym odkrył jakiś nowy ląd, nie? To przecież nie jest zajęcie dla uczciwego kapitana statku handlowego. J. van Toch nie jest żadnym przeklętym poszukiwaczem przygód, mój panie, o nie!

Morze, Los, Kondycja ludzka

I tak dalej... Morze jest wielkie, a ocean czasu nie ma granic. Spluń do morza, człowieku, a ono się nie wzburzy, narzekaj na swój los, a nie zmienisz go ani trochę. No więc po wielu przygotowaniach i poruszaniu się po obrzeżach, dotarliśmy w końcu do miejsca, w którym kapitan holenderskiego statku „Kandong Bandoeng", J. van Toch, wzdychając i klnąc siarczyście, schodzi do łodzi, by wysiąść w *kampungu*[1] na Tana Masa i pertraktować z pijanym mieszańcem Portugalczyka i Kubanki na temat rozmaitych spraw handlowych.

— *Sorry, Captain* — powiedział w końcu ów mieszaniec — ale tu, na Tana Masa żadnych muszli nie ma. Ci brudni Batakowie — ciągnął z obrzydzeniem — żrą nawet meduzy. Więcej siedzą w wodzie niż na lądzie, kobiety cuchną rybami tak, że nawet pan sobie nie może wyobrazić... Co to ja chciałem powiedzieć? Aha, pytał pan o kobiety.

— A nie ma tu gdzieś kawałka brzegu, gdzie ci Batakowie nie włażą do wody?

Mieszaniec Portugalczyka i Kubanki pokręcił głową.

— Nie, panie. Chyba że Devil Bay, ale to nie dla pana.

— Dlaczego?

— Dlatego... że tam nikomu nie wolno chodzić, panie. Nalać panu, kapitanie?

— *Thanks*. Są tam rekiny?

— Rekiny... i w ogóle — mamrotał mieszaniec. — Złe miejsce, panie. Batakowie nie chcieliby tam nikogo widzieć.

— Czemu?

— ...tam są diabły, panie. Morskie diabły.

— Co to jest morski diabeł? Jakaś ryba?

— Żadna ryba — zaprzeczył wykrętnie mieszaniec. — Normalnie diabeł, panie. Podmorski diabeł. Batakowie mówią na niego *tapa*. One tam ponoć mają swoje miasto, te diabły. Mam panu nalać?

— A jak wygląda... ten morski diabeł?

Mieszaniec Kubanki z Portugalczykiem wzruszył ramionami.

— Jak diabeł, panie. Kiedyś go widziałem... to znaczy tylko jego głowę. Wracałem łodzią od strony Cape Haarlem... i nagle to coś wychyliło przede mną z wody taki łeb.

— No i? Do czego to jest podobne?

— Łeb ma... jak Batak, panie, ale całkiem łysy.

— Na pewno nie był to Batak?

— Nie, panie. Przecież w tym miejscu żaden Batak nie wejdzie do wody. A poza tym... to coś mrugało na mnie *dolnymi powiekami*. — Mieszaniec wzdrygnął się z przerażenia. — Dolnymi powiekami, które zasłaniają całe oko. To był *tapa*.

Kapitan J. van Toch obracał w grubych palcach szklankę z winem palmowym.

— A nie był pan pijany, co? Zalany pan nie był?

— Byłem, panie. Inaczej bym tamtędy nie płynął. Batakowie nie lubią, kiedy ktoś te diabły niepokoi.

Kapitan van Toch potrząsnął głową.

Szkoła, Nauka, Religia, Wiedza, Diabeł

— Człowieku, nie ma żadnych diabłów. A gdyby były, musiałyby wyglądać jak Europejczycy. To była pewnie jakaś ryba czy coś.

— Ryba! — obruszył się mieszaniec Portugalczyka i Kubanki. — Ryba nie ma rąk, panie. Ja nie jestem żadnym Batakiem, chodziłem do szkoły w Badjoeng... być może pamiętam jeszcze dziesięć przykazań i inne naukowo dowiedzione rzeczy. Wykształcony człowiek odróżni przecież diabła od zwierzęcia. Niech pan spyta Bataków.

— To są murzyńskie zabobony — oświadczył kapitan z jowialną wyższością człowieka wykształconego. — Naukowo rzecz biorąc, to jest bzdura. Diabeł nie może przecież żyć w wodzie. Co by tam robił? Nie możesz słuchać gadaniny tubylców, chłopcze. Ktoś nazwał tę zatokę Diabelską Zatoką i od tego czasu Batakowie się jej boją. Tak się sprawy mają — powiedział kapitan i uderzył grubą dłonią w stół. — Nic tam nie ma, chłopcze, to przecież jasna sprawa.

— Niby tak — zgodził się mieszaniec, który chodził do szkoły w Badjoeng — ale żaden rozumny człowiek nie ma czego szukać w Devil Bay.

Kapitan J. van Toch poczerwieniał.

— Co?! — wykrzyknął. — Ty brudny Kubańczyku, myślisz, że się przestraszę tych twoich diabłów? No to zobaczymy — powiedział, wstając w całej okazałości swych dwustu funtów. — Nie będę marnować tu z tobą mojego czasu, skoro mam na głowie interes. Ale pamiętaj o jednym: w holenderskich koloniach żadnych diabłów nie ma. Jeśli jacyś są, to we francuskich. Tam by mogli być. A teraz wołaj no mi tu naczelnika tego przeklętego *kampungu*.

Rzeczonego dostojnika nie trzeba było długo szukać. Siedział w kucki obok sklepiku mieszańca i żuł trzcinę cukrową. Był to nagi starszy pan, znacznie szczuplejszy niż bywają naczelnicy w Europie. W pewnej odległości za nim siedzieli w kucki wszyscy mieszkańcy wioski, łącznie z kobietami i dziećmi, prawdopodobnie sądząc, że będą filmowani.

— Posłuchaj, chłopcze — zagadnął kapitan van Toch po malajsku. (Mógł równie dobrze zwrócić się do niego po holendersku albo po angielsku, ponieważ czcigodny stary Batak nie znał ani słowa po malajsku i całą przemowę musiał tłumaczyć na język batacki mieszaniec Kubanki i Portugalczyka. Z jakichś powodów kapitan uważał jednak malajski za bardziej odpowiedni). — Posłuchaj więc, chłopcze, potrzebuję kilku dużych, silnych, odważnych mężczyzn, którzy poszliby ze mną na połów. Rozumiesz, na połów.

Mieszaniec to przetłumaczył, a naczelnik kiwał głową, że rozumie; po czym zwrócił się do szerszego audytorium i wygłosił do niego mowę, cieszącą się widocznym powodzeniem.

— Naczelnik mówi — tłumaczył mieszaniec — że cała wieś pójdzie z *tuanem* kapitanem na połów, dokąd tylko *tuan*[2] zechce.

— No widzisz. Powiedz im zatem, że pójdziemy łowić muszle w Devil Bay.

Nastąpiła mniej więcej piętnastominutowa gorączkowa dyskusja, w której uczestniczyła cała wioska, zwłaszcza stare kobiety. W końcu mieszaniec zwrócił się do kapitana:

— Mówią, że do Devil Bay iść nie można.

Kapitan poczerwieniał.

— A czemu nie?

Mieszaniec wzruszył ramionami.

— Bo tam są *tapa-tapa*. Diabły, panie.

Kapitan zaczął przybierać barwę fioletową.

— Powiedz im, że jak nie pójdą... to im wybiję wszystkie zęby... pourywam uszy... powieszę... i spalę ten zawszony *kampung*, rozumiesz?

Mieszaniec rzetelnie to przetłumaczył, po czym znowu nastąpiła ożywiona dyskusja. Po niej mieszaniec zwrócił się do kapitana:

— Mówią, że pójdą do Padangu poskarżyć się na policji, że im *tuan* groził. Na to są ponoć paragrafy. Naczelnik mówi, że tego tak nie zostawi.

Kapitan J. van Toch zaczął sinieć.

— To mu powiedz — wrzasnął — że jest... — I mówił jednym tchem dobrych jedenaście minut.

Mieszaniec przetłumaczył na tyle, na ile pozwalał mu zasób słów; a po nowej, długiej wprawdzie, ale rzeczowej naradzie Bataków tłumaczył kapitanowi:

— Mówią, panie, że byliby skłonni odstąpić od ścigania na drodze sądowej, o ile *tuan* kapitan zapłaci karę na ręce miejscowych władz. Chcą... — zawahał się — dwieście rupii, ale to trochę za dużo. Niech im pan zaproponuje pięć.

Twarz kapitana van Tocha pokryła się brunatnymi plamami. Najpierw zaproponował wymordowanie wszystkich Bataków na świecie, potem ograniczył się do trzystu kopniaków, a w końcu zadowoliłby się tym, że wypcha naczelnika na użytek muzeum kolonialnego w Amsterdamie. Batakowie z kolei zeszli z dwustu rupii na żelazną pompę z kołem, a w końcu obstawali przy tym, żeby kapitan dał naczelnikowi tytułem kary benzynową zapalniczkę.

— Niech pan im to da — doradzał mieszaniec Kubanki i Portugalczyka. — Mam trzy zapalniczki na składzie, ale bez knotów.

W ten sposób przywrócony został pokój na Tana Masa. Kapitan J. van Toch wiedział jednak, że teraz gra idzie o prestiż białej rasy.

Po południu od holenderskiego statku „Kandong Bandoeng" odbiła łódź, w której znajdowali się: kapitan van Toch, Szwed Jensen, Islandczyk Gudmundson, Fin Gillemainen i dwaj syngalescy poławiacze pereł. Łódź skierowała się prosto do zatoki Devil Bay.

O godzinie trzeciej, w porze największego odpływu, kapitan stanął na lądzie, łódź krążyła jakieś sto metrów od brzegu, żeby mieć na oku rekiny, a obaj syngalescy nurkowie czekali z nożami w ręce na znak, by skoczyć do wody.

— No, to teraz ty! — rozkazał kapitan temu wyższemu golasowi. Syngalez wskoczył do wody, brodził w niej kilka kroków, a potem zniknął. Kapitan spojrzał na zegarek.

Po czterech minutach i dwudziestu sekundach jakieś sześćdziesiąt metrów na lewo wynurzyła się brązowa głowa. Z dziwnym, rozpaczliwym i jakby konwulsyjnym pośpiechem wdrapywał się Syngalez na skały, w jednej ręce trzymając nóż do odcinania muszli, a w drugiej muszlę perłopława.

Kapitan spochmurniał.

— No, co jest? — zapytał ostro.

Syngalez wciąż jeszcze ślizgał się na kamieniach, jęcząc głośno z przerażenia.

— Co się stało?! — krzyknął kapitan.

— *Sahib… sahib*[3] — wykrztusił z siebie Syngalez i ciężko dysząc, upadł na brzegu. — *Sahib, sahib*...

— Rekiny?

— *Djins*[4] — zajęczał Syngalez. — Diabły, panie! Tysiące, tysiące diabłów! — Pocierał sobie pięściami oczy. — Same diabły, panie!

— Pokaż tę muszlę — rozkazał kapitan i otwarł ją nożem. Była w niej mała czysta perełka. — Więcej ich nie znalazłeś?

Syngalez wyjął jeszcze trzy muszle z woreczka, który miał zawieszony na szyi.

— Są tam muszle, panie, ale te diabły ich pilnują... Patrzyły na mnie, gdy je odcinałem... — Jego kędzierzawe włosy zjeżyły się z przerażenia. — *Sahib*, tutaj nie!

Kapitan otworzył muszle; dwie były puste, a w trzeciej znajdowała się perła wielkości grochu, okrągła jak kropla rtęci. Kapitan spoglądał to na perłę, to na Syngaleza leżącego na ziemi.

— Ty — odezwał się z wahaniem — nie skoczyłbyś tam jeszcze raz?

Syngalez bez słowa pokręcił głową.

Kapitan van Toch miał wielką ochotę go skląć, ale ku swemu zdziwieniu stwierdził, że mówi cicho i niemal łagodnie:

— Nie bój się, chłopcze. A jak wyglądają te... diabły?

— Jak małe dzieci — wykrztusił Syngalez. — Mają ogon i są takie wysokie — ukazał mniej więcej metr dwadzieścia od ziemi. — Stały koło mnie i patrzyły, co tam robię... Otoczyły mnie... — Syngalez zaczął się trząść. — *Sahib*, *sahib*, nie tutaj!

Kapitan van Toch rozmyślał.

— I co, mrugają dolnymi powiekami, czy jak?

— Nie wiem, panie — chrypiał Syngalez. — Jest ich tam... dziesięć tysięcy!

Kapitan rozejrzał się za drugim Syngalezem. Ten stał jakieś sto pięćdziesiąt metrów dalej i czekał obojętnie z założonymi rękami. To prawda, gdy człowiek jest nagi, nie ma

co zrobić z rękami, jak tylko założyć je na piersiach. Kapitan skinął na niego bez słowa i drobny Syngalez skoczył do wody. Po trzech minutach i pięćdziesięciu sekundach wynurzył się, usiłując chwycić się skał śliskimi rękami.

— Wyłaź! — krzyknął kapitan, ale potem spojrzał uważniej i rzucił się w fale ku tym rozpaczliwie wymachującym rękom. Człowiek by nie uwierzył, że takie cielsko potrafi tak skakać. W ostatniej chwili chwycił jedną rękę i sapiąc, wyciągnął Syngaleza z wody. Potem położył go na kamieniu i ocierał pot. Syngalez leżał bez ruchu; miał jeden goleń otarty do kości, najwidoczniej o kamień, ale poza tym był cały. Kapitan uniósł mu powiekę; widać było tylko bielma oczu postawionych w słup. Nie miał muszli ani noża.

W tej chwili łódź z załogą podpłynęła bliżej brzegu.

— Panie — wołał Szwed Jansen — tu są rekiny. Będzie pan łowił dalej?

— Nie. Podpłyńcie tu i zabierzcie tych dwóch.

— Niech pan spojrzy, jak tu się nagle robi płytko — zwrócił uwagę Jensen, gdy wracali na statek. — To idzie stąd prosto aż do brzegu — pokazywał, uderzając wiosłem o wodę. — Jakby pod wodą była jakaś tama.

Dopiero na statku młody Syngalez doszedł do siebie; siedział z kolanami pod brodą i trząsł się na całym ciele. Kapitan odesłał ludzi i usiadł w szerokim rozkroku.

— No to gadaj — powiedział. — Co tam widziałeś?

— *Dżinny*, *sahib* — szeptał mały Syngalez; teraz zaczęły mu drgać powieki i całe ciało pokryło się gęsią skórką.

Kapitan van Toch zabulgotał.

— A jak wyglądały?

— Jak... jak...

W oczach Syngaleza znowu zaczął się ukazywać skrawek bielma. Kapitan van Toch z zaskakującą szybkością grzbietem dłoni uderzył go w oba policzki, żeby oprzytomniał.

— *Thanks, sahib* — odetchnął mały Syngalez i w bielmie jego oczu znowu ukazały się źrenice.

— Już dobrze?

— Tak, *sahib*.

— Były tam muszle?

— Tak, *sahib*.

Kapitan van Toch kontynuował krzyżowy ogień pytań z niemałą cierpliwością i precyzją. Tak, są tam diabły. Ile? Tysiące i tysiące. Są wielkości mniej więcej dziesięcioletniego dziecka, panie, i niemal całkiem czarne. Pływają w wodzie, a po dnie chodzą na dwóch nogach. Na dwóch, *sahib*, jak pan czy ja, ale kołyszą przy tym ciałem, o tak, ciągle, o tak... Tak, panie, mają też ręce, jak ludzie. Nie, nie mają żadnych pazurów, raczej takie jakby dziecięce ręce. Nie, *sahib*, nie mają rogów ani sierści. Tak, mają ogon, podobny trochę do rybiego, ale bez płetwy ogonowej. I dużą głowę, okrągłą, jak Batakowie. Nie, nic nie mówiły, tylko jakby mlaskały. Gdy Syngalez odcinał muszlę na głębokości jakichś szesnastu metrów, poczuł na plecach dotyk jakby małych, zimnych palców. Obejrzał się i zobaczył, że dokoła były ich setki. Setki, pływających i stojących na kamieniach, i wszystkie patrzyły, co tam Syngalez robi. Wtedy upuścił nóż i muszlę i starał się wypłynąć na powierzchnię. Wpadł przy tym na kilka diabłów, które płynęły nad nim, a co było potem, tego już nie wie.

Diabeł, Potwór, Obcy, Strach

Kapitan van Toch patrzył zamyślony na trzęsącego się małego nurka. „Ten chłopiec już nigdy się na nic nie przyda — pomyślał — wyślę go z Padangu do domu, na Cejlon". Mrucząc i sapiąc, poszedł do swej kabiny. Wysypał z papierowej torebki na stół dwie perły. Jedna była malutka jak ziarnko piasku, a druga wielkości grochu, lśniąca srebrzyście z delikatnym odcieniem różu. Kapitan holenderskiego statku parsknął i wyjął z szafki butelkę irlandzkiej whisky.

Przed szóstą kazał się znowu zawieźć łodzią do *kampungu* i udał się prosto do owego mieszańca Kubanki i Portugalczyka.

— *Toddy*[5] — powiedział, i to było jedyne słowo, które padło z jego ust. Siedział potem na werandzie z falistej blachy, trzymał w grubych palcach szklankę z grubego szkła i pił, i spluwał, i łypał spod krzaczastych brwi na żółte wychudzone kurki, które bóg wie co dziobały na brudnym i udeptanym podwórku pośród palm. Mieszaniec nie kwapił się, by

cokolwiek powiedzieć, tylko nalewał. Oczy kapitana pomału nabiegały krwią, a jego palce poruszały się niezręcznie. Zapadał już zmierzch, kiedy wstał i podciągnął sobie spodnie.

— Idzie pan już spać, kapitanie? — zapytał grzecznie mieszaniec czarta z diabłem.

Kapitan dźgnął palcem w powietrze.

— Gdyby były na świecie jakieś diabły, których jeszcze nie znam — powiedział — chciałbym je zobaczyć. Ty, gdzie jest ten przeklęty północny zachód?

— Tam — wskazał mieszaniec. — Dokąd pan idzie?

— Do piekła — zarechotał kapitan van Toch. — Popatrzeć na Devil Bay.

Od tego wieczora zaczęły się dziwactwa kapitana van Tocha. Wrócił do *kampungu* dopiero o świcie; nie odezwał się ani słowem i kazał się zawieźć na statek, gdzie zamknął się w kabinie aż do wieczora. To jeszcze nikogo nie dziwiło, „Kandong Bandoeng" musiał jeszcze załadować wiele dobrodziejstw wyspy Tana Masa (koprę, pieprz, kamforę, gutaperkę, olej palmowy, tytoń i siłę roboczą). Lecz gdy wieczorem zameldowano mu, że cały towar został załadowany, zasapał tylko i powiedział:

— Łódź! Do *kampungu*!

I wrócił dopiero o świcie. Szwed Jensen, który pomagał mu wejść na pokład, przez grzeczność tylko spytał:

— Wyruszamy dzisiaj, panie kapitanie?

Kapitan odwrócił się, jakby ten dźgnął go w plecy.

— A co ci do tego? — odgryzł się. — Pilnuj swoich cholernych spraw!

Cały dzień „Kandong Badoeng" stał bezczynnie na kotwicy w odległości jednej mili morskiej od brzegów Tana Masa. Z nastaniem wieczora kapitan wynurzył się ze swej kabiny i rozkazał:

— Łódź! Do *kampungu*!

Mały Grek Zapatis patrzył w ślad za nim jednym okiem ślepym, a drugim zezowatym.

— Chłopaki — zapiał — albo nasz stary ma tam dziewczynę, albo całkiem zwariował!

Szwed Jensen spochmurniał.

— Co ci do tego? — odciął się Zapatisowi. — Pilnuj swoich cholernych spraw!

Potem z Islandczykiem Gudmundsonem wzięli małą łódkę i popłynęli w kierunku Devil Bay. Ukryli łódź za skałami i czekali, co się stanie. Zobaczyli kapitana spacerującego na brzegu w zatoce. Wyglądało, jakby na kogoś czekał. Od czasu do czasu zatrzymywał się i wołał coś jakby „ts-ts-ts".

— Spójrz — powiedział Gudmundson, wskazując na morze, teraz lśniąco czerwone i złote od zachodzącego słońca. Jensen naliczył dwie, trzy, cztery, sześć ostrych jak miecz płetw grzbietowych, które ciągnęły do Devil Bay.

— *Herr Gott*! — wymamrotał Jensen. — Ileż tu rekinów!

Miecze co chwilę zanurzały się w morzu, w powietrzu migały ogony i woda burzyła się gwałtownie. W pewnym momencie kapitan van Toch zaczął wściekle podskakiwać na brzegu, miotając przekleństwa i wygrażając rekinom pięściami. Potem nastał krótki tropikalny zmierzch i nad wyspą wszedł księżyc. Jensen poruszył wiosłami i łódka zbliżyła się do brzegu na odległość zaledwie jednego furlonga[6]. Kapitan siedział na skale i robił „ts-ts-ts". Coś się koło niego poruszało, ale nie dało się rozpoznać, co to takiego.

„Wyglądają jak foki — pomyślał Jensen — ale foki poruszają się inaczej". Wynurzały się z wody między skałami i dreptały na brzegu, kołysząc się jak pingwiny. Jensen cicho zanurzył w wodzie wiosła i zatrzymał łódkę w odległości pół furlonga od kapitana. Tak, kapitan coś mówił, ale co, tego by nawet sam diabeł nie zrozumiał, najprawdopodobniej po malajsku albo tamilsku. Machał rękami, jakby coś rzucał tym fokom (ale to nie są foki, utwierdził się w swym przekonaniu Jensen), a przy tym gadał coś po chińsku czy malajsku. W tej chwili uniesione wiosło wysunęło się Jensenowi z ręki i z pluskiem wpadło do wody.

Kapitan podniósł głowę, wstał i podszedł jakieś trzydzieści kroków ku wodzie. Naraz ciemności przeszyły błyski i strzały. Kapitan palił z browninga w kierunku łodzi. Niemal równocześnie w zatoce zaszumiało, zawirowało, zapluskało, jakby tysiąc fok skakało do wody. Jensen i Gudmundson chwycili za wiosła i popłynęli co sił za najbliższy załom

skalny. Wróciwszy na statek, nie powiedzieli nikomu ani słowa. Ludzie Północy potrafią przecież milczeć jak grób. Nad ranem wrócił kapitan; był ponury i wściekły, ale on też nie odezwał się słowem. Tylko kiedy Jensen pomagał mu wejść na pokład, spotkały się zimne i badawcze spojrzenia dwóch par niebieskich oczu.

— Jensen! — powiedział kapitan.

— Słucham, panie kapitanie.

— Dziś odpływamy.

— Tak jest, panie kapitanie.

I tyle.

Tego dnia „Kandong Bandoeng" odpłynął do Padangu. Stamtąd wysłał kapitan van Toch swemu Towarzystwu w Amsterdamie paczuszkę ubezpieczoną na tysiąc dwieście funtów szterlingów. I równocześnie telegraficznie prośbę o roczny urlop. Ważne przyczyny zdrowotne i tak dalej. Potem pokrążył po Padangu, aż znalazł osobę, której szukał. Był to dzikus z Borneo, Dajak, którego czasem wynajmowali angielscy podróżnicy jako łowcę rekinów, robiąc sobie z tego widowisko; ponieważ Dajak pracował jeszcze po staremu, uzbrojony jedynie w długi nóż. Był to prawdopodobnie ludożerca, ale miał ustaloną stawkę: pięć funtów za rekina, plus wyżywienie. Wyglądał przerażająco — na obu rękach, na piersiach i na udach miał skórę zdartą przez rekiny, a nos i uszy ozdobione rekinimi zębami. Mówiono na niego Shark.

Z tym Dajakiem kapitan van Toch udał się na wyspę Tana Masa.

2. Pan Golombek i pan Valenta[7]

Było upalne lato, typowa dziennikarska kanikuła, gdy absolutnie nic się nie dzieje, gdy zamiera życie polityczne, a sytuację w Europie cechuje stagnacja. A przecież i w tym czasie czytelnicy gazet, umierający z nudów na brzegach wód albo w rzadkim cieniu drzew, zdemoralizowani upałem, przyrodą, wiejskim spokojem i w ogóle zdrowym, prostym życiem na wakacjach, czekają z codziennie niespełnioną nadzieją, że przynajmniej w gazetach będzie coś nowego i orzeźwiającego, jakieś morderstwo albo wojna, albo trzęsienie ziemi, krótko mówiąc: Coś. A nie znajdując tego, ciskają nimi i oświadczają z rozgoryczeniem, że w tych gazetach niczego nie ma, w ogóle nie zasługują na to, żeby je czytać, i że już nie będą ich prenumerować.

W redakcji siedziało pięciu albo sześciu osamotnionych ludzi, pozostali koledzy byli na urlopie, gdzie rozgoryczeni ciskali gazetami i skarżyli się, że teraz w tych gazetach nic, dosłownie Nic nie ma.

Z zecerni wyszedł metrampaż[8] i powiedział z wyrzutem:

— Panowie, panowie, nie mam jeszcze na jutro wstępniaka.

— To niech pan tam da... ten artykuł... o sytuacji gospodarczej w Bułgarii — zaproponował jeden z samotnych panów.

Metrampaż ciężko westchnął:

— Ale kto to będzie czytać, panie redaktorze? Znowu w całym numerze nie będzie Nic do Czytania.

Sześciu osamotnionych panów wzniosło oczy do sufitu, jakby tam można było znaleźć Coś do Czytania.

— Ach, żeby tak Coś się wydarzyło — rzucił jeden z nich niewyraźnie.

— Albo gdyby mieć... jakiś... ciekawy reportaż — dorzucił drugi.

— O czym?

— Tego nie wiem.

— Albo wymyślić jakąś nową witaminę — mruknął trzeci.

— Teraz, w lecie? — zaoponował czwarty. — Człowieku, witaminy to jest odległy temat, to pasuje raczej na jesień.

— Jezu, co za upał — ziewnął piąty. — Powinno to być coś z rejonów polarnych.

— Ale co?

— Coś takiego jak pisał ten Eskimos Welzl[9]. Odmrożone palce, wieczne lody i takie historie.

— Łatwo powiedzieć — stwierdził szósty. — Ale skąd to wziąć?

W redakcji zapanowała beznadziejna cisza.

— Byłem w niedzielę w Jevíčku... — odezwał się z wahaniem metrampaż.

— No i...

— Podobno spędza tam urlop jakiś kapitan Vantoch. Ponoć urodził się w tym Jevíčku.

— Jaki Vantoch?

— Taki grubas. Niby jest kapitanem żeglugi morskiej, ten Vantoch. Ludzie mówili, że łowił gdzieś perły.

Pan Golombek spojrzał na pana Valentę.

— A gdzie je łowił?

— Na Sumatrze i na Celebes... w ogóle gdzieś w tamtych stronach. Ponoć spędził tam trzydzieści lat.

— Człowieku, to jest pomysł — stwierdził Valenta. — To mógłby być świetny reportaż. Pojedziemy tam, Golombku?

— Możemy spróbować — odparł Golombek, zsuwając się z biurka, na którym siedział.

— To tamten pan — powiedział oberżysta w Jevíčku.

W ogródku przy stole siedział w szerokim rozkroku gruby jegomość w białej czapce, pił piwo i w zamyśleniu wodził grubym palcem wskazującym po stole. Obaj panowie skierowali się ku niemu.

— Redaktor Valenta.

— Redaktor Golombek.

Grubas podniósł oczy.

— *What*? Co?

— Jestem redaktor Valenta.

— A ja redaktor Golombek.

Tęgi pan podniósł się z godnością.

— *Captain* van Toch. *Very glad*. Siadajcie, chłopcy.

Obaj panowie chętnie usiedli i położyli przed sobą notatniki.

— Czego się napijecie, chłopcy?

— Lemoniady — powiedział Valenta.

— Lemoniady? — powtórzył kapitan z niedowierzaniem. — A czemuż to? Panie starszy, niech im pan przyniesie piwo. A czego wy właściwie chcecie? — spytał, opierając się łokciami o stół.

— Czy to prawda, proszę pana, że pan się tutaj urodził?

— *Yeah*, urodziłem się tu.

— A jak pan trafił na morze?

— *Via* Hamburg.

— A od jak dawna jest pan kapitanem?

— Od dwudziestu lat, chłopcze. Papiery mam tutaj — powiedział, klepiąc się po kieszeni na piersiach. — Mogę pokazać.

Golombek chciał zobaczyć, jak wyglądają kapitańskie papiery, ale poskromił tę chęć.

— To przez te dwadzieścia lat poznał pan kawał świata, nie?

— *Yeah*, niezły kawał.

— A co, na przykład?

— Jawę, Borneo, Filipiny, Wyspy Fidżi, Wyspy Salomona, Karoliny, Samoa, *damned* Clipperton Island. *A lot of damned islands*[10], chłopcze. A czemu pytasz?

— Tak tylko... bo to ciekawe. Chętnie usłyszelibyśmy od pana coś więcej.

— *Yeah*. Czyli tak tylko, co? — Kapitan utkwił w nich swe bladoniebieskie oczy. — Więc jesteście z *police*, znaczy z policji?

— Nie, panie kapitanie, jesteśmy z gazety.

— Ach tak, z gazety. *Reporters*, co? No to piszcie: *Captain* J. van Toch, kapitan statku „Kandong Bandoeng"...

— Jak?

— „Kandong Bandoeng". Port Surabaja. Cel podróży: *vacances* — jak to się powie?

— Urlop.

— *Yeah*, psiakrew, urlop. No to napiszcie w tej gazetce, kto przypłynął. A teraz już schowajcie ten notes, młodzieńcy. *Your health*!

— Panie Vantochu, przyjechaliśmy do pana, żeby nam pan opowiedział coś ze swego życia.

— A po co?

— Napiszemy o tym w gazecie. Ludzi to bardzo interesuje, kiedy czytają o dalekich wyspach i o tym, co tam przeżył ich rodak, Czech, ziomek z Jevíčka.

Kapitan pokiwał głową.

— To prawda. Jestem, chłopcze, jedyny *Captain* z całego Jevíčka. To się zgadza. Ponoć pochodzi stąd jeszcze jeden kapitan od... od... tych łódek spacerowych, ale ja myślę, że to nie jest prawdziwy *Captain*. To się mierzy według tonażu, wiesz?

— A jaki tonaż miał pański statek?

— Dwanaście tysięcy ton, młodzieńcze.

— To był pan wielkim kapitanem, prawda?

— *Yeah*, wielkim — odparł kapitan z godnością. — Chłopcy, macie pieniądze?

Obaj panowie popatrzyli na siebie trochę niepewnie.

— Mamy, ale mało. Potrzebuje pan, kapitanie?

— *Yeah*, potrzebowałbym.

— No to widzi pan. Będzie nam pan dużo opowiadać, my to spiszemy dla gazety, a pan dostanie za to pieniądze.

— Ile?

— Może nawet i... tysiąc — szczodrze wycenił Golombek.

— *Pounds of sterling*?

— Nie, tylko koron.

Kapitan van Toch pokręcił głową.

— Eee, to szkoda zachodu. Tyle to i ja mam, młodzieńcze. — Wyłowił z kieszeni spodni gruby plik banknotów. — Widzisz? — Potem oparł się łokciami o stół i nachylił się do obu panów. — Panowie, miałbym dla was *big business*. Jak to się powie?

— Duży interes.

— *Yeah*. Duży interes. Ale musielibyście mi dać piętnaście... nie, poczekajcie... piętnaście, szesnaście milionów koron. Więc jak?

Obaj panowie znowu spojrzeli na siebie niepewnie. Redaktorzy mają różne doświadczenia z wszelkimi rodzajami wariatów, oszustów i wynalazców.

— Poczekajcie — powiedział kapitan — coś wam pokażę. Pogrzebał grubymi palcami w kieszonce kamizelki, wyciągnął z niej coś i położył na stole. Było to pięć różowych pereł wielkości pestek czereśni. — Znacie się na perłach?

— Ile to może być warte? — westchnął głęboko Valenta.

— *Yeah, lots of money*, chłopcze. Ale ja je noszę tylko... do pokazania, jako wzór. Więc jak, wchodzicie w to? — zapytał kapitan, wyciągając do nich nad stołem swą szeroką dłoń.

Golombek westchnął.

— Panie Vantochu, tyle pieniędzy...

— *Halt*! — przerwał mu kapitan. — Ja wiem, ty mnie nie znasz, ale spytaj o *Captain* van Tocha w Surabaja, w Batawii, w Padangu albo gdzie tylko chcesz. Idź i zapytaj, a każdy ci powie: „*Yeah, Captain van Toch, he is as good as his word*[11]".

— Panie Vantochu, my panu wierzymy — zaprotestował pan Golombek — ale...

— Poczekaj — przykazał kapitan. — Nie chcesz dać swoich ślicznych pieniążków ot tak. To ci się chwali, chłopcze. Ale ty je dasz na statek, *see*? Ty kupisz ten statek, ty będziesz *ship-owner* i możesz na nim pływać. *Yeah*, możesz, żebyś widział, jak nim dowodzę w twoim imieniu. Ale pieniądze, które tam zarobimy, dzielimy *fifty-fifty*. To jest uczciwy *business*, nie?

— Ale panie Vantochu — wykrztusił wreszcie pan Golombek nieco przygnębiony — przecież my nie mamy takich pieniędzy!

— *Yeah*, to co innego — powiedział kapitan. — *Sorry*. Ale w takim razie nie wiem, panowie, po co do mnie przyszliście.

— Żeby nam pan opowiadał, kapitanie. Pan przecież musiał mieć tyle różnych przygód.

— A miałem, chłopcze. Miałem sporo cholernych przygód.

— Przeżył pan kiedyś katastrofę statku?

— *What*? Że niby *ship-wrecking*? A, to nie. Co ty sobie myślisz! Jeśli dasz mi dobry statek, nic mu się nie może stać. Możesz spytać w Amsterdamie o moje *references*. Idź i zapytaj.

— A tubylcy? Poznał pan tam jakichś tubylców?

Kapitan van Toch potrząsnął głową.

— O tym nie będę opowiadać. To się nie nadaje dla kulturalnych ludzi.

— To proszę opowiedzieć o czymś innym.

— *Yeah*, opowiedzieć — burknął kapitan nieufnie. — A wy to potem sprzedacie jakiejś *Company*, a ta pośle tam swoje statki. Ja ci powiem, *my lad*[12], ludzie to wielcy złodzieje. A najwięksi złodzieje to są ci *bankers* w Colombo.

— Bywał pan często w Colombo?

— *Yeah*, często. W Bangkoku też i w Manili. Młodzieńcy — rzekł nagle — wiem o pewnym statku. Bardzo zgrabnym i za niewielkie pieniądze. Stoi w Rotterdamie. Pojedźcie go obejrzeć. Przecież Rotterdam to tu zaraz — pokazał palcem przez ramię. — Teraz statki są strasznie tanie, chłopcy. Jak stare żelastwo. A ten ma tylko sześć lat i silnik Diesla. Chcecie go zobaczyć?

— Nie możemy, panie Vantochu.

— Dziwni z was ludzie — westchnął kapitan i wysmarkał się głośno do niebieskiej chustki. — A nie znacie tu kogoś, kto chciałby kupić statek?

— Tutaj, w Jevíčku?

— *Yeah*, tutaj albo w okolicy. Ja bym chciał, żeby ten wielki interes przyszedł tu, do *my country*.

— To bardzo ładnie z pana strony, kapitanie.

— *Yeah*. Ci inni to zbyt wielcy złodzieje. I nie mają pieniędzy. Wy, dziennikarze, musicie znać tych nadzianych ludzi, takich *bankers* i *ship-owners*, jak się powie... właścicieli statków?

— Armatorów. Niestety, nie znamy, panie Vantochu.

— Szkoda — zmartwił się kapitan.

Golombek coś sobie przypomniał.

— Nie zna pan przypadkiem pana Bondego?

— Bondy? Bondy? — zastanawiał się kapitan van Toch. — Czekaj, czekaj, to nazwisko coś mi mówi. Bondy. *Yeah*, w Londynie jest Bond Street i tam mieszkają bardzo bogaci ludzie. Czy on tam nie ma jakiegoś interesu na tej Bond Street, ten pan Bondy?

— Nie, on mieszka w Pradze, ale urodził się chyba tu, w Jevíčku.

— A do diaska! — kapitan zahuczał radośnie. — Masz rację, chłopcze. To ten, co miał na rynku sklep z materiałami. *Yeah*, Bondy... jak on miał na imię? Max. Max Bondy. To on ma teraz interes w Pradze?

— Nie, to był chyba jego ojciec. Ten jest G. H. Prezes G. H. Bondy, kapitanie.

— G. H. — kręcił głową kapitan. — Tu nie było żadnego G. H. Chyba żeby to był Gustl Bondy, ale on nie był żadnym prezesem. Gustl był takim piegowatym Żydkiem. To nie może być on.

— To będzie on, panie Vantochu. Przecież nie widział go pan tyle lat.

— *Yeah*, masz rację — przyznał kapitan. — Czterdzieści lat, chłopcze. To możliwe, że ten Gustl już będzie duży. A kim on jest?

— Prezesem zarządu firmy MEAS. Wie pan, to ta wielka fabryka kotłów i tego typu rzeczy. No i prezesem ze dwudziestu spółek i karteli. Wielkie z niego panisko, panie Vantochu. Nazywają go kapitanem naszego przemysłu.

— Kapitanem — zdziwił się *Captain* van Toch. — A więc nie jestem jedynym kapitanem z Jevíčka! Psiakrew, to ten Gustl też jest *Captain*. No to muszę się z nim spotkać. A czy on ma pieniądze?

— Jeszcze ile! Mnóstwo pieniędzy, panie Vantochu. Na bank będzie miał kilkaset milionów. To najbogatszy człowiek u nas.

Kapitan van Toch spoważniał.

— I też *Captain*. Dziękuję ci, chłopcze. Popłynę do niego, do tego Bondego. *Yeah*, Gustl Bondy, *I know*. Taki Żydek z niego był. A teraz to jest *Captain* G. H. Bondy. *Yeah*, *yeah*, jak ten czas leci — westchnął melancholijnie.

— Panie kapitanie, my już musimy iść, żeby nam nie uciekł wieczorny pociąg.

— Odprowadzę was do portu — powiedział kapitan i zaczął się zbierać. — Bardzo się cieszę, że przyjechaliście, panowie. Znam jednego redaktora w Surabaja, dobry chłop, *yeah, a good friend of mine*. Straszny moczymorda, młodzieńcy. Gdybyście chcieli, załatwiłbym wam pracę w gazecie w Surabaja. Nie? No, jak chcecie.

Kiedy już pociąg nabierał rozpędu, kapitan van Toch machał ogromną niebieską chusteczką. Wypadła mu przy tym do piasku jedna duża, nieregularna perła. Perła, której nikt nigdy nie znalazł.

3. G. H. Bondy i jego krajan

Jak wiadomo, im większy pan, tym mniej ma napisane na tabliczce na swych drzwiach. Taki stary pan Max Bondy w Jevíčku musiał mieć nad sklepem po obu stronach drzwi i na oknach wymalowane wielkimi literami, że tu jest firma Max Bondy, handel wszelkiego rodzaju galanterią, wyprawy ślubne, płótna, ręczniki, ścierki, obrusy i narzuty, perkale i korty, sukna, jedwabie, zasłony, lambrekiny, artykuły pasmanteryjne i rozmaite dodatki krawieckie. Założono w 1885 roku. Jego syn, G. H. Bondy, kapitan przemysłu, prezes firmy MEAS, radca handlowy, doradca giełdowy, wiceprzewodniczący Związku Przemysłowców, *Consulado de la Republica Ecuador*[13], członek wielu zarządów itd., itp., ma na swoim domu malutką, czarną, szklaną tabliczkę ze złotym napisem:

BONDY

Nic więcej. Tylko Bondy. Niech inni piszą sobie na drzwiach: Julius Bondy, przedstawiciel firmy General Motors albo Dr med. Ervin Bondy, albo S. Bondy i sp., ale jest tylko jeden jedyny Bondy, który jest po prostu Bondym, bez żadnych bliższych szczegółów. (Myślę, że papież ma na swych drzwiach napisane zwyczajnie „Pius", bez żadnego tytułu ani liczby. A Bóg nie ma żadnej tabliczki w niebie ani na ziemi. Musisz, człowieku, sam się zorientować, że On tu mieszka. Ale to nie należy do głównego wątku i zostało poruszone jedynie mimochodem).

Pewnego upalnego dnia przed tą szklaną tabliczką zatrzymał się mężczyzna w białej marynarskiej czapce, wycierając sobie niebieską chustką potężny kark. „Niezła chałupa" — pomyślał i trochę niepewnie nacisnął mosiężny guzik dzwonka.

W drzwiach pojawił się odźwierny Povondra, zmierzył wzrokiem grubego pana od butów aż po złoty otok na czapce i powiedział z rezerwą:

— Słucham pana?

— Chłopcze — odezwał się kapitan — czy tu mieszka niejaki pan Bondy?

— A czego pan sobie życzy? — zapytał chłodno Povondra.

— Proszę mu powiedzieć, że chciałby z nim rozmawiać *Captain* J. van Toch z Surabaja. *Yeah* — przypomniał sobie — oto moja wizytówka. — I podał Povondrze bilecik, na którym wytłoczona była kotwica i wydrukowane imię i nazwisko:

CAPTAIN VAN TOCH
E. I. & P. L. Co S. Kandong Bandoeng
Surabaya Naval Club

Povondra pochylił głowę i wahał się. „Mam mu powiedzieć, że pana Bondego nie ma w domu? Albo że jest mi przykro, ale pan Bondy ma właśnie teraz ważną konferencję?". Są wizyty, które trzeba oznajmić, i inne, które dobry odźwierny załatwia sam. Povondra miał przykre uczucie, że zawodzi go instynkt, którym kierował się w takich przypadkach. Ten tęgi jegomość wymykał się zwykłej klasyfikacji niezapowiedzianych gości, nie wydawał się być ani przedstawicielem handlowym, ani funkcjonariuszem towarzystwa dobroczynnego. Tymczasem kapitan van Toch sapał i wycierał sobie chustką łysinę, a przy tym prostodusznie mrugał bladoniebieskimi oczami. Povondra postanowił nagle wziąć na siebie całą odpowiedzialność.

— Proszę wejść — powiedział — zaanonsuję pana u pana radcy.

Kapitan J. van Toch rozglądał się po holu, wycierając czoło niebieską chustką. „Psiakrew, ale ma tu ten Gustl urządzone! Przecież to wygląda jak *saloon* na tych *shipach*, które pływają z Rotterdamu do Batawii. Musiało to kosztować masę pieniędzy. A taki to był piegowaty Żydek" — dziwił się kapitan.

Tymczasem G. H. Bondy w zamyśleniu oglądał w swym gabinecie wizytówkę kapitana.

— Czego tu chce? — zapytał podejrzliwie.

— Za przeproszeniem, nie wiem — odpowiedział szczerze Povondra.

Pan Bondy wciąż trzymał w ręce wizytówkę. Wytłoczona kotwica okrętowa. *Captain* J. van Toch, Surabaja. Gdzie właściwie jest Surabaja? Czy to nie gdzieś na Jawie? Pan Bondy poczuł tchnienie dali. „Kandong Bandoeng" brzmi jak uderzenia gongu. Surabaja. A dziś akurat jest taki tropikalny dzień. Surabaja.

— No to niech pan go wprowadzi — polecił pan Bondy.

W drzwiach stanął potężny mężczyzna w kapitańskiej czapce i zasalutował, czym sprawił G. H. Bondemu przyjemność.

— *Very glad to meet you, Captain. Please, come in*[14].

— Cześć, siemanko, panie Bondy! — zawołał radośnie Captain.

— Jest pan Czechem? — zdziwił się pan Bondy.

— *Yeah*, Czechem. Przecież my się znamy, panie Bondy. Z Jevíčka. Sklep z artykułami sypkimi Vantoch, *do you remember*?

— Prawda, prawda — ucieszył się głośno G. H. Bondy, czując jednak przy tym pewne rozczarowanie. („Więc on nie jest Holendrem!"). — Handel artykułami sypkimi na rynku, tak? Wcale się pan nie zmienił, panie Vantochu! Wciąż taki sam! To co, jak panu idzie interes?

— *Thanks* — odparł kapitan uprzejmie. — Tatuś już dawno odszedł, jak to się mówi...?

— Umarł? Ale, ale! Prawda, pan musi być jego synem... — Oczy pana Bondego ożyły nagłym wspomnieniem. — Chłopie drogi, czy pan nie jest tym Vantochem, który bił się ze mną, kiedy byliśmy chłopcami?

— *Yeah*, to będę ja, panie Bondy — przyznał kapitan z powagą. — Przecież z tego powodu wysłali mnie z domu do Morawskiej Ostrawy.

— Często się praliśmy. Ale pan był silniejszy ode mnie — przyznał uczciwie pan Bondy.

— To fakt. Był pan takim słabym Żydkiem, panie Bondy. I często dostawał pan po dupie, oj często.

— Dostawałem, to prawda — przyznał G. H. Bondy poruszony. — Niech pan siada, krajanie! To miło, że sobie pan o mnie przypomniał. A skąd pan się tu wziął?

Kapitan van Toch rozsiadł się z godnością na skórzanym fotelu i położył czapkę na podłodze.

— Spędzam tu urlop. *That's so*.

— Pamięta pan — zanurzał się we wspomnieniach pan Bondy — jak pan za mną krzyczał: „Żydzie, Żydzie, czart po ciebie przyjdzie"?

— *Yeah* — odparł kapitan i zatrąbił z przejęciem w niebieską chusteczkę. — Ech, to były piękne czasy, chłopcze. Ale czas płynie i one już nie wrócą. Teraz obaj jesteśmy starzy.

— Prawda, jest pan kapitanem — przypomniał sobie pan Bondy. — Kto by pomyślał! *Captain of Long Distances*[15], tak się to mówi, nie?

— *Yeah, sir. A highseaer. East India and Pacific Lines, sir*[16].

— Piękny zawód — westchnął pan Bondy. — Z miejsca bym się z panem zamienił, kapitanie. Musi mi pan o sobie opowiedzieć.

— O, tak — ożywił się kapitan. — Chciałbym panu o czymś opowiedzieć, panie Bondy. O bardzo ciekawej sprawie, młodzieńcze. — Kapitan van Toch rozejrzał się niespokojnie.

— Szuka pan czegoś, kapitanie?

— *Yeah*. Nie pijesz pan piwa, panie Bondy? Od wyjazdu z Surabaja męczy mnie straszne pragnienie. — Kapitan zaczął grzebać w obszernej kieszeni spodni i wyjął niebieską chusteczkę, płócienny woreczek z nieznaną zawartością, woreczek z tytoniem, nóż, kompas i plik banknotów. — Posłałbym kogoś po piwo. Może tego stewarta, który przyprowadził mnie do tej kabiny.

Pan Bondy zadzwonił.

— Proszę zostawić to mnie, kapitanie. Niech pan tymczasem zapali cygaro.

Kapitan wziął do ręki cygaro z czerwonym i złotym paskiem i powąchał je.

— To tytoń z Lombok. Ależ tam są straszni złodzieje, szkoda gadać. — Po czym ku przerażeniu pana Bondego zgniótł drogocenne cygaro w potężnej dłoni i wsypał tytoniową miazgę do lulki. — *Yeah*, Lombok. Albo Sumbawa.

Tymczasem w drzwiach bezszelestnie zjawił się Povondra.

— Proszę przynieść jakieś piwo — polecił pan Bondy.

Povondra uniósł brwi.

— Piwo? A ile?

— A choćby i cały galon — mruknął kapitan i wdeptał w dywan wypaloną zapałkę. — W Adenie było potwornie gorąco, chłopcze. Więc ja mam takie nowinki, panie Bondy. Z *Sunda Islands, see*? Jest tam do zrobienia bajeczny interes. *A big business*. Ale to bym musiał opowiedzieć całą, jak to się mówi, *story*, nie?

— Opowieść.

— *Yeah*, taką opowiastkę, panie. Zaraz, zaraz. — Kapitan zwrócił ku górze swe oczy koloru niezapominajek. — Nie wiem, od czego zacząć.

(„Znowu jakiś handel — pomyślał G. H. Bondy. — Boże, co za nuda! Będzie opowiadać, że mógłby wozić maszyny do szycia na Tasmanię albo kotły parowe i szpilki na Fidżi. Bajeczny interes, ja wiem. Do tego według pana się nadaję. Do diabła, ja nie jestem żadnym sklepikarzem! Ja jestem fantastą. Ja jestem na swój sposób poetą. Opowiadaj mi, żeglarzu Sindbadzie, o Surabaja albo o Wyspach Feniks. Nie przyciągnęła cię Magnetyczna góra, nie porwał cię do swego gniazda ptak ognisty? Nie powracasz z ładunkiem pereł, cynamonu i bezoaru? No to, człowieku, zacznij łgać!").

— Więc zacząłbym od tych szczurów — odezwał się kapitan.

— Od jakich szczurów? — zdziwił się radca handlowy Bondy.

— No od tych... jak się to powie...*lizards*.

— Jaszczurów?

— *Yeah*, psia mać, jaszczurów. Tam są takie jaszczury, panie Bondy.

— Gdzie?

— Na takiej jednej wyspie. Nie mogę podać jej nazwy, chłopcze. To jest bardzo wielki *secret, worth of millions*. — Kapitan van Toch otarł chustką czoło. — Do cholery, gdzie to piwo?

— Zaraz będzie, kapitanie.

— No dobra. Żeby pan wiedział, panie Bondy, to są bardzo miłe i dobre zwierzęta, te jaszczury. Ja je znam, chłopcze. — Kapitan uderzył gwałtownie dłonią w stół. — I kłamstwem jest, że to są diabły. *A damned lie, sir*. To już prędzej pan jest diabłem i ja jestem diabłem, ja, *Captain* van Toch. Może mi pan wierzyć.

G. H. Bondy przestraszył się. „Delirium — powiedział do siebie. — Gdzie ten przeklęty Povondra?".

— Jest ich tam kilka tysięcy, tych jaszczurów, ale one je strasznie pożerały, cholera, te... jak one się tu nazywają... *sharks*.

— Rekiny?

— *Yeah*, rekiny. Dlatego te jaszczury są takie rzadkie, panie Bondy, żyją tylko w tym jednym miejscu, w tej zatoce, której nazwy nie mogę wymienić.

— To znaczy, że te jaszczury żyją w morzu?

— *Yeah*, w morzu. Tylko w nocy wychodzą na brzeg, ale po chwili muszą wracać do wody.

— A jak wyglądają? — (Bondy starał się zyskać na czasie, zanim wróci ten przeklęty Povondra).

— No, są wielkości fok, ale gdy drepczą na tylnych łapach, są tej wysokości — pokazywał kapitan. — Nie powiem, żeby były ładne. Nie mają na sobie żadnych łupek.

— Łusek?

— *Yeah*, łusek. Są całkiem gołe, panie Bondy, jak jakieś żaby albo takie te *salamanders*. A ich przednie łapki są jak dziecięce rączki, ale mają tylko cztery palce. Takie biedactwa — dodał kapitan współczująco. — Lecz to bardzo mądre i miłe zwierzęta, panie Bondy. — Kapitan kucnął i zaczął przestępować z nogi na nogę, kołysząc się przy tym. — Tak się poruszają te jaszczury.

Kapitan usiłował wprowadzić swe potężne cielsko w ruch falisty. Trzymał przy tym ręce przed sobą, jak siedzący na dwóch łapach i proszący pies, utkwiwszy w panu Bondym swe oczy koloru niezapominajek, które jakby błagały o sympatię. G. H. Bondy był tym głęboko wstrząśnięty i poniekąd zawstydzony. Na to wszystko w drzwiach pojawił się cicho Povondra z dzbankiem piwa i zgorszony uniósł brwi, patrząc na nieprzystojne zachowanie kapitana.

— Proszę postawić tu to piwo i wyjść — warknął pan Bondy.

Kapitan podniósł się, sapiąc.

— Takie to są te zwierzątka, panie Bondy. *Your health*! — powiedział i pociągnął spory łyk. — Piwo tu masz dobre, chłopcze. No, ale jak się ma taki dom... — Kapitan otarł sobie wąsy.

— A jak pan znalazł te jaszczury, kapitanie?

— To jest właśnie ta opowiastka, panie Bondy. Zaczęło się od tego, że łowiłem perły na Tana Masa... — Kapitan przerwał na chwilę. — Albo gdzieś tam. *Yeah*, to była jakaś inna wyspa, ale to jest na razie mój *secret*, młodzieńcze. Ludzie to straszni złodzieje i człowiek musi uważać na to, co mówi. I kiedy ci dwaj przeklęci *Singhales* odcinali pod wodą *shells* z perłami...

— Muszle?

— *Yeah*. Te muszle, co się trzymają kamieni tak mocno, jak silna jest żydowska wiara, i trzeba je odciąć nożem. No i wtedy te jaszczury przyglądały się tym *Singhales*, a ci myśleli, że to są morskie diabły. To bardzo prymitywny lud, ci *Singhales* i *Bataks*. Gadali, że ponoć tam są diabły. *Yeah*. — Kapitan wydmuchał głośno nos w chustkę. — Nie dało mi to, człowieku, spokoju. Nie wiem, czy to tylko my, Czesi, jesteśmy takim ciekawskim narodem, ale gdziekolwiek spotkałem naszego rodaka, wszędzie musiał we wszystko wetknąć nos, żeby niby poznać, co się za tym kryje. Myślę, że to się bierze stąd, że my, Czesi, nie chcemy w nic wierzyć. Więc wbiłem sobie do mej starej, głupiej łepetyny, że muszę się tym diabłom bliżej przyjrzeć. Swoją drogą byłem też pijany, to prawda, ale to dlatego, że wciąż miałem w głowie te głupie diabły. Tam na dole, na *equator*[17], wszystko jest możliwe, człowieku. Więc poszedłem wieczorem rozejrzeć się w tej Devil Bay...

Pan Bondy próbował sobie wyobrazić tropikalną zatokę otoczoną skałami i dżunglą.

— No i?

— Usiadłem tam i robiłem „ts-ts-ts", żeby te diabły przyszły. I po chwili wyszedł z morza jeden taki jaszczur, stanął na tylnych łapach i zaczął kręcić całym ciałem. I syczał na mnie „ts-ts-ts". Gdybym nie był pijany, to bym może do niego strzelił. Ale ja byłem, przyjacielu, nawalony jak Anglik, więc powiedziałem: „Chodź no tu, chodź, *tapa-boy*, nie zrobię ci nic złego".

— Mówił pan do niego po czesku?

— Nie, po malajsku. Tam się najczęściej mówi *malayan*, chłopcze. On nic, tylko przestępuje z łapy na łapę i kręci się, jak dziecko, kiedy się wstydzi. A dokoła w wodzie były setki tych jaszczurów, wystawiały z wody pyski i patrzyły na mnie. A ja, ponieważ byłem pijany, przyznaję, kucnąłem i zacząłem się kręcić jak ten jaszczur, żeby się mnie nie bały. A potem wylazł z wody drugi jaszczur, wielkości dziesięcioletniego chłopca, i też zaczął tak dreptać. A w przedniej łapie trzymał muszlę perłopława. — Kapitan się napił. — Na zdrowie, panie Bondy! Prawda, byłem mocno pijany, więc powiadam do niego: „Ty cwaniaku, ty chcesz, żebym to ja otworzył tę muszlę? To chodź, ja ci ją mogę otworzyć nożem". Ale on nic, wciąż nie miał odwagi. Zacząłem więc znowu tak się kręcić, jak bym był małą dziewczynką, która się kogoś wstydzi. Na to on przydreptał bliżej, a ja wyciągnąłem do niego powoli rękę i wziąłem tę muszlę z jego łapy. Prawdą jest, że baliśmy się obaj, może pan sobie wyobrazić, panie Bondy. Ale ja byłem pijany, to fakt. Wziąłem więc mój nóż i otworzyłem muszlę. Pomacałem palcem, czy nie ma tam perły,

ale nie było jej, tylko te obrzydliwe gluty, ten śluzowaty *mollusk*[18], który w tych muszlach żyje. „Masz — powiedziałem — „ts-ts-ts, zeżryj to sobie, jeśli chcesz". I rzuciłem mu tę otwartą muszlę. Zdziwiłbyś się, chłopcze, jak on ją wylizał. To musi być dla tych jaszczurów ogromny *titbit*, jak to się mówi?

— Przysmak.

— *Yeah*, przysmak. Tylko że te małe biedaki nie mogą się dostać do twardych muszli tymi swoimi paluszkami. Mają ciężkie życie. — Kapitan się napił. — Ja sobie to potem przeanalizowałem, młodzieńcze. Kiedy te jaszczury zobaczyły, że ci *Singhales* odcinają te małże, powiedziały sobie: „aha, to oni je jedzą" i chciały podpatrzeć, jak *Singhales* będą je otwierać. Taki *Singhales* w wodzie przypomina trochę jaszczura, ale jaszczur jest mądrzejszy niż *Singhales* albo Batak, bo chce się czegoś nauczyć. A Batak nigdy niczego się nie nauczy, tylko złodziejstwa — dodał kapitan van Toch rozgoryczony. — I kiedy robiłem na tym brzegu „ts-ts-ts" i kręciłem się jak jaszczur, pomyślały sobie, że jestem może jakimś wielkim jaszczurem. Dlatego nawet nie bardzo się bały i przyszły do mnie, żebym im otwierał te muszle. Takie to są mądre i ufne zwierzęta. — Kapitan van Toch zaczerwienił się. — Kiedy je bliżej poznałem, panie Bondy, rozbierałem się do naga, żeby być do nich bardziej podobnym, takim golasem żebym był. Ale one się dziwiły, że mam takie owłosione piersi i te inne rzeczy. — Kapitan otarł chustką poczerwieniały kark. — Czy ja pana nie nudzę zbyt długą opowieścią, panie Bondy?

G. H. Bondy był oczarowany.

— Nie, nie. Niech pan opowiada dalej, kapitanie.

— Skoro tak, mogę opowiadać. Gdy ten jaszczur wylizywał muszlę, inne patrzyły na to i wychodziły na brzeg. Niektóre też miały muszle w łapkach... to trochę dziwne, że potrafiły je oderwać od tych *cliffs* takimi dziecinnymi łapkami bez pazurów. Przez chwilę się wstydziły, a potem pozwoliły zabrać sobie z łapek te muszle. Po prawdzie nie we wszystkich muszlach były perły, w niektórych samo paskudztwo, te fałszywe ostrygi i tak dalej, ale te wrzucałem do wody i mówiłem: „To nie, dzieci, to nie jest nic nie warte, tego wam nożem otwierać nie będę". Lecz jeśli to była muszla perłopława, otwierałem ją i sprawdzałem, czy jest w niej perła. A potem dawałem im te muszle do wylizania. W pewnym momencie siedziało wokół mnie kilkaset tych *lizards* i patrzyły, jak ja to otwieram. A niektóre same próbowały to robić, starając się rozdziawić muszle leżącymi tam skorupkami. Zdziwiło mnie to, chłopcze. Żadne zwierzę nie umie posługiwać się *instruments*. Bądź co bądź, zwierzę to tylko część przyrody. Co prawda, w Builtenzorg widziałem małpę, która potrafiła otworzyć nożem taką *tin*, puszkę z konserwą. Ale małpa to nie jest normalne zwierzę, panie. Tak że mnie to zdziwiło. — Kapitan się napił. — Tamtej nocy, panie Bondy, znalazłem w tych *shells* jakichś osiemnaście pereł. Mniejszych i większych, a trzy były wielkości pestki, panie Bondy. — Kapitan van Toch pokiwał głową z powagą. — Kiedy rano wracałem na statek, mówiłem sobie: „*Captain* van Toch, to ci się tylko wydawało, sir, byłeś pijany" i tak dalej. Ale po cóż takie gadanie, skoro tutaj, w tej kieszonce miałem tamtych osiemnaście pereł. *Yeah*.

— To najlepsza historia — westchnął pan Bondy — jaką w życiu słyszałem.

— Więc widzisz, chłopcze — powiedział kapitan z zadowoleniem. — W ciągu dnia wszystko sobie przemyślałem. Ja będę te jaszczury... tresować, nie? *Yeah*, tresować i ćwiczyć, a one będą mi przynosić te *pearl-shells*. Musi tam być mnóstwo muszli, w tej Devil Bay. Więc następnego wieczoru poszedłem tam znowu, tylko trochę wcześniej. Gdy słońce zaczęło zachodzić, te jaszczury wystawiały z wody swoje pyszczki, tu i tam, wszędzie było ich pełno. Siedziałem na brzegu i robiłem „ts-ts-ts". Nagle widzę... rekin, tylko płetwa wystaje z wody. Potem zakotłowało się w wodzie i jednego jaszczura nie było. Naliczyłem dwanaście rekinów ciągnących o zachodzie słońca do tej Devil Bay. Panie Bondy, te potwory w ciągu jednego wieczora pożarły przeszło dwadzieścia moich jaszczurów — wykrztusił kapitan i wysmarkał się ze złością. — *Yeah*, przeszło dwadzieścia! To jasne, że taki goły jaszczur tymi swoimi łapkami nie obroni się przed nimi. Płakać mi się chciało, kiedy na to patrzyłem. Musiałbyś to widzieć, chłopcze...

Kapitan się zamyślił.

— Bo widzisz, człowieku, ja bardzo lubię zwierzęta — odezwał się w końcu i podniósł błękitne oczy na G. H. Bondego. — Nie wiem, jak pan się na to zapatruje, *Captain* Bondy?

Pan Bondy przytaknął na znak zgody.

— To dobrze — ucieszył się kapitan van Toch. — One są bardzo dobre i mądre, te *tapa-boys*. Kiedy człowiek coś do nich mówi, uważają jak pies słuchający swego pana. A najbardziej rozczulają mnie te ich dziecinne rączki. Wiesz, chłopcze, jestem stary chłop i żadnej rodziny nie mam... *Yeah*, stary człowiek jest bardzo samotny — ciągnął kapitan, starając się opanować wzruszenie. — Strasznie miłe są te jaszczury, nie ma co mówić. Żeby tylko te rekiny ich tak nie pożerały! Gdy rzucałem w nie, znaczy się w te *sharks*, kamieniami, *tapa-boys też zaczęły rzucać*. Nie dasz temu wiary, panie Bondy. Co prawda, daleko nie dorzuciły, bo mają bardzo krótkie łapki. Ale to dziwne, człowieku. „Skoro takie jesteście sprytne — powiadam — spróbujcie moim nożem otworzyć jakąś muszlę". I położyłem nóż na ziemi. One się chwilę zbierały na odwagę, a potem jeden z nich spróbował, wciskając ostrze noża między skorupy. „Musisz podważyć — powiadam — podważyć, *see*? Obrócić nożem w ten sposób i gotowe". I on wciąż próbował, aż w końcu trzasnęło i muszla się otworzyła. „No widzisz — powiadam. — To wcale nie takie trudne. Skoro potrafi to taki poganin Batak albo Syngalez, to *tapa-boy* by nie umiał?". Ja przecież tym jaszczurkom nie będę mówić, że to fantastyczny *marvel* i cud, kiedy takie zwierzę potrafi to zrobić. Ale teraz mogę to powiedzieć. Byłem... byłem... no, kompletnie *thunderstruck*.

— Jak rażony gromem — podpowiedział pan Bondy.

— *Yeah, right*. Jak rażony gromem. Tak mi to chodziło po głowie, że zostałem tam jeszcze jeden dzień. I wieczorem znowu popłynąłem do tej Devil Bay i znów patrzyłem, jak te *sharks* pożerają moje jaszczury. Tej nocy poprzysiągłem sobie, że tego tak nie zostawię. Im też dałem słowo honoru, panie Bondy. „*Tapa-boys,* Captain *J. van Toch obiecuje wam pod tymi strasznymi gwiazdami, że wam pomoże*".

4. Przedsiębiorstwo handlowe kapitana van Tocha

Gdy kapitan van Toch o tym opowiadał, zjeżyły mu się włosy z tyłu głowy ze wzruszenia i podekscytowania.

— No więc to właśnie przysiągłem. Od tego czasu, chłopcze, nie miałem chwili spokoju. W Padangu wziąłem urlop i posłałem tym Żydom w Amsterdamie sto pięćdziesiąt siedem pereł, wszystko, co mi te zwierzątka przyniosły. Potem znalazłem takiego gościa, Dajaka i *shark-killera*, który zabija te rekiny nożem w wodzie. Potworny złodziej i zabójca. Popłynąłem z nim taką małą łodzią trampową z powrotem na Tana Masa i powiedziałem mu: „A teraz, chłopie, będziesz tu swym nożem zabijać rekiny". Chciałem, żeby wybił te *sharks*, żeby zostawiły w spokoju moje jaszczury. On był taki morderca i poganin, ten Dajak, że nic sobie nie robił także z tych *tapa-boys*. Diabeł, nie diabeł... było mu wszystko jedno. A ja tymczasem przeprowadzałem na tych *lizards observations* i *experiments*. O, proszę, mam taką książkę okrętową, w której codziennie to zapisywałem.

— Którego dziś mamy? Prawda, dwudziestego piątego czerwca. Więc na przykład dwudziestego piątego czerwca zeszłego roku. *Yeah*, tutaj. „Dajak zabił rekina. *Lizards* bardzo interesują się jego ścierwem. Toby...". Toby to był taki mniejszy jaszczurek, ale bardzo sprytny — wyjaśniał kapitan. — Musiałem im nadać różne imiona, wiesz, żebym mógł pisać o nich w tej książce. No więc „Toby wsadzał palce do dziury od noża. Wieczorem przynosiły mi suche gałęzie na ognisko". Eee, to nic ciekawego — mruknął kapitan. — Znajdę jakiś inny dzień. Na przykład dwudziestego czerwca, dobrze? *Lizards* budowały tę... tę... jak to się nazywa...*jetty*?

— Tamę, nie?

— *Yeah*, tamę. Taką *dam*. Budowały więc tę nową tamę na północno-zachodnim końcu Devil Bay. Człowieku, to było fantastyczne dzieło. Gotowy *breakwater*.

— Falochron?

— *Yeah*. One na tej stronie znosiły jajeczka i chciały tam mieć spokojną wodę. Same to wymyśliły, że zrobią tam taką *dam*. Ale ja ci powiem, że żaden urzędnik ani inżynier z Waterstaat w Amsterdamie nie zrobiłby lepszego projektu takiej podwodnej tamy. Szalenie zmyślna robota, tylko że woda im to podmywała. One wygrzebują pod wodą

takie głębokie dziury ciągnące się aż do brzegu i w tych dziurach za dnia przesiadują. Niezwykle sprytne zwierzęta, całkiem jak *beavers*.

— Bobry.

— *Yeah*, te wielkie myszy, co potrafią budować tamy na rzece. One tam, w tej Devil Bay, miały mnóstwo tych tam i tamek, takich pięknych równych *dams*, tak że wyglądało to niczym jakieś miasto. Miały zamiar postawić tamę przez całą Devil Bay. Tak właśnie... „Już potrafią odwalać kamienie za pomocą lewarka — czytał dalej. — Albertowi...", to był jeden *tapa-boy*, „...zmiażdżyło przy tym dwa palce... Dwudziestego pierwszego: Dajak zeżarł Alberta! Ale było mu po nim niedobrze. Piętnaście kropli opium. Obiecał, że już więcej tego nie zrobi. Padało cały dzień... Trzydziestego czerwca: *Lizards* budowały dalej tamę. Toby nie chce pracować". Panie, to był dopiero spryciarz — wyjaśniał kapitan z podziwem. — A spryciarze nigdy nie chcą nic robić. On zaś ciągle coś majstrował, ten Toby. Szkoda gadać, wśród jaszczurów też są duże różnice... „Trzeciego lipca: Sergeant dostał nóż". To był duży, silny jaszczur, ten Sergeant. I bardzo zdolny, proszę pana... „Siódmego lipca: Sergeant zabił tym nożem jedną *cuttle-fish*". To taka ryba, która ma w sobie to brązowe gówno.

— Sepia?

— *Yeah*, to będzie ona... „Dziesiątego lipca: Sergeant zabił nożem wielką *jelly-fish*[19]". To z kolei taki galaretowaty potwór, a parzy jak pokrzywa. Szkaradne zwierzę... A teraz uwaga, panie Bondy... Trzynastego lipca. Podkreśliłem to sobie. „Sergeant zabił tym nożem małego rekina. Waga siedemdziesiąt funtów...". Tutaj to mam, panie Bondy — uroczyście oświadczył kapitan van Toch. — Tu mam to napisane czarno na białym. To był wielki dzień, chłopcze. Dokładnie trzynastego lipca zeszłego roku. — Kapitan zamknął notes. — Ja się tego nie wstydzę, panie Bondy, ja tam na brzegu tej Devil Bay uklęknąłem na oba kolana i płakałem z radości. Wtedy już wiedziałem, że moje *tapa-boys* się nie dadzą. Ten Sergeant dostał za to piękny nowy harpun. Harpun to najlepsza rzecz do łowienia rekinów, chłopcze. I mówię mu: „*Be a man*, Sergeant, i pokaż tym *tapa-boys*, że mogą się bronić". Człowieku! — wykrzyknął kapitan, podskoczył i w uniesieniu walnął pięścią w blat biurka — wiesz, że po trzech dniach pływały tam ogromne martwe rekiny, *full of gashes*, jak się to powie?

— Całe poranione?

— *Yeah*, same dziury od tego harpuna. — Kapitan napił się, aż zabulgotało. — Tak to wygląda, panie Bondy. Dopiero wówczas zawarłem z tymi *tapa-boys*... coś jakby umowę. To znaczy, dałem im słowo, że jeśli przyniosą mi muszle perłopławów, dam im za nie harpuny i noże, żeby się mogły bronić, *see*? To jest uczciwy *business*, panie Bondy. Co tu dużo gadać, człowiek powinien być uczciwy również wobec zwierząt. Dałem im też jakieś drewno. I dwie żelazne *wheelbarrows*...

— Taczki... Wózki.

— *Yeah*. Takie taczki. Żeby mogły wozić kamienie na tamę. Te biedactwa musiały wszystko nosić w tych swoich łapkach, wiesz? No, masę rzeczy dostały. Nie chciałbym ich oszukać, co to, to nie. Poczekaj, chłopcze, coś ci pokażę.

Kapitan van Toch uniósł sobie jedną ręką brzuch, a drugą wyłowił z kieszeni spodni płócienny woreczek.

— Tutaj je mam — powiedział i wysypał jego zawartość na stół. Było to około tysiąca pereł różnej wielkości: drobne jak ziarenka piasku, większe, wielkości grochu, a kilka nawet wielkości czereśni, doskonałe perły w kształcie kropli, perły barokowe o nieregularnych kształtach, perły srebrzyste, niebieskie, cielisto żółtawe, wpadające w czerń i różowe. G. H. Bondy był oszołomiony. Nie mógł się powstrzymać, musiał w nich grzebać, toczyć je koniuszkami palców, przykrywać obiema dłońmi.

— Są piękne — westchnął z zachwytem. — Kapitanie, to jest jak sen.

— *Yeah* — rzekł kapitan beznamiętnie. — Są naprawdę piękne. A tych rekinów jaszczury zabiły chyba ze trzydzieści w ciągu tego roku, kiedy tam z nimi byłem. Mam to tu napisane — powiedział, stukając się w kieszonkę na piersiach. — Bo też tych noży im dałem że ho, ho... i pięć harpunów. Mnie te noże kosztują prawie dwa dolary amerykańskie *a piece*, czyli za sztukę. Bardzo dobre noże, chłopcze, ze stali, której nie bierze żaden *rust*.

— Rdza.

— *Yeah*. Bo to mają być podwodne noże, do użytku w morzu. A ci Batakowie też mnie kosztowali kupę pieniędzy.

— Jacy Batakowie?

— No ci tubylcy na wyspie. Oni wierzą w to, że te *tapa-boys* są diabłami, i strasznie się ich boją. A kiedy widzieli, że ja z tymi diabłami rozmawiam, chcieli mnie autentycznie zabić. Całymi nocami walili w takie dzwony, żeby odegnać te diabły od swojego *kampungu*. Okropny hałas robili. A potem co rano chcieli, żebym im za to dzwonienie płacił. Za tę pracę, którą w to włożyli. Szkoda gadać, ci Batakowie są strasznymi złodziejami. Ale z tymi *tapa-boys*, z tymi jaszczurami można by zrobić uczciwy biznes. Bardzo dobry interes, panie Bondy.

G. H. Bondy czuł się jak w bajce.

— Kupować od nich perły?

— *Yeah*. Tylko że w Devil Bay już żadnych pereł nie ma, a na innych wyspach nie ma żadnych *tapa-boys*. W tym cały problem, młodzieńcze. — Kapitan van Toch triumfalnie wydął policzki. — To jest właśnie ten wielki interes, który sam wymyśliłem. Chłopcze — rzekł, przeszywając powietrze grubym palcem — przecież tych jaszczurów mnóstwo przybyło od tego czasu, gdy się za nimi ująłem! One się teraz mogą bronić, *you see*? *Eh*? I wciąż ich będzie przybywać! No tak czy nie, panie Bondy? Czy nie byłby to bajeczny interes?

— Tylko że ja wciąż nie rozumiem... — odparł G. H. Bondy niepewnie — ...o co panu właściwie chodzi, kapitanie?

— No, żeby przewozić te *tapa-boys* na inne perłowe wyspy — wyrzucił z siebie wreszcie kapitan. — Zaobserwowałem, że te jaszczury nie mogą się same przedostać przez pełne, głębokie morze. One potrafią przez chwilę płynąć, a potem chwilę dreptać po dnie, ale na dużej głębokości jest dla nich zbyt duże ciśnienie. One są bardzo miękkie, wiesz? Ale gdybym miał statek, na którym można by dla nich zrobić taki *tank*, taki zbiornik na wodę, mógłbym je rozwozić, dokąd bym chciał, *see*? I one by tam szukały pereł, a ja bym do nich jeździł i dowoziłbym im noże i harpuny i inne potrzebne rzeczy. Te biedactwa tak się w tej Devil Bay roz... rozprosiły, nie?

— Rozmnożyły.

— *Yeah*, tak się rozmnożyły, że już tam nie będą miały co jeść. One jedzą takie mniejsze rybki i *molluscs*, i różne wodne owady. Ale mogą też jeść ziemniaki i suchary, i takie zwyczajne rzeczy. Więc można by je karmić w takich *tanks* na statku. A ja bym je w odpowiednich miejscach, gdzie nie ma dużo ludzi, wypuszczał do wody i urządził tam takie... takie *farms* dla tych moich jaszczurów. Bo ja bym chciał, żeby te zwierzątka mogły się jakoś wyżywić. One są bardzo miłe i mądre, panie Bondy. Jak je pan zobaczy, powie pan: „*Hello, Captain*, ma pan pożyteczne zwierzątka". *Yeah*. Ludzie teraz oszaleli na punkcie pereł, panie Bondy. To jest ten wielki *business*, który wymyśliłem.

G. H. Bondy był zakłopotany.

— Bardzo mi przykro, kapitanie — zaczął z wahaniem — ale ja... naprawdę nie wiem...

Błękitne oczy kapitana van Tocha zaszkliły się łzami.

— To niedobrze, chłopcze. Ja bym ci zostawił te wszystkie perły jako... jako *guaranty* na ten statek, ale sam go kupić nie mogę. Wiem o bardzo zgrabnym statku w Rotterdamie... z silnikiem Diesla...

— Czemu nie zaproponował pan tego interesu komuś w Holandii?

Kapitan pokręcił głową.

— Znam tych ludzi, chłopcze. Z nimi nie mogę o tym rozmawiać... Ja bym mógł wozić tym statkiem także inne rzeczy, wszelkie możliwe *goods*, i sprzedawałbym je na tych wyspach. *Yeah*, mógłbym to robić. Mam tam masę znajomości, panie Bondy. A przy tym mógłbym mieć na tym statku *tanks* dla moich jaszczurów.

— Można by się nad tym zastanowić — rozmyślał G. H. Bondy. — Bo też przypadkowo... No tak, musimy szukać nowych rynków dla naszego przemysłu. Przypadkiem rozmawiałem o tym niedawno z paroma ludźmi. Chciałbym kupić dwa statki, jeden dla Ameryki Południowej, a drugi dla tych wschodnich regionów.

Kapitan ożywił się.

— To się panu chwali, sir. Statki są teraz strasznie tanie, może pan wykupić cały port.

Kapitan van Toch zabrał się do technicznego wykładu, gdzie i jak można kupić *vessels* i *boats* i *tank steamers*. G. H. Bondy nie słuchał go, tylko obserwował. G. H. Bondy znał się na ludziach. Ani przez chwilę nie brał poważnie jaszczurów kapitana van Tocha, ale sam kapitan zasługiwał na jego uwagę. Uczciwy, bez wątpienia. I zna układy tam na dole. Wariat, owszem. Ale niezwykle sympatyczny. W sercu G. H. Bondego zadrgała jakaś fantastyczna struna. Statki z perłami i z kawą, statki z przyprawami i wszystkimi zapachami Arabii. G. H. Bondy miał dziwne uczucie, co zdarzało mu się zazwyczaj przed podjęciem każdej ważnej decyzji; uczucie, które można by wyrazić słowami: „Wprawdzie nie wiem dlaczego, ale chyba w to wejdę". Tymczasem *Captain* van Toch rysował potężnymi łapami statki z *awning decks* albo *quarter-decks*...

— ...bajeczne statki, chłopcze.

— Wie pan co, kapitanie Vantochu — powiedział nagle G. H. Bondy — proszę do mnie przyjść za dwa tygodnie. Wrócimy do tematu tego statku.

Captain van Toch zrozumiał, jak wiele znaczą takie słowa. Poczerwieniał z radości i wykrztusił:

— A te moje jaszczury... będę je mógł wozić na tym statku?

— Ależ tak. Proszę tylko, żeby pan o nich nikomu nie mówił. Ludzie pomyśleliby, że pan zwariował... i ja też.

— A te perły mogę tu zostawić?

— Może pan.

— *Yeah*, w takim razie muszę wybrać dwie z nich, bo chciałbym je komuś posłać.

— Komu?

— Takim dwóm redaktorom, chłopcze. Ale czekaj, czekaj. Psiakrew!

— Co?

— Cholera, jak oni się nazywali? — Kapitan van Toch mrugał w zamyśleniu błękitnymi oczami. — Mam taką ciężką głowę, człowieku. Nie pamiętam, jak się ci dwaj *boys* nazywali.

5. Kapitan J. van Toch i jego tresowane jaszczury

— Niech sczeznę — powiedział jakiś człowiek w Marsylii — jeśli to nie Jensen.

Szwed Jensen podniósł oczy.

— Poczekaj — rzekł — i nie mów, dopóki sobie nie przypomnę. — Położył dłoń na czole. — „Sea-gull"... nie. „Empress of India"... nie. „Pernambuco"... nie. Już wiem. „Vancouver", Osaka-Line, Frisco. A nazywasz się Dingle, łajdaku, i jesteś Irlandczykiem.

Mężczyzna wyszczerzył żółte zęby i przysiadł się.

— *Right*, Jensen. I piję każdą wódkę, jaka jest pod ręką. Skąd się tu wziąłeś?

Jensen skinął głową.

— Pływam teraz z Marsylii do Sajgonu. A ty?

— Ja mam urlop — pochwalił się Dingle. — Więc jadę do domu, sprawdzić, ile mi przybyło dzieci.

Jensen pokiwał głową z powagą.

— To znaczy, że znowu cię wylali, co? Picie na służbie i temu podobne rzeczy. Gdybyś chodził do Ymki[20], tak jak ja, człowieku, to byś...

Dingle zrobił śmieszną minę.

— Tutaj jest Ymka?

— Przecież dzisiaj sobota — burknął Jensen. — A ty gdzie pływałeś?

— Na takim trampie — odparł Dingle wymijająco. — Wszystkie możliwe wyspy, tam na dole.

— Kapitan?

— Niejaki van Toch. Holender czy ktoś taki.

Szwed Jensen zamyślił się.

— Kapitan van Toch. Też z nim przed laty pływałem, bracie. Statek „Kandong Bandoeng". Trasa od czarta do diabła. Gruby, łysy i przeklina też po malajsku, żeby mieć większy repertuar. Znam go dobrze.

— Już wtedy był takim wariatem?

Szwed potrząsnął głową.

— Stary Toch jest *all right*, człowieku.

— A woził już wtedy te swoje jaszczury?

— Nie. — Jensen trochę się zawahał. — Słyszałem coś o tym... w Singapurze. Jeden taki mielił o tym ozorem.

Irlandczyk poczuł się nieco urażony.

— To nie były żadne brednie, Jensen. To święta prawda z tymi jaszczurami.

— Ten w Singapurze też mówił, że to prawda — mamrotał Szwed. — Ale i tak dostał po gębie — dodał triumfalnie.

— Daj sobie powiedzieć — bronił się Dingle — że coś w tym jest. Przecież kto jak kto, ale ja mogę coś na ten temat powiedzieć. Widziałem te suki na własne oczy.

— Ja też — mruczał Jensen. — Prawie całkiem czarne, jakieś metr sześćdziesiąt z ogonem i biegają na dwóch łapach. Wiem.

— Obrzydlistwo — otrząsnął się Dingle. — Całe pokryte brodawkami, człowieku. Matko Boska, nie dotknąłbym tego. Przecież to musi być trujące!

— Niby czemu? — mruknął Jensen. — Człowieku, służyłem już na statku, gdzie była masa ludzi. Na *over-* i *lowerdecku*[21] pełno ludzi, mnóstwo kobiet i bóg wie czego, tańczyli i grali w karty. Ja byłem palaczem. A teraz mi powiedz, trąbo jedna, co jest bardziej trujące.

Dingl splunął.

— Gdyby to były kajmany, człowieku, nic bym nie powiedział. Kiedyś wiozłem z Banjarmasin węże do ogrodu zoologicznego. Okrutnie śmierdziały! Ale te jaszczury, Jensen, to są bardzo dziwne zwierzęta. W dzień to nic, w ciągu dnia są w tych basenach z wodą, ale w nocy wychodzą... tap, tap... tap, tap... Cały statek się od nich roił. Stały na tylnych łapach i kręciły głowami... — Irlandczyk się przeżegnał. — Na widok człowieka robią „ts-ts-ts", jak te kurwy w Hongkongu. Nie karz mnie Boże, ale ja myślę, że coś z nimi jest nie w porządku. Gdyby nie było tak trudno o robotę, nie zostałbym tam ani godziny, Jensi. Ani godziny.

— Aha — rzekł Jensen — To dlatego wracasz do mamusi, co?

— Częściowo. Człowiek musiał strasznie chlać, żeby tam w ogóle wytrzymać, a wiesz, że na to kapitan jest czuły. Ile było szumu, kiedy niby jednego z tych potworów kopnąłem. No, kopnąłem i to z niezłym skutkiem, człowieku, aż mu grzbiet przetrąciłem. Żebyś widział, jak stary szalał. Zsiniał, złapał mnie za kark i byłby mnie wrzucił do wody, gdyby nie mat Gregory. Znasz go?

Szwed tylko przytaknął.

— „Już ma dość, panie kapitanie", powiedział mat i wylał mi na głowę kubeł wody. A w Kokopo zszedłem na ląd. — Dingle splunął długim, spłaszczonym łukiem. — Staremu bardziej zależało na tych paskudach niż na ludziach. Wiesz, że je uczył mówić? Jak Boga kocham, zamykał się z nimi i całymi godzinami do nich mówił. Myślę, że je tresuje, może dla jakiegoś cyrku. Ale najdziwniejsze jest to, że je potem puszcza do wody. Zatrzymuje się koło jakiejś gównianej wysepki, pływa łodzią przy brzegu i mierzy głębokość. Potem zamyka się w tych basenach, otwiera *hatch* w burcie statku i wypuszcza te ścierwa do wody. Człowieku, one ci skaczą tym okienkiem jeden po drugim, jak tresowane foki, zawsze dziesięć albo dwanaście. A potem w nocy płynie stary Toch do brzegu z jakimiś skrzynkami. Nikt nie wie, co w nich jest. Potem płynie się dalej. Tak to jest ze starym Tochem, Jensi. Dziwne. Bardzo dziwne. — Dingle patrzył tępo przed siebie. — Boże wszechmogący, Jensi, jak ja się bałem! Piłem, człowieku, piłem jak wariat. A kiedy w nocy to całe towarzystwo dreptało i dokazywało... i robiło „ts-ts-ts", myślałem sobie nieraz: „Oho, młodzieńcze, to od tego chlania". Przeżyłem to już kiedyś we Frisco, wiesz przecież, Jensen. Ale wtedy widziałem same pająki. De-li-rium, mówili lekarze w *sailor--hospital*. Sam już nie wiem. Ale potem pytałem Big Binga, czy też widział w nocy to, co ja, a on mówił, że widział. Ponoć widział, jak jeden jaszczur naciska klamkę i wchodzi do kabiny kapitana. No, nie wiem. Ten Joe tak strasznie chlał. Myślisz, Jensi, że Bing miał to de-li-rium? Co myślisz?

Szwed Jensen wzruszył ramionami.

— A ten Niemiec Peters mówił, że na Manihiki Islands, gdy wiózł kapitana na brzeg, schował się za skałami i patrzył, co tam stary Toch robi z tymi skrzynkami. Człowieku, ponoć te jaszczury same je sobie otworzyły, kiedy stary dał im dłuto. A wiesz, co było w tych skrzynkach? Ponoć noże, kamracie. Takie długie noże i harpuny, i takie rzeczy. Ja wprawdzie Petersowi nie wierzę, bo ma okulary na nosie, ale to dziwne. Co myślisz?

Jensenowi żyły wystąpiły na czoło.

— Powiem ci — zawarczał — że ten twój Niemiec wtyka nos w nie swoje sprawy, rozumiesz. I powiem ci jeszcze, że nie radzę mu tego robić.

— Więc mu to napisz — kpił Irlandczyk. — Najpewniejszy adres to piekło, tam to na pewno dostanie. A wiesz, co mnie wydaje się dziwne? Że stary Toch odwiedza czasem te swoje jaszczury w tych miejscach, gdzie je ulokował. Jak Boga kocham, Jensi. Każe się w nocy wysadzić na brzeg i wraca dopiero rano. No, powiedz mi, Jensen, do kogo by tam chodził. I powiedz mi, co jest w tych paczkach, które wysyła do Europy. Posłuchaj, paczka tej wielkości, a on ją ubezpiecza, powiedzmy, na tysiąc funtów.

— Skąd to wiesz? — Szwed spochmurniał jeszcze bardziej.

— Skąd wiem, to wiem — odparł Dingle wymijająco. — A wiesz, skąd stary Toch te jaszczury wozi? Z Devil Bay. Z Diabelskiej Zatoki, Jensi. Mam tam znajomego, jest agentem, wykształcony człowiek, i on mi mówił, że to nie są żadne tresowane jaszczury. Skądże! Coś takiego można opowiadać małym dzieciom! Nie daj sobie niczego takiego wmówić. — Dingle znacząco zamrugał oczami. — Tak się sprawy mają, Jensen, żebyś wiedział. A ty mi będziesz opowiadać, że *Captain* van Toch jest *all right*.

— Powiedz to jeszcze raz — wycharczał groźnie wielki Szwed.

— Gdyby stary Toch był *all right*, nie woziłby diabłów po świecie... i nie usadzałby ich na tych wszystkich wyspach jak wszy na kożuchu. Jensi, przez ten czas, kiedy z nim byłem, rozwiózł ich dobrych kilka tysięcy. Stary Toch zaprzedał swoją duszę, człowieku. A ja wiem, co mu te diabły za to dają. Rubiny, perły i takie rzeczy. Pomyśl, za darmo by tego nie robił.

Jens Jensen poczerwieniał.

— A co ci do tego?! — wrzasnął i walnął pięścią w stół. — Pilnuj swoich cholernych spraw!

Mały Dingle aż podskoczył ze strachu.

— Daj spokój — wykrztusił zmieszany — co ty tak raptem... Mówię tylko o tym, co widziałem. Ale jeśli chcesz, to mi się wydawało. Jeśli chcesz, powiem, że to delirium. Nie możesz się na mnie złościć, Jensen. Przecież wiesz, że już to kiedyś miałem we Frisco. Ciężki przypadek, mówili lekarze w *sailor-hospital*. Człowieku, mnie się naprawdę wydawało, że widziałem te jaszczury czy diabły, czy bóg wie co. Ale ich nie było.

— Były, Pat — powiedział ponuro Szwed. — Ja też je widziałem.

— Nie, Jensi — przekonywał Dingle. — Miałeś delirium. Stary Toch jest*all right*, ale nie powinien rozwozić tych diabłów po świecie. Wiesz co, jak dotrę do domu, dam na mszę za jego duszę. Niech mnie diabli porwą, jeśli tego nie zrobię.

Religia, Obrzędy, Pieniądz

— W naszym fachu — burknął smutno Jensen — nie robi się tego. A jak myślisz, Pat, czy to komuś pomoże, jeśli się da za niego na mszę?

— Człowieku, jeszcze jak! — ożywił się Irlandczyk. — Słyszałem u nas o takich przypadkach, kiedy to pomogło, i to nawet w najcięższych przypadkach. Przeciw diabłom i im podobnym, wiesz?

— To ja też zamówię katolicką mszę — postanowił Jens Jensen. — Za *Captaina* van Tocha. Ale zamówię tu, w Marsylii. Myślę, że tutaj, w tym dużym kościele, jest taniej, po cenie hurtowej.

— Być może, ale irlandzka msza jest lepsza. U nas są, człowieku, diabelskie klechy, które potrafią czynić czary. Całkiem jak fakirzy albo poganie.

— Słuchaj, Pat — powiedział Jensen — ja bym ci dał dwanaście franków na tę mszę. Ale ty jesteś łajdak, bracie, ty to przepijesz.

— Jensi, takiego grzechu bym na swe sumienie nie wziął. Ale poczekaj, żebyś mi wierzył, dam ci na tych dwanaście franków skrypt dłużny. Chcesz?

— To brzmi sensownie — rozważał lubiący porządek Szwed.

Dingle pożyczył kawałek papieru i ołówek i rozłożył się z tym na stole.

— Więc co mam napisać?

Jens Jensen zaglądał mu przez ramię.
— Napisz na górze, że to jest pokwitowanie.
Dingle powoli, wywalając z wysiłku język i śliniąc ołówek, pisał:

POKWITOWANIE
po twierdzam
że przyjołem ot Jensa Jensena
namszę za Duszę Captna
Tocha dwa 12 franków
PAT DINGLE

— Tak będzie dobrze? — spytał Dingle niepewnie. — A kto z nas ma sobie zostawić ten papier?

— No przecież ty, idioto — powiedział Szwed bez wahania. — To jest po to, żeby człowiek nie zapomniał, że dostał pieniądze.

Tych dwanaście franków pan Dingle przepił w Hawrze, a ponadto zamiast do Irlandii popłynął do Dżibuti. Krótko mówiąc, ta msza nie została odprawiona, skutkiem czego w naturalny bieg rzeczy nie ingerowała żadna siła wyższa.

6. Jacht na lagunie

Mr Abe Loeb mrużył oczy przed blaskiem zachodzącego słońca. Chciałby jakoś wyrazić piękno tej chwili, ale jego ukochana Li, *alias* Miss Lily Valley, która naprawdę nazywała się Lilian Nowak, krótko mówiąc — złotowłosa Li, White Lily, długonoga Lilian i jak jeszcze nazywano tę siedemnastoletnią dziewczynę, spała na ciepłym piasku, opatulona włochatym płaszczem kąpielowym i skulona jak śpiący pies. Abe nie powiedział więc nic o pięknie świata i tylko westchnął, poruszając palcami bosych stóp, gdyż miał między nimi ziarenka piasku.

Nieopodal na morzu stał jacht nazwany „Gloria Pickford". Ten jacht dostał Abe od papy Loeba za to, że zdał egzaminy na uniwersytecie. Papa Loeb to równy gość. Jesse Loeb, magnat filmowy i tak dalej. „Abe, zaproś paru przyjaciół albo przyjaciółek i ruszaj poznać kawałek świata", powiedział starszy pan. Papa Loeb jest wspaniałym facetem. Więc tam na perłowej tafli wody stoi zacumowana „Gloria Pickford", a tu, na ciepłym piasku, śpi ukochana Li. Abe westchnął przepełniony szczęściem. „Śpi jak małe dziecko, biedactwo". Mr Abe poczuł ogromne pragnienie, żeby się nią zaopiekować. „Właściwie naprawdę powinienem się z nią ożenić — pomyślał młody pan Loeb i poczuł przy tym w sercu miły a zarazem bolesny ucisk, wywołany z jednej strony silnym postanowieniem, z drugiej zaś strachem. Mama Loeb chyba tego nie zaaprobuje, a papa Loeb rozłoży ręce, mówiąc: „Jesteś głupcem, Abe". Rodzice po prostu nie mogą tego zrozumieć, stąd cały problem. I Abe, wzdychając z czułością, przykrył połą płaszcza kąpielowego bielutką kostkę ukochanej Li. „To głupie — myślał w zakłopotaniu — że mam tak strasznie owłosione nogi!".

„Boże, jak tu pięknie, jak tu pięknie! Szkoda, że Li tego nie widzi". Mr Abe zapatrzył się na cudowną linię jej bioder i w jakimś niejasnym związku z nimi zaczął myśleć o sztuce. Ukochana Li jest bowiem artystką. Artystką filmową. Wprawdzie jeszcze żadnej roli nie zagrała, ale mocno wbiła sobie do głowy, że będzie największą aktorką filmową wszech czasów; a co sobie Li wbije do głowy, to zrealizuje. To jest właśnie to, czego matka Li nie rozumie. Artystka to po prostu... artystka, i nie może być taka jak inne dziewczęta. „A zresztą inne dziewczęta nie są wcale lepsze — stwierdził Mr Abe. — Na przykład ta Judy na jachcie, taka bogata dziewczyna — wiem przecież, że Fred chodzi do jej kabiny. *Co noc*, podczas gdy ja i Li... Po prostu Li nie jest *taka*. Ja Fredowi dobrze życzę — pomyślał Abe wielkodusznie — to dobry kolega z uniwersytetu. Ale żeby tak co noc — *taka* bogata dziewczyna nie powinna tego robić. Mam na myśli dziewczynę z takiej rodziny jak Judy. A Judy nawet nie jest artystką. (O czym te dziewczęta tak sobie czasem szepczą — przypomniał sobie Abe. — Oczy im przy tym błyszczą i ciągle chichoczą... *Ja* z Fredem nigdy nie rozmawiam *o takich* rzeczach). (Li nie powinna pić tyle koktajli, potem nie wie, co mówi). (Na przykład dziś po południu, to było niepotrzebne...). (Myślę o tym, jak się z Judy pokłóciły o to, która ma ładniejsze nogi. Przecież to

jasne, że Li. Ja to wiem.). (A Fred nie musiał wpaść na ten idiotyczny pomysł, że zrobimy konkurs na najładniejsze nogi. To można robić w Palm Beach, ale nie prywatnie, w gronie przyjaciół. A te dziewczęta nie musiały chyba *tak wysoko* podnosić sukienek. Przecież widać im było *nie tylko* nogi. Przynajmniej Li nie musiała. I to właśnie przed Fredem! I tak bogata dziewczyna jak Judy też nie musiałaby tego robić). (A ja nie powinienem był prosić kapitana, żeby sędziował. To było głupie z mojej strony. Ten kapitan bowiem poczerwieniał, zjeżyły mu się wąsy, powiedział przepraszam i trzasnął drzwiami. Żenujące. Okropnie żenujące. Kapitan nie powinien być *taki* ordynarny. W końcu to *mój* jacht, nie?). (Prawda, kapitan nie ma przy sobie żadnej ukochanej; jak on może patrzeć na takie rzeczy? Mam na myśli to, że jest sam). A czemu Li płakała, gdy Fred powiedział, że Judy ma ładniejsze nogi? Potem mówiła, że Fred jest taki niewychowany. Ponoć psuje jej całą radość z podróży... Biedna Li). (I teraz te dziewczęta nie rozmawiają ze sobą. A kiedy chciałem pogadać z Fredem, Judy zawołała go do siebie jak psa. Fred jest przecież moim najlepszym kolegą. To zrozumiałe, skoro jest kochankiem Judy, musiał powiedzieć, że to ona ma ładniejsze nogi! Nie musiał wprawdzie mówić tego tak zdecydowanie. To *nie było* taktowne wobec biednej Li. Li ma rację, że Fred jest samolubnym dupkiem. Okropnym dupkiem). (Właściwie inaczej wyobrażałem sobie tę podróż. Diabli nadali tego Freda)".

Mr Abe zorientował się, że nie patrzy już w upojeniu na perłowe morze, lecz z bardzo ponurą miną przesiewa w dłoni piasek z muszelkami. Było mu ciężko i był w złym nastroju. Papa Loeb powiedział: „Staraj się zobaczyć kawał świata". Widzieliśmy już kawał świata? Mr Abe usiłował przypomnieć sobie, co właściwie widział, ale nie mógł wydobyć z zakamarków pamięci niczego poza tym, jak Judy i jego ukochana Li pokazują nogi, a Fred, barczysty Fred klęczy przed nimi w przysiadzie. Abe spochmurniał jeszcze bardziej. „Jakże się nazywa ta wyspa koralowa? Taraiva, tak powiedział kapitan. Taraiva albo Tahuara, albo Taraihatuara-ta-huara. A gdybyśmy tak już wrócili i powiedziałbym *old* Jessiemu: »*Dad*, byliśmy aż na Taraihuatuara«. (Niepotrzebnie prosiłem tego kapitana)" — zżymał się Mr Abe. („Muszę porozmawiać z Li, żeby nie robiła takich rzeczy. Boże, czemu ja ją tak *strasznie* kocham! Gdy się obudzi, pomówię z nią. Powiem jej, że moglibyśmy się pobrać"). Mr Abe miał oczy pełne łez. „Boże, czy to jest miłość, czy cierpienie, i czy to ogromne cierpienie jest nieodłączne od tej miłości do niej?".

Umalowane na niebiesko, błyszczące powieki najdroższej Li, przypominające delikatne muszelki, zadrżały.

— Abe — odezwała się sennie — wiesz, o czym myślę? Że na tej wyspie można by nakręcić cu-do-wny film.

Mr Abe przysypywał swe nieszczęsne owłosione nogi delikatnym piaskiem.

— Świetny pomysł, kochanie. A jaki film?

Li otwarła niesamowicie niebieskie oczy.

— Na przykład taki. Wyobraź sobie, że ja bym na tej wyspie była Robinsonką. Kobiecym Robinsonem. Prawda, że to oryginalny pomysł?

— Tak — powiedział niepewnie Mr Abe. — A jak byś się dostała na tę wyspę?

— Niech pomyślę — odparł słodki głosik. — Już wiem! Nasz jacht rozbiłby się w czasie burzy i wy wszyscy byście utonęli, ty, Judy, kapitan i reszta.

— I Fred też? Przecież Fred umie doskonale pływać.

Gładkie czoło zachmurzyło się.

— W takim razie Freda musiałby pożreć rekin. To byłoby bajeczne ujęcie! — Li zaklaskała w rączki. — Fred ma niesamowicie piękne ciało, doskonałe do takiej sceny, nie sądzisz?

Mr Abe westchnął.

— I co dalej?

— A mnie nieprzytomną fala wyrzuciłaby na brzeg. Miałabym na sobie piżamę, tę w niebieskie paski, która przedwczoraj tak ci się podobała. — Spod delikatnych powiek wypłynęło spojrzenie odpowiednio podkreślające kobiecą ponętność. — To powinien być kolorowy film, Abe. Wszyscy mówią, że niebieski kolor bardzo pasuje do moich włosów.

— A kto by cię tu znalazł? — zapytał rzeczowo Mr Abe.

Koteczek zamyślił się.

— Nikt. Nie byłabym przecież Robinsonką, gdyby tu byli jacyś ludzie — powiedziała z zadziwiającą logiką. — Dlatego byłaby to tak cudowna rola, Abe, że byłabym cały czas sama. Wyobraź sobie, Lily Valley w głównej i w ogóle jedynej roli!

— A co byś przez cały film robiła?

Li oparła się na łokciu.

— Myślałam już o tym. Kąpałabym się i śpiewałabym na skale.

— W piżamie?

— Bez — odparł koteczek. — Nie sądzisz, że byłby to ogromny sukces?

— Przecież nie grałabyś cały czas naga — mruknął Abe z wyraźną dezaprobatą.

— Czemu nie? — zdziwiła się niewinnie. — Co by w tym było złego?

Mr Abe burknął coś niezrozumiale.

— A potem... — zastanawiała się Li. — Poczekaj, już mam. Potem uprowadziłby mnie goryl. Wiesz, taki strasznie owłosiony, czarny goryl.

Mr Abe zaczerwienił się i starał się ukryć swoje przeklęte nogi jeszcze głębiej w piasku.

— Przecież tu nie ma żadnych goryli — oponował mało przekonująco.

— Są. Tutaj są wszystkie zwierzęta. Musisz na to spojrzeć naukowo, Abe. Do mojej karnacji goryl by bardzo pasował. Zauważyłeś, jakie Judy ma włosy na nogach?

— Nie — odparł Abe, nieszczęśliwy z powodu poruszanego tematu.

— Okropne nogi — oświadczył koteczek, patrząc na swoje łydki. — A kiedy ten goryl niósłby mnie w ramionach, wyszedłby z puszczy młody, przystojny dzikus i powaliłby go.

— W co byłby ubrany?

— Miałby łuk — postanowił koteczek bez wahania. — I wieniec na głowie. Ten dzikus by mnie pojmał i zaprowadził do obozu kanibali.

— Tu nie ma żadnych kanibali — Abe próbował bronić wysepki Tahuara.

— Są. Ci ludożercy chcieliby mnie złożyć w ofierze i śpiewaliby przy tym hawajskie pieśni. Wiesz, takie jak śpiewają ci Murzyni w restauracji Paradise. Ale ten młody ludożerca zakochałby się we mnie... — Koteczek westchnął z oczami szeroko otwartymi z zachwytu. — A potem zakochałby się we mnie jeszcze jeden dzikus, na przykład naczelnik tych kanibali... a potem jeszcze jeden biały.

— Skąd by się wziął ten biały? — zapytał dla pewności Abe.

— Byłby ich jeńcem. Mógłby to być słynny tenor, który wpadł w ręce dzikusów. Dlatego tenor, żeby mógł w tym filmie śpiewać.

— A jak byłby ubrany?

Koteczek spoglądał na palce u swych nóg.

— Powinien być... bez niczego, jak ci ludożercy.

Mr Abe kręcił głową.

— Kochanie, to by nie przeszło. Wszyscy sławni tenorzy są strasznie grubi.

— Szkoda — zmartwił się koteczek. — To mógłby go zagrać Fred, a tenor tylko by śpiewał. Wiesz, jak się robi taką synchronizację w filmie.

— Ale przecież Freda pożarł rekin!

Koteczek się rozgniewał.

— Nie możesz być tak strasznie realistyczny, Abe! Z tobą *w ogóle* nie można rozmawiać o sztuce! A ten naczelnik by mnie całą owinął sznurami pereł.

— Skąd by je wziął?

— Tu jest *mnóstwo* pereł — stwierdziła Li. — A Fred by z nim z zazdrości walczył na pięści na skale nad morzem w czasie przypływu. Sylwetka Freda na tle nieba byłaby wspaniała, nie sądzisz? Prawda, że to świetny pomysł? W trakcie walki obaj spadliby do morza. — Koteczek się rozchmurzył. — Teraz mogłaby nastąpić ta scena z rekinem. Ale Judy by się wściekła, gdyby Fred zagrał ze mną w filmie! A ja bym poślubiła tego pięknego dzikusa. — Złotowłosa Li aż podskoczyła. — Stalibyśmy tu na tym brzegu... na tle zachodzącego słońca... całkiem nadzy... i film powoli by się kończył. — Li zrzuciła płaszcz kąpielowy. — Idę do wody.

— Nie wzięłaś stroju kąpielowego — zwrócił jej uwagę przerażony Abe, rozglądając się po jachcie, czy ktoś nie patrzy. Ale koteczek już zmierzał tanecznym krokiem w kierunku laguny.

„Właściwie w ubraniu wygląda lepiej" — odezwał się nagle w młodym mężczyźnie brutalnie chłodny i krytyczny głos. Abe był załamany swym brakiem miłosnego zachwytu, czuł się niemal winny. Ale... *well*, gdy Li ma na sobie sukienkę i pantofelki, to jest... *well*, jakoś ładniejsza.

„Może chcesz powiedzieć przyzwoitsza" — bronił się Abe przed tym chłodnym głosem.

„*Well*, to też. I ładniejsza. Czemu tak dziwnie drepcze? Czemu tak jej się trzęsie ciało na nogach? Czemu to i tamto...".

„Przestań — bronił się Abe z przerażeniem. — Li to najpiękniejsza dziewczyna, jaka się kiedykolwiek narodziła! Strasznie ją kocham...".

„...nawet gdy nie ma nic na sobie?" — zapytał chłodny i krytyczny głos.

Abe odwrócił oczy i patrzył na jacht stojący w lagunie. Jaki jest piękny, jaki doskonały w każdym calu! Szkoda, że nie ma tu Freda. Z Fredem można by porozmawiać o tym, jaki piękny jest ten jacht.

Tymczasem koteczek stał już po kolana w wodzie, wyciągał ręce w stronę zachodzącego słońca i śpiewał. „Niech się już do diabła wykąpie", myślał Abe rozdrażniony. Ależ pięknie wyglądała, kiedy tak leżała zwinięta w kłębek i opatulona płaszczem, z zamkniętymi oczami. Abe ze wzruszeniem pocałował rękaw jej płaszcza kąpielowego. Tak, strasznie ją kocha. Aż do bólu.

Nagle z laguny dobiegł przeraźliwy skrzek. Abe przyklęknął, żeby lepiej widzieć. Li piszczała, machała rękami i w popłochu uciekała w stronę brzegu, potykając się i rozbryzgując wkoło wodę... Abe zerwał się i pobiegł ku niej.

— Co się dzieje, Li?

(„Patrz, jak dziwnie biegnie — zwracał mu uwagę chłodny i krytyczny głos. — Zanadto wyrzuca nogi. Za bardzo wymachuje rękami. Po prostu nieładnie. A jeszcze do tego gdacze, gdacze jak kura".)

— Co się stało, Li? — wołał Abe, biegnąc na pomoc.

— Abe, Abe — koteczek uwiesił mu się na szyi, mokry i zimny, szczękając zębami. — Abe, tam było jakieś zwierzę!

— Niczego tam nie było — uspokajał ją Abe. — Pewnie jakaś ryba.

— Ale to miało taką straszną głowę — kwilił koteczek, wciskając mokry nos w piersi Abe'a.

Abe chciał ją ojcowskim gestem poklepać po ramieniu, ale ten gest na jej mokrym ciele odbił się głośnym plaśnięciem.

— No, no — mruknął uspokajająco — popatrz, niczego tam już nie ma.

Li obejrzała się na lagunę.

— To było okropne — wykrztusiła i nagle zaczęła piszczeć. — Tam... tam... widzisz?

Do brzegu zbliżał się powoli czarny łeb, którego paszcza to otwierała się, to zamykała. Koteczek Li jęknął histerycznie i ruszył rozpaczliwym biegiem, by znaleźć się jak najdalej od wody.

Abe był zakłopotany. „Mam biec za Li, żeby się nie bała? Czy mam zostać tutaj, żeby pokazać, że ja się tego zwierzęcia nie boję?". Zdecydował się w końcu na to drugie. Podszedł bliżej do morza, stanął po kostki w wodzie i z zaciśniętymi pięściami patrzył zwierzęciu w oczy. Czarna głowa przestała się zbliżać, zakołysała się dziwnie i powiedziała:

— Ts-ts-ts.

Abe trochę się bał, ale nie mógł tego okazać.

— O co chodzi? — odezwał się ostro do tej głowy.

— Ts-ts-ts — zrobiła głowa.

— Abe, Abe, A-be! — wrzeszczał koteczek Li.

— Już idę! — zawołał Abe i powoli (żeby nikt nie mógł nic powiedzieć) podążył do swej dziewczyny. Po drodze jeszcze się zatrzymał i odwrócił z surową miną ku morzu.

Na brzegu, gdzie morze kreśliło w piasku swą wieczną i nietrwałą koronkę, stało na tylnych nogach jakieś ciemne zwierzę z okrągłą głową i kręciło ciałem. Abe stanął jak wryty z bijącym sercem.

— Ts-ts-ts — ponownie zrobiło zwierzę.

— A-be! — wył półomdlały koteczek.

Abe cofał się krok po kroku, nie spuszczając zwierzęcia z oczu; ono zaś stało nieruchomo, odwracając tylko głowę w jego stronę.

W końcu Abe znalazł się obok swego koteczka, który leżał twarzą do ziemi, szlochając z przerażenia.

— To... jakaś foka — powiedział Abe niepewnie. — Powinniśmy wrócić na jacht, Li.

Ale Li tylko się trzęsła.

— To wcale nie jest niebezpieczne — stwierdził Abe. Chciałby uklęknąć przy Li, ale musiał stać bohatersko między nią i zwierzęciem. „Gdybym nie był w samych kąpielówkach — pomyślał — i miał przy sobie przynajmniej kieszonkowy nóż, albo gdybym znalazł jakiś kij...".

Zaczęło się zmierzchać. Zwierzę znowu zbliżyło się na odległość mniej więcej trzydziestu kroków i zatrzymało się. A za nim pięć, sześć, osiem takich samych zwierząt wynurzyło się z morza i kołysząc się, chwiejnym krokiem dreptało do miejsca, gdzie Abe strzegł koteczka Li.

— Nie oglądaj się, Li — rzucił Abe, ale było to zbyteczne, ponieważ Li nie obejrzałaby się za nic na świecie.

Z morza wynurzały się kolejne cienie i posuwały szerokim półokręgiem. Abe naliczył ich już ze sześćdziesiąt. To jasne tam, na piasku, to rozrzucony płaszcz kąpielowy koteczka Li. Płaszcz, w którym przed chwilą spała. Tymczasem zwierzęta doszły już do tego miejsca.

W tym momencie Abe zrobił coś oczywistego i jednocześnie bezsensownego, jak ten rycerz Schillera, który wszedł do klatki lwa po rękawiczkę swej damy[22]. Cóż począć, są rzeczy oczywiste i bezsensowne, które mężczyźni będą robić, jak świat światem. Bez namysłu, z podniesioną głową i zaciśniętymi pięściami szedł Mr Abe Loeb pomiędzy te zwierzęta po płaszcz kąpielowy koteczka Li.

Zwierzęta nieco się cofnęły, ale nie uciekły. Abe podniósł płaszcz, przerzucił go przez ramię jak torreador i stał nieporuszony.

— A-be — słyszał za sobą rozpaczliwy lament.

Mr Abe poczuł w sobie ogromną siłę i odwagę.

— No i co? — odezwał się do tych zwierząt i zrobił jeszcze krok w ich kierunku. — Czego chcecie?

— Ts-ts — zamlaskało jedno zwierzę, po czym skrzekliwym i jakby starczym głosem zaszczekało: — Najf!

— Najf! — rozległo się szczeknięcie kawałek dalej. — Najf! Najf!

— A-be!

— Nie bój się, Li! — zawołał Abe.

— Li — zaszczekało coś przed nim. — Li. Li. A-be.

Abe'owi wydawało się, że śni.

— Co jest?

— Najf!

— A-be — kwilił koteczek Li. — Chodź tu!

— Zaraz. Wam chodzi o *knife*? Nie mam żadnego noża. Nic wam nie zrobię. Czego jeszcze chcecie?

— Ts-ts — mlaskało zwierzę i kołysząc się, zbliżało się do niego.

Abe stanął w rozkroku, z płaszczem przerzuconym przez rękę, ale nie cofnął się.

— Ts-ts — powiedział. — Czego chcesz? — Zdawało mu się, że zwierzę podaje mu przednią łapę, ale to się Abe'owi nie spodobało. — Co? — spytał dosyć ostro.

— Najf — szczeknęło zwierzę i wypuściło z łapy coś białawego, jakby krople. Ale to nie były krople, ponieważ się toczyły.

— Abe — załkała Li. — Nie zostawiaj mnie tu!

Mr Abe nie czuł już w ogóle strachu.

— Z drogi! — powiedział i zamachnął się na zwierzę płaszczem kąpielowym. Zwierzę cofnęło się pospiesznie i niezgrabnie. Teraz Abe mógł się oddalić bez uszczerbku na honorze, ale niech Li zobaczy, jaki jest odważny. Schylił się ku temu czemuś, co zwierzę upuściło z łapy, żeby na to spojrzeć. Były to trzy twarde, gładkie, matowo błyszczące kuleczki. Mr Abe podniósł je do oczu, bo już się ściemniało.

— A-be — jęczał opuszczony koteczek. — Abe!

— Już idę! — zawołał. — Mam coś dla ciebie, Li! Coś ci niosę! — Wywijając nad głową płaszczem kąpielowym, Mr Abe Loeb biegł wybrzeżem jak młody bóg.

Li siedziała w kucki, skulona i cała się trzęsła.

— Abe — szlochała i szczękała zębami. — Jak możesz... jak możesz...

Ukląkł przed nią uroczyście.

— Lily Valley, bogowie morscy, czyli trytony, przyszli złożyć ci hołd. Mam ci przekazać, że od tego czasu, gdy Wenus wyłoniła się z morskiej piany, żadna artystka nie zrobiła na nich tak wielkiego wrażenia jak ty. W dowód swego podziwu przysyłają ci — wyciągnął rękę — te trzy perły. Spójrz.

— Nie pleć, Abe — chlipał koteczek Li.

— Poważnie, Li. Zobacz, że to są prawdziwe perły!

— Pokaż — zakwiliła Li i drżącymi palcami sięgnęła po białawe kuleczki. — Abe — wykrztusiła — przecież to są *perły*! Znalazłeś je w piasku?

— Ależ Li, kochanie, perły nie leżą w piasku.

— Leżą — twierdził koteczek. — I wypłukuje się je. Widzisz, mówiłam ci, że tu jest mnóstwo pereł!

— Perły rosną w muszlach pod wodą — powiedział Abe z przekonaniem graniczącym z pewnością. — Zaręczam ci Li, że te perły przyniosły tamte trytony. Widziały cię, jak się kąpałaś. Chciały ci to dać osobiście, ale ty się ich tak przestraszyłaś...

— No, skoro są takie brzydkie — wykrztusiła Li. — Abe, to są *cudowne* perły! Ja strasznie lubię perły!

(„Teraz jest ładna — powiedział krytyczny głos. — Jak tak klęczy z tymi perłami na dłoni... no, piękna, trzeba je jej zostawić").

— Abe, *naprawdę* przyniosły mi je... te zwierzęta?

— To nie są zwierzęta, koteczku. To są morscy bogowie. Nazywają się trytony.

Koteczek wcale się nie zdziwił.

— To ładnie z ich strony, prawda? One są ogromnie miłe. Jak myślisz, Abe, powinnam im jakoś podziękować?

— Już się ich nie boisz?

Koteczek zadrżał.

— Boję. Proszę cię, Abe, zabierz mnie stąd!

— Posłuchaj więc — powiedział. — Musimy się dostać do naszej łodzi. Chodź i nie bój się.

— Ale... ale one nam stoją na drodze — szczękała zębami Li. — Abe, nie poszedłbyś do nich sam? Ale nie wolno ci zostawić mnie tutaj!

— Przeniosę cię w ramionach — bohatersko zaproponował Mr Abe.

— Na to bym się zgodziła — odetchnął koteczek.

— Ale włóż na siebie płaszcz.

— Zaraz. — Panna Li układała sobie obiema rękami swoje słynne złote włosy. — Nie jestem *strasznie* rozczochrana? Abe, nie masz przy sobie kredki do warg?

Abe zarzucił jej na ramiona płaszcz.

— Chodź już lepiej, Li!

— Boję się — jęknął koteczek.

Mr Abe wziął ją na ręce. Li wydawało się, że jest lekka jak chmurka. „O kurcze, ona jest cięższa, niż myślałeś, co? — rzekł Abe'owi chłodny i krytyczny głos. — I masz teraz obie ręce zajęte, człowieku. Co by było, gdyby te zwierzęta na nas ruszyły?".

— Nie chciałbyś tak trochę podbiec? — zaproponował koteczek.

— Chciałbym — wysapał Mr Abe, ledwie przebierając nogami. W tej chwili już szybko zapadał zmierzch. Abe zbliżał się do szerokiego półokręgu zwierząt.

— Prędzej, Abe, biegnij, biegnij — szeptała Li. Zwierzęta zaczęły kołysać się szczególnym, falistym ruchem i kręcić górną połową ciała.

— Biegnij, biegnij szybko! — załkał koteczek, wierzgając histerycznie nogami, a w kark Abe'a wpiły się pomalowane na srebrno paznokcie.

— Psiakrew, Li, daj spokój! — ryknął Abe.

— Najf — usłyszał obok szczeknięcie.

— Ts-ts-ts.

— Najf.
— Li.
— Najf.
— Najf.
— Najf.
— Li.

Wyszli już z tego półokręgu i Abe czuł, że nogi grzęzną mu w wilgotnym piasku.

— Możesz mnie postawić — odetchnął koteczek właśnie w tym momencie, gdy Abe'owi omdlały ręce i nogi.

Abe ciężko dyszał, ocierając sobie przedramieniem pot z czoła.

— Idź do łodzi, prędko — poprosił koteczek Li.

Półokrąg ciemnych cieni zwrócił się teraz w stronę Li i przybliżał się do niej.

— Ts-ts-ts.
— Najf. Najf.
— Li.

Ale Li nie krzyczała ani nie uciekała. Li uniosła ręce w górę, a płaszcz kąpielowy zsunął się z jej ramion. Naga Li machała obiema rękami kołyszącym się cieniom i posyłała im całusy. Na jej drżących wargach pojawiło się coś, co każdy musiałby nazwać czarującym uśmiechem.

— Jesteście takie słodkie — powiedział szczebiotliwy głosik i białe ręce znowu wyciągnęły się ku tym kołyszącym się cieniom.

— Chodźże, pomóż mi — burknął Abe trochę niegrzecznie, spychając łódź głębiej do wody.

Koteczek Li podniósł swój płaszcz kąpielowy.

— Żegnajcie, kochane!

Słychać było, jak cienie pluskają już w wodzie.

— Pospiesz się, Abe — syknął koteczek, brodząc w stronę łodzi. — Już tu są.

Mr Abe Loeb rozpaczliwie starał się zepchnąć łódź do wody. Teraz weszła do niej jeszcze panna Li i machała ręką w geście pożegnania.

— Przejdź na drugą stronę, Abe, zasłaniasz mnie.
— Najf.
— Ts-ts-ts.
— A-be!
— Najf, ts, najf.
— Ts.
— Najf!

W końcu łódź zakołysała się na falach. Mr Abe wdrapał się do niej i z całych sił naparł na wiosła. Jedno z wioseł uderzyło w jakieś śliskie ciało.

Koteczek Li odetchnął głęboko.

— Prawda, że są bardzo miłe? I że *świetnie* to zrobiłam?

Mr Abe wiosłował co sił w stronę jachtu.

— Załóż na siebie ten płaszcz, Li — powiedział nieco oschle.

— Myślę, że to był wielki sukces — stwierdziła panna Li. — A te perły, Abe! Jak myślisz, jaką mają wartość?

Mr Abe przestał na moment wiosłować.

— Myślę, że nie musiałaś się im tak pokazywać, kochanie.

Panna Li poczuła się trochę urażona.

— Co w tym było złego? Widać, Abe, że nie jesteś *artystą*. Wiosłuj, proszę cię, zimno mi w tym płaszczu.

7. Jacht na lagunie (ciąg dalszy)

Tego wieczora na jachcie „Gloria Pickford" nie było osobistych sporów, wyrażano tylko głośno różne poglądy naukowe. Fred (lojalnie wspierany przez Abe'a) sądził, że to *z pewnością* musiały być jakieś jaszczury, podczas gdy kapitan obstawał przy ssakach. „W morzu nie ma żadnych jaszczurów" — twierdził zdecydowanie kapitan, ale młodzi panowie z uniwersytetu nie zgadzali się z nim. Jaszczury stanowią większą sensację. Koteczek

Li zadowolił się tym, że to były trytony, że były po prostu *rozkoszne* i że w ogóle był to *ogromny* sukces. Li (w piżamie w niebieskie paski, która tak się Abe'owi podobała) marzyła z błyszczącymi oczami o perłach i morskich bóstwach. Judy natomiast była przekonana, że to zabawa i humbug, że Li z Abe'em wymyślili to sobie, i mrugała ze złością na Freda, żeby dał już temu spokój. Abe myślał, że Li *mogłaby* wspomnieć o tym, jak to on, Abe, poszedł bez cienia strachu między te jaszczury po jej płaszcz kąpielowy; dlatego trzy razy opowiadał, jak Li *bohatersko* stawiała im czoła, podczas gdy on spychał łódź na wodę. I właśnie zaczynał opisywać to po raz czwarty, ale Fred i kapitan w ogóle go nie słuchali, kłócąc się zawzięcie o jaszczury i ssaki. („Jakby to było takie ważne" — myślał Abe). W końcu Judy ziewnęła i powiedziała, że idzie spać. Spojrzała przy tym wymownie na Freda, ale Fred przypomniał sobie właśnie, że przed potopem żyły takie stare, zabawne jaszczury.

— Jak one się, do diaska, nazywały... diplozaury, bigozaury czy jakoś tak... i one poruszały się właśnie na tylnych nogach, proszę pana. Widziałem je na takim śmiesznym obrazku w jakiejś grubej książce. Olbrzymia księga, powinien pan ją znać.

— Abe — odezwał się koteczek Li — mam *świetny* pomysł na film.

— Jaki?

— Coś zupełnie nowego. Wiesz, nasz jacht by, dajmy na to, zatonął i tylko ja bym ocalała i dotarła na tę wyspę. I żyłabym tam jak Robinsonka.

— I co byś tam robiła? — zapytał kapitan sceptycznie.

— Kąpałabym się i... tak dalej — odparł koteczek Li z wrodzoną sobie prostotą. — A przy tym zakochałyby się we mnie te morskie trytony... i przynosiłyby mi perły. Wiesz, tak jak było naprawdę. Mógłby to być film przyrodniczy i edukacyjny, nie sądzisz? Coś takiego jak *Trader Horn*[23].

— Li ma rację — oświadczył nagle Fred. — Powinniśmy te jaszczury jutro wieczorem sfilmować.

— To znaczy te ssaki — poprawił kapitan.

— To znaczy mnie — powiedział koteczek — jak stoję pośród tych trytonów.

— Ale w płaszczu kąpielowym — mruknął Abe.

— Włożyłabym ten *biały* strój kąpielowy — powiedziała Li. — I musiałaby mi Greta zrobić porządną fryzurę. Dzisiaj wyglądałam po prostu strrrasznie.

— A kto by to filmował?

— Abe. Żeby na cokolwiek się przydał. A Judy musiałaby się zająć oświetleniem, gdyby już było ciemno.

— A Fred?

— Fred miałby łuk i wieniec na głowie, i gdyby te trytony chciały mnie porwać, powaliłby je, nie?

— Bardzo dziękuję — wyszczerzył się Fred — ale wolałbym rewolwer. Poza tym myślę, że kapitan też powinien tam być.

Kapitan nastroszył bojowo wąsy.

— O mnie się nie troszczcie. Zrobię, co będzie trzeba.

— Co pan ma na myśli?

— Trzech ludzi z załogi, panie. Dobrze uzbrojonych.

Koteczek Li zdumiał się rozkosznie.

— Myśli pan, że to takie niebezpieczne, kapitanie?

— Nic nie myślę, dziecinko — mruknął kapitan. — Ale mam rozkazy od Mr Jessego Loeba, przynajmniej jeśli chodzi o pana Abe'a.

Panowie energicznie wzięli się do opracowania technicznych szczegółów całego przedsięwzięcia. Abe mrugnął na koteczka, dając jej do zrozumienia, że powinna już iść spać. Li posłusznie poszła.

— Wiesz, Abe — powiedziała do niego w swej kabinie — myślę, że to będzie wspaniały film!

— Będzie, koteczku — zgodził się Mr Abe i chciał ją pocałować.

— Nie dzisiaj — bronił się koteczek. — Zrozum, że muszę się *bardzo* skoncentrować.

Przez cały następny dzień panna Li intensywnie się koncentrowała. Biedna subretka[24] Greta miała przez to pełne ręce roboty. Kąpiele z odpowiednimi solami i olejkami, mycie

włosów szamponem marki Nurblond, masaże, pedicure, manicure, ondulacja i czesanie, prasowanie, mierzenie i przeszywanie sukienek, robienie makijażu i cała masa innych przygotowań. Judy też została wciągnięta w ten wir i pomagała koteczkowi Li. (Są trudne chwile, kiedy kobiety potrafią być wobec siebie niezwykle lojalne, na przykład przy ubieraniu). Podczas gdy w kabinie panny Li panował gorączkowy pośpiech, panowie zadbali o siebie i rozstawiając na stole popielniczki i kieliszki z wódką, układali strategiczny plan, gdzie kto będzie stać i czym się zajmować, gdyby do czegoś doszło. Kapitan został przy tym kilkakrotnie głęboko urażony w prestiżowej kwestii dowodzenia. Po południu dostarczyli na brzeg laguny aparat filmowy, mały karabin maszynowy, kosz ze sztućcami i jedzeniem, strzelby, gramofon i inne potrzebne do walki przedmioty; wszystko to zostało skrzętnie zamaskowane liśćmi palmowymi. Jeszcze przed zachodem słońca zajęli swe miejsca trzej uzbrojeni mężczyźni i kapitan w funkcji głównodowodzącego. Potem przywieziono na brzeg olbrzymi kosz z paroma drobiazgami panny Lily Valley. Potem przypłynął Fred z panną Judy. Potem zaczęło zachodzić słońce w całej tropikalnej wspaniałości.

Tymczasem Mr Abe już po raz dziesiąty pukał do kabiny panny Li.

— Kochanie, *naprawdę* już najwyższy czas!

— Zaraz, zaraz — odpowiadał głos koteczka — nie denerwuj mnie, proszę! Przecież muszę się odpowiednio *ubrać*, prawda?

W tym czasie kapitan oceniał sytuację. Na powierzchni wody w zatoce lśnił równy, długi pas, który oddzielał pofalowane morze od cichej toni laguny. „Jakby tam pod wodą była jakaś tama albo falochron — pomyślał kapitan. — Może to ławica piasku albo rafa koralowa, ale wygląda to na sztuczny twór. Dziwne miejsce". Ponad spokojną powierzchnię laguny tu i ówdzie wynurzały się czarne głowy i ciągnęły do brzegu. Kapitan zacisnął usta i sięgnął po rewolwer. „Byłoby lepiej — pomyślał — gdyby te kobiety zostały w łodzi". Judy zaczęła się trząść i trzymała się kurczowo Freda. „Jaki on jest silny — pomyślała sobie. — Jak ja go kocham".

W końcu ostatnia łódź odbiła od jachtu. Była w niej panna Lily Valley w białym trykocie kąpielowym i w przezroczystym szlafroczku, w którym najwidoczniej zostanie wyłowiona z morza jako rozbitek, a poza nią Miss Greta i Mr Abe.

— Czemu tak wolno wiosłujesz, Abe — robiła mu wyrzuty Li.

Mr Abe widział te czarne głowy zmierzające do brzegu i nic nie mówił.

— Ts-ts.

— Ts.

Mr Abe wyciągnął łódź na piasek i pomógł wysiąść koteczkowi Li i Grecie.

— Biegnij szybko do aparatu — powiedziała szeptem artystka. — A kiedy powiem ci „teraz", zacznij kręcić.

— Przecież już nic nie będzie widać — zaoponował Abe.

— Więc Judy musi oświetlać. Greto!

Podczas gdy Abe Loeb zajął swe miejsce przy aparacie, artystka położyła się na piasku jak umierający łabędź, a panna Greta poprawiła fałdy jej szlafroka.

— Żeby mi było widać kawałek nogi — wyszeptał rozbitek. — Gotowe? To odejdź! Teraz, Abe!

Abe zaczął kręcić korbką.

— Judy, światło!

Ale żadne światło się nie zapaliło. Z morza wynurzyły się kołyszące się cienie i zbliżały się do Li. Greta zasłoniła sobie usta ręką, żeby nie krzyczeć.

— Li! — zawołał Mr Abe. — Li, uciekaj!

— Najf!

— Ts-ts-ts.

— Li.

— Li

— A-be.

Ktoś odbezpieczył rewolwer.

— Do diabła, nie strzelać! — syknął kapitan.

— Li! — zawołał Abe i przestał kręcić. — Judy, światło!

Li powoli, ociągając się wstała i uniosła ręce ku niebu. Leciutki szlafroczek zsunął się z jej ramion. Teraz stała tam w bieli, wyciągając wdzięcznie ręce nad głową, jak to czynią rozbitkowie, gdy odzyskują przytomność.

Mr Abe zaczął energicznie kręcić korbką.

— Cholera, Judy, świeć!

— Ts-ts-ts!

— Najf.

— Najf.

— A-be!

Czarne cienie kołysały się i krążyły wokół białej Li. Zaraz, zaraz, to już nie jest zabawa. Li już nie wyciągała rąk nad głową, lecz piszcząc, odsuwała coś od siebie.

— Abe, to mnie dotknęło!

W tej chwili zapaliło się oślepiające światło, Abe szybko zakręcił korbą, Fred i kapitan podbiegli z rewolwerami do Li, która przykucnęła i z przerażenia nie mogła wydobyć z siebie głosu. Równocześnie w ostrym świetle widać było dziesiątki i setki długich, ciemnych cieni, jak pędem wślizgują się do morza. Równocześnie dwóch marynarzy zarzuciło sieć na jeden z uciekających cieni. Równocześnie Greta omdlała, padając jak kłoda. Równocześnie rozległy się dwa lub trzy wystrzały, z morza słychać było głośny plusk, dwóch marynarzy leżało na czymś, co się pod nimi zwijało i miotało, a światło w rękach panny Judy zgasło.

Kapitan zapalił kieszonkową latarkę.

— Dziecino, nic się pani nie stało?

— To dotknęło mojej nogi — kwilił koteczek. — Fred, to było straszne!

Teraz zjawił się też Mr Abe ze swoją latarką.

— Świetnie poszło, Li — uspokajał ją — ale Judy powinna była wcześniej zapalić światło!

— Nie dało się zaświecić — pisnęła Judy. — Prawda, Fred, że się nie dało?

— Judy się bała — tłumaczył ją Fred. — Słowo honoru, nie zrobiła tego naumyślnie, co nie, Judy?

Judy czuła się dotknięta. Tymczasem jednak podeszli ci dwaj marynarze, wlokąc w sieci coś, co rzucało się jak wielka ryba.

— Mamy to, kapitanie. I to żywe.

— Ten potwór strzykał jakąś trucizną. Mam całe ręce w pęcherzach. Pali to jak ogień.

— Mnie to też dotknęło — jęczała panna Li. — Poświeć, Abe! Zobacz, czy nie mam tu pęcherza.

— Nie, nic tam nie masz, kochanie — zapewniał ją Abe. O mało nie pocałował tego miejsca nad kolanem, które koteczek niespokojnie rozcierał.

— Ależ to było zimne, brr — żaliła się Li.

— Zgubiła pani perłę, *ma'am* — powiedział jeden z marynarzy i podał Li kuleczkę, którą podniósł z piasku.

— O Boże, Abe! — wykrzyknęła panna Li. — One mi znowu przyniosły perły! Dzieci, chodźcie szukać pereł! Tu będzie mnóstwo pereł, które mi te biedactwa przyniosły! Prawda, Fred, że są rozkoszne? O, tu też jest perła!

— I tutaj!

Trzy latarki zwróciły snopy światła ku ziemi.

— Znalazłem jedną ogromną!

— To moja! — krzyknął koteczek Li.

— Fred — odezwała się lodowato panna Judy.

— Zaraz — powiedział Fred, brnąc w piasku po kolana.

— Fred, chcę wrócić na jacht!

— Niech ktoś cię tam zawiezie — bąknął Fred, bardzo zajęty. — Cholera, ale zabawa!

Trzej panowie i panna Li nadal poruszali się w piasku jak wielkie robaczki świętojańskie.

— Tu są trzy perły — zameldował kapitan.

— Niech pan pokaże, niech pan pokaże! — piszczała zachwycona Li, czołgając się na kolanach w stronę kapitana. W tej chwili rozbłysło światło magnezji i zaterkotała korbka aparatu filmowego.

— Teraz was mam — oświadczyła mściwie Judy. — To będzie wspaniałe zdjęcie dla prasy. „Grupa Amerykanów poszukuje pereł". „Morskie jaszczury rzucają w ludzi perłami".

Fred usiadł.

— Do diabła, Judy ma rację. Dzieci, musimy to dać do prasy!

Li również usiadła.

— Judy jest kochana. Judy, zrób nam jeszcze jedno zdjęcie, ale z przodu.

— To byś dużo straciła, kochana — zauważyła Judy.

— Dziatki — powiedział Mr Abe — powinniśmy raczej szukać pereł. Zbliża się przypływ.

W ciemności przy brzegu morza poruszył się czarny kołyszący się cień. Li wrzasnęła:

— Tam... tam...

Trzy latarki rzuciły snopy światła w tę stronę. Ale to była Greta, szukająca w ciemnościach pereł.

Li trzymała na kolanach czapkę kapitana, w której połyskiwało dwadzieścia jeden pereł. Abe napełniał kieliszki, a Judy obsługiwała gramofon. Była wspaniała gwiaździsta noc, morze szumiało nieustannie.

— Więc jaki damy temu tytuł? — dopytywał się głośno Fred. — „Córka przemysłowca z Milwaukee filmuje kopalne płazy".

— „Przedpotopowe jaszczury składają hołd pięknu i młodości" — zaproponował poetycko Abe.

Kapitan odkaszlnął.

— Właściwie to ja ruszyłem wcześniej, panno Judy. Ale nie mówmy o tym. Ja myślę, że tytuł powinien brzmieć naukowo. Lakonicznie i... po prostu naukowo. „Przed-alu--wial-na fauna na wyspie pacyficznej".

— Przedlyduwialna — poprawił go Fred. — Nie, przedwyludialna. Do diabła, jak to jest? Antyluwialna, anteduwialna. Nie, to nie tak. Musimy nadać temu jakiś prostszy tytuł, żeby każdy mógł to wymówić. A Judy jest świetna.

— Przeddyluwialna[25] — powiedziała Judy.

Fred pokręcił głową.

— Za długie, Judy. Dłuższe niż te potwory razem z ogonem. Tytuł ma być krótki. Ale Judy jest nadzwyczajna, co? Niech pan przyzna, kapitanie, że jest świetna?

— Przyznaję — zgodził się kapitan. — Doskonała dziewczyna.

— Równy z pana gość, kapitanie — powiedział z uznaniem młody olbrzym. — Dzieci, kapitan to swój chłop. Ale przeddyluwialna fauna to bzdura. To nie jest tytuł dla prasy. To już raczej „Kochankowie na perłowej wyspie" albo coś takiego.

— „Trytony obsypują perłami białą Lily!" — krzyczał Abe. — „Hołd królestwa Posejdona!", „Nowa Afrodyta!".

— Bzdury! — zaprotestował wzburzony Fred. — Żadne trytony nigdy nie istniały. To naukowo dowiedzione, chłopie. I nie było żadnej Afrodyty. Prawda, Judy, że jej nie było? „Walka ludzi z prajaszczurami!". „Dzielny kapitan atakuje przedpotopowe potwory!". Człowieku, taki tytuł musi mieć wydźwięk!

— Wydanie specjalne! — wołał Abe. — „Aktorka filmowa atakowana przez morskie potwory! Seksapil młodej kobiety pokonuje przedpotopowe jaszczury! Kopalne płazy wolą blondynki!".

— Abe — odezwał się koteczek Li — mam świetny pomysł.

— Jaki?

— Na film. To by była kapitalna sprawa, Abe. Wyobraź sobie, że bym się kąpała na brzegu morza...

— W tej koszulce bardzo ci do twarzy, Li — wtrącił Abe.

— Prawda? I te trytony zakochałyby się we mnie i porwałyby mnie na dno morza. I byłabym ich królową.

— Na morskim dnie?

— Tak, pod wodą. W ich tajemniczym królestwie, wiesz? One tam przecież mają miasta i wszystko.

— Kochanie, przecież musiałabyś się tam utopić!

— Nie bój się, umiem pływać — odparł beztrosko koteczek Li. — Tylko raz dziennie wypływałabym na brzeg, żeby nawdychać się powietrza. — Li zaprezentowała ćwiczenie oddechowe połączone z wyprężeniem piersi i ruchami ramion jak przy pływaniu. — Jakoś tak. A na brzegu zakochałby się we mnie... na przykład młody rybak. A ja w nim. Do szaleństwa — westchnął koteczek. — Wiesz, on byłby taki piękny i silny. I te trytony chciałyby go utopić, ale ja bym go ocaliła i poszłabym z nim do jego chaty. A te trytony by nas tam oblegały... no, a potem, na przykład, wy przyszlibyście nas uratować.

— Li — powiedział Fred poważnie — to jest tak potwornie głupie, że faktycznie można by to nakręcić. Byłbym zdziwiony, gdyby stary Jesse nie zrobił z tego megahitu.

Fred miał rację. Powstał z tego w swoim czasie superfilm produkcji Jesse Loeb Pictures z panną Lily Valley w roli głównej. Przy jego realizacji zatrudniono sześćset nereid, jednego Neptuna i dwanaście tysięcy statystów przebranych za różne przedpotopowe jaszczury. Lecz zanim do tego doszło, upłynęło wiele wody i sporo się wydarzyło, a mianowicie:

1. Schwytane zwierzę, trzymane w wannie w łazience koteczka Li, przez dwa dni cieszyło się żywym zainteresowaniem całego towarzystwa; trzeciego dnia przestało się ruszać, a panna Li stwierdziła, że biedactwo tęskni; czwartego dnia zaczęło cuchnąć i musiało zostać wyrzucone w stanie zaawansowanego rozkładu.

2. Z ujęć nakręconych na lagunie nadawały się do użytku tylko dwa. Na jednym koteczek Li przysiada ze strachu, machając rozpaczliwie rękami na widok stojących zwierząt. Wszyscy twierdzili, że to fantastyczne ujęcie. Na drugim widać było trzech mężczyzn i jedną kobietę, klęczących z nosami przy ziemi; wszyscy byli tyłem i wyglądali, jakby się czemuś kłaniali. To ujęcie zostało usunięte.

3. Co się tyczy propozycji tytułów prasowych, wykorzystano niemal wszystkie (łącznie nawet z tą przeddyluwialną fauną) w setkach amerykańskich i światowych dzienników, tygodników i magazynów. Pod tytułami zamieszczono opisy całego wydarzenia z wieloma szczegółami i zdjęciami, między innymi fotografię koteczka Li pośród jaszczurów, fotografię samego jaszczura w wannie, fotografię samej Li w stroju kąpielowym, fotografię panny Judy, Mr Abe'a Loeba, Baseball Freda, kapitana jachtu „Gloria Pickford", samej wyspy Taraiwa i samych pereł, rozłożonych na czarnym zamszu. To zapewniło karierę koteczkowi Li. Odmówiła ona nawet występów w *varieté* i oświadczyła reporterom gazet, że zamierza poświęcić się wyłącznie Sztuce.

4. Pojawili się jednak ludzie, którzy powołując się na swe specjalistyczne wykształcenie, twierdzili, że jeśli sądzić na podstawie zdjęć, nie chodzi o żadne prastare jaszczury, lecz o pewien rodzaj salamander. Jeszcze więksi specjaliści twierdzili, że ten rodzaj salamander nie jest znany uczonym, a więc nie istnieje. W prasie rozgorzała długa dyskusja na ten temat, którą zakończył profesor J. W. Hopkins (Yale University) oświadczeniem, że zbadał przedstawione zdjęcia i uważa je za oszustwo (*hoax*) albo triki filmowe; że widoczne na nich zwierzęta przypominają nieco salamandrę olbrzymią japońską (*Cryptobranchus japonicus, Sieboldia maxima, Tritomegas Sieboldii* lub *Megalobatrachus Sieboldii*), ale nieumiejętnie, wręcz dyletancko podrobioną. W ten sposób cała sprawa została na dłuższy czas zamknięta.

5. Wreszcie, w odpowiednim czasie, Mr Abe Loeb ożenił się z panną Judy. Jego najlepszy przyjaciel Baseball Fred był świadkiem Abe'a na ślubie, który odbył się z wielką pompą, z udziałem wielu ważnych osobistości z kręgów politycznych, artystycznych i innych.

8. Andrias Scheuchzeri[26]

Ludzkie wścibstwo nie zna granic. Ludziom nie wystarczyło, że profesor J. W. Hopkins z Yale University, największy w tym czasie autorytet w dziedzinie gadów, uznał owe zagadkowe stwory za pseudonaukowy humbug i zwykły wytwór fantazji. W prasie fachowej i w gazetach zaczęły się mnożyć wiadomości o pojawieniu się w rozmaitych miejscach Oceanu Spokojnego nieznanych dotąd zwierząt, podobnych do ogromnych salamander. Stosunkowo wiarygodnych danych dostarczały znaleziska na Wyspach Salomona, na wyspie Schouten, na atolach Kapingaramangi, Butaritari i Tabiteuea, dalej na całej grupie wysepek: Nukufetau, Fanufuti, Nukonono i Fakaofo, następnie aż na archipelagu Riau, na Ua Huka, Uapu i Pukapuka. Cytowano opowieści o „diabłach kapitana van Tocha" (głównie w rejonie Melanezji) i o „trytonach panny Lili" (raczej w Polinezji). Gazety uznały, że chodzi prawdopodobnie o różne gatunki podmorskich przedpotopowych monstrów, głównie dlatego, że nastał sezon ogórkowy i nie było o czym pisać. Podmorskie potwory cieszą się u czytelników znacznym powodzeniem. Szczególnie w USA nastała moda na trytony. W Nowym Jorku grano tysiąc razy fabularyzowaną rewię *Posejdon* z trzystoma najładniejszymi trytonkami, nereidami i syrenami; w Miami i na kalifornijskich plażach młodzież kąpała się w kostiumach trytonów i nereid (tj. trzy sznury pereł i nic więcej), a w środkowych i środkowo-zachodnich Stanach niezwykle urósł w siłę Ruch na rzecz Zwalczania Niemoralności (RZN); doszło przy tym do publicznych manifestacji i kilku Murzynów powieszono, a kilku innych spalono.

Wreszcie w „The National Geographic Magazine" opublikowano biuletyn Wyprawy Naukowej Uniwersytetu Columbia (zorganizowanej dzięki wsparciu finansowemu J. S. Tinckera, zwanego „królem konserw"). Tę relację podpisali P. L. Smith, W. Kleinschmidt, Charles Kovar, Louis Forgeron i D. Herrero, a więc światowe sławy, zwłaszcza w dziedzinie rybich pasożytów, robaków obrączkowanych, biologii roślinnej, orzęsków i mszyc. Oto fragmenty obszernego sprawozdania:

> „(...) Na wyspie Rakahanga wyprawa po raz pierwszy napotkała odciski tylnych nóg nieznanej dotąd olbrzymiej salamandry. Odciski są pięciopalczaste, długość palców 3–4 centymetry. Sądząc po ilości śladów, wybrzeże wyspy Rakahanga musi się wprost roić od tych jaszczurów. Ponieważ nie było tam odcisków przednich nóg (z wyjątkiem jednego czteropalczastego, prawdopodobnie młodego osobnika), wyprawa uznała, że te salamandry widocznie poruszają się na tylnych kończynach.
>
> Nadmieniamy, że na wysepce Rakahanga nie ma rzeki ani mokradeł; te jaszczury żyją zatem w morzu i są chyba jedynymi przedstawicielami swego gatunku, którzy zamieszkują środowisko pelagiczne. Wiadomo wprawdzie, że aksolotl meksykański (*Amblystoma mexicanum*) przebywa w słonych jeziorach, ale o salamandrach pelagicznych (żyjących w morzu) nie znajdujemy wzmianki nawet w klasycznym dziele W. Korngolda *Płazy ogoniaste* (*Urodela*), Berlin 1913.
>
> (...) Czekaliśmy do popołudnia, żeby złowić albo chociaż ujrzeć żywy egzemplarz, ale nadaremnie. Z żalem opuszczaliśmy uroczą wysepkę Rakahanga, gdzie D. Herrerze udało się znaleźć piękny nowy gatunek pluskwiaka (...).
>
> Znacznie więcej szczęścia mieliśmy na wyspie Tongarewa. Czekaliśmy na wybrzeżu z bronią w rękach. Po zachodzie słońca wynurzyły się z wody głowy salamander, dosyć duże i lekko spłaszczone. Po chwili płazy wyszły na piasek, posuwając się dosyć zgrabnie na tylnych nogach, kołyszącym się krokiem. Gdy siedziały, miały nieco ponad metr wysokości. Rozsiadły się w szerokim kręgu i zaczęły dziwnym ruchem kręcić górną częścią ciała; wyglądało to, jakby tańczyły. W. Kleinschmidt wstał, żeby lepiej widzieć. Wtedy jaszczury zwróciły ku niemu głowy i na krótką chwilę zupełnie zdrętwiały; potem zaczęły zbliżać się do niego ze znaczną prędkością, wydając syczące i szczekliwe odgłosy. Kiedy były mniej więcej siedem kroków od niego, strzeliliśmy do nich. Gwałtownie rzuciły się do ucieczki i wpadły do morza; tego wie-

czoru już się nie pokazały. Na brzegu zostały tylko dwie martwe salamandry i jedna z przetrąconym kręgosłupem, wydająca dziwaczne odgłosy, coś jakby „ogod, ogod, ogod". Później skonała, gdy W. Kleinschmidt otworzył nożem jej klatkę piersiową (...)".

(Tu następują anatomiczne szczegóły, których my, laicy, i tak byśmy nie zrozumieli; biegłych w tematyce czytelników odsyłamy do cytowanego biuletynu).

„Chodzi więc, jak widać na podstawie przytoczonych danych o typowego przedstawiciela rzędu płazów ogoniastych (*Urodela*), do których, jak wszystkim wiadomo, należy rodzina salamandrowatych (*Salamandridae*), obejmująca gatunki traszek (*Tritones*) i salamander (*Salamandrae*), oraz rodzina salamander syrenowatych (*Ichthyoidea*), obejmująca salamandry skrytoskrzelne (*Cryptobranchiata*) i jawnoskrzelne (*Phanerobranchiata*). Płaz napotkany na wyspie Tongarewa wydaje się najbliżej spokrewniony z salamandrami syrenowatymi jawnoskrzelnymi. Pod wieloma względami, między innymi swymi rozmiarami, przypomina salamandrę olbrzymią japońską (*Megalobatrachus Sieboldii*) albo salamandrę amerykańską (*Cryptobranchus alleganiensis*), zwaną »diabłem błotnym«, ale różni się od nich dobrze rozwiniętymi receptorami i dłuższymi, mocniejszymi kończynami, które pozwalają mu na dość zwinne poruszanie się zarówno w wodzie, jak i na lądzie".

(Tu następują dalsze szczegóły z zakresu anatomii porównawczej).

„Gdy wypreparowaliśmy szkielety zabitych zwierząt, doszliśmy do najciekawszych ustaleń: że mianowicie szkielet tych płazów pasuje niemal idealnie do kopalnego odcisku szkieletu salamandry, który znalazł na kamiennej płycie z kamieniołomów w Öhningen doktor Johannes Jakob Scheuchzer i który przedstawił w dziele *Homo diluvii testis*, wydanym w roku 1726. Mniej wtajemniczonym czytelnikom przypomnijmy, że wspomniany doktor Scheuchzer uważał tę skamieniałość za szczątki przedpotopowego człowieka. »Załączony tu wizerunek — pisze — który przedkładam światu naukowemu w postaci pięknego drzeworytu, jest bez wątpienia obrazem człowieka, który był świadkiem potopu na świecie; nie ma tu linii, z których bujna wyobraźnia musiałaby dopiero zbudować coś, co byłoby podobne do człowieka, lecz wszędzie widzimy całkowitą zgodność z poszczególnymi elementami ludzkiego szkieletu i doskonałą symetrię. Skamieniały człowiek ukazany jest tu z przodu; oto pomnik wymarłej ludzkości, starszy od wszystkich nagrobków rzymskich, greckich, ba — nawet egipskich i wszystkich wschodnich razem wziętych«".

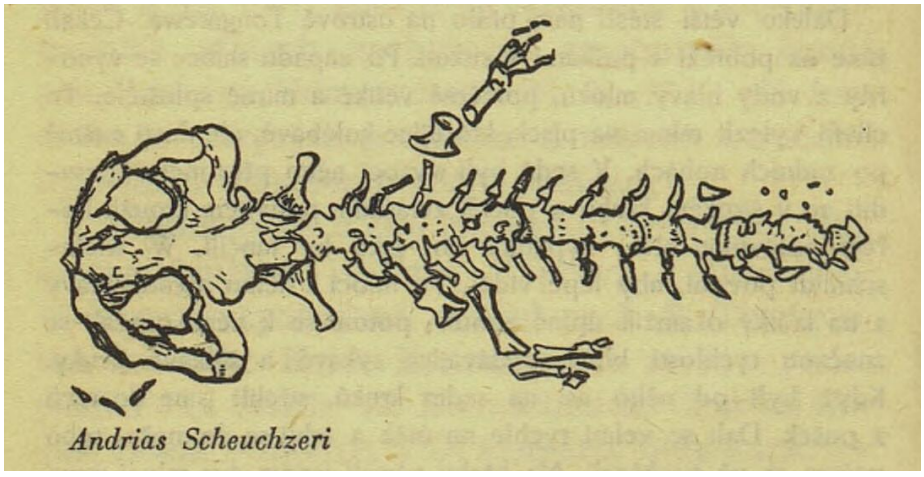

Później Cuvier rozpoznał w odcisku z Öhningen szkielet skamieniałej salamandry, który nazwano *Cryptobranchus primaevus* albo *Andrias Scheuchzeri Tschudi* i uważano za gatunek dawno wymarły. Dzięki porównaniu osteologicznemu udało nam się zidentyfikować nasze płazy jako wymarłą rzekomo prehistoryczną salamandrę. Tajemniczy prajaszczur, jak go nazywano w gazetach, to nic innego jak skamieniała skrytoskrzelna salamandra *Andrias Scheuchzeri* albo, jeśli potrzebna jest nowa nazwa, *Cryptobranchus Tinckeri erectus*, czyli salamandra olbrzymia polinezyjska.

Pozostaje zagadką, dlaczego ta interesująca salamandra olbrzymia umknęła aż do tej pory uwadze naukowców, chociaż przynajmniej na wyspach Rakahanga i Tongarewa w archipelagu Manihiki występuje nader licznie. Nie wspominają też o niej Randolph i Montgomery w swym dziele *Dwa lata na wyspach Manihiki* (1885). Tamtejsi mieszkańcy twierdzą, że to zwierzę — które nawiasem mówiąc uważają za jadowite — zaczęło się pokazywać dopiero przed sześcioma czy ośmioma laty. Opowiadają, że „morskie diabły" potrafią mówić (!) i budują sobie w zatokach, gdzie żyją, całe systemy wałów i tam na kształt podmorskich miast. Podobno w ich zatokach przez cały rok woda jest spokojna jak w stawie. Podobno wygrzebują sobie pod wodą wielometrowe nory i korytarze, w których przebywają w ciągu dnia. Podobno w nocy kradną na polach bataty i yamy, i zabierają ludziom motyki i inne narzędzia. Ludzie na ogół ich nie lubią, a nawet się ich boją; w wielu przypadkach woleli przeprowadzić się gdzie indziej. Prawdopodobnie chodzi tu o zwykłe prymitywne przesądy i zabobony, wywołane odpychającym wyglądem i poniekąd ludzkim chodem w pozycji wyprostowanej tych nieszkodliwych wielkich jaszczurów.

Z daleko idącą ostrożnością należy przyjmować także informacje podróżników, według których te jaszczury pojawiają się również na innych wyspach niż Manihiki. Natomiast można bez najmniejszej wątpliwości uznać odcisk tylnej nogi, znaleziony niedawno na wybrzeżu wyspy Tongatapu, który opublikował Capt. Croisset w „La Nature", za ślad *Andriasa Scheuchzeri*. To odkrycie jest szczególnie ważne dlatego, że łączy występowanie owych płazów na Manihiki Islands z obszarem australijsko-nowozelandzkim, gdzie zachowało się tak wiele pozostałości rozwoju prastarej fauny. Przypomnijmy zwłaszcza „przedpotopowego" jaszczura hatterię czyli tuatara, do dziś żyjącego na Stephens Island. Na tych osamotnionych, na ogół słabo zaludnionych i cywilizacją prawie nieskażonych wysepkach mogły sporadycznie zachować się resztki gatunków zwierzęcych gdzie indziej już wymarłych. Do kopalnego jaszczura hatterii dołączyła teraz, dzięki panu J. S. Tinckerowi, przedpotopowa salamandra. Poczciwy doktor Johannes Jakob Scheuchzer dożyłby teraz wskrzeszenia swego Adama z Öhningen...

Ten biuletyn naukowy wystarczyłby niewątpliwie do tego, by w pełni objaśnić problem zagadkowych morskich stworzeń, o których tyle już mówiono. Niestety, równocześnie z nim ukazała się praca holenderskiego badacza van Hogenhoucka, który zaszeregował te skrytoskrzelne salamandry olbrzymie do rodziny salamandrowatych, pod nazwą *Megatriton moluccanus*, i rozszerzył ich występowanie na holendersko-sundajskich wyspach Dżilolo, Morotai i Ceram. Oprócz tego pojawił się raport francuskiego uczonego dr. Mignarda, który określił je jako typowe salamandry, wyznaczył im pierwotne siedziby na francuskich wyspach Takaroa, Rangiroa i Raroia i nazwał je po prostu *Cryptobranchus salamandroides*. Natomiast H. W. Spence rozpoznał w nich nową rodzinę *Pelagidae*, rdzennie zamieszkującą Wyspy Gilberta, i wprowadził ją do świata nauki pod nazwą rodzajową *Pelagotriton Spencei*. Mr Spence'owi udało się dostarczyć jeden żywy egzemplarz do londyńskiego zoo, gdzie stał się przedmiotem dalszych badań, z których wyłonił się pod nazwami *Pelagobatrachus Hookeri*, *Salamandrops maritimus*, *Abranchus giganteus*, *Amphiuma gigas* i wieloma innymi. Niektórzy uczeni twierdzili, że *Pelagotriton Spencei* jest tożsamy z *Cryptobranchus Tinckeri* i że salamandra Mignarda to nic innego tylko *Andrias Scheuchzeri*. Wynikło wokół tego wiele sporów o pierwszeństwo i inne czysto naukowe problemy. Doprowadziły one do tego, że w końcu przyrodoznawstwo w każdym kraju miało swoje własne salamandry olbrzymie i jak najzajadlej zwalczało naukowo salamandry olbrzymie innych krajów. Dlatego też w tej całej aferze z jaszczurami nie osiągnięto pod względem naukowym ostatecznego porozumienia i nie wyjaśniono definitywnie sprawy płazów.

9. Andrew Scheuchzer

Stało się to któregoś czwartku, kiedy londyńskie zoo było zamknięte dla publiczności. Pan Thomas Greggs, strażnik w pawilonie jaszczurów, czyścił baseny i terraria swych podopiecznych. Był zupełnie sam w oddziale płazów, gdzie wystawiono salamandrę olbrzymią japońską, amerykańskiego „diabła błotnego", *Andriasa Scheuchzeri* i mnóstwo drobnych traszek, jaszczurek, aksolotlów, syren, odmieńców jaskiniowych, żebrowców i innych odmieńcowatych. Pan Greggs uwijał się ze szmatą i miotłą, pogwizdując sobie *Annie Laurie*[27]. Nagle ktoś za nim skrzeczącym głosem powiedział:

— Zobacz, mamusiu!

Pan Thomas Greggs obejrzał się, ale nikogo tam nie było; tylko diabeł błotny mlaskał w swoim mule, a wielki czarny jaszczur, ten *Andrias*, opierał się przednimi łapkami i kręcił tułowiem. „Coś mi się wydawało" — pomyślał pan Greggs i dalej zamiatał podłogę, aż świszczało.

— Popatrz, jaszczur! — odezwało się za nim.

Pan Greggs odwrócił się szybko; czarny płaz patrzył na niego, mrugając dolnymi powiekami.

— Brr, ten jest obrzydliwy — powiedział nagle. — Chodźmy stąd, kochanie.

Pan Greggs otworzył usta ze zdziwienia.

— Co?

— Nie gryzie? — zaskrzeczał płaz.

— Ty... ty umiesz mówić? — wyjąkał pan Greggs, nie wierząc własnym zmysłom.

— Ja się go boję — wyrzucił z siebie jaszczur. — Mamusiu, co on jada?

— Powiedz dzień dobry — wykrztusił zdumiony pan Greggs.

Płaz zakręcił tułowiem.

— Dzień dobry — zaskrzeczał. — Dzień dobry. Dzień dobry. Mogę mu dać ciastko?

Pan Greggs sięgnął zmieszany do kieszeni i wyciągnął kawałek bułki.

— Na, tu masz.

Jaszczur wziął bułkę do łapki i zaczął ją próbować.

— Popatrz, jaszczur — chrząkał zadowolony. — Tatusiu, czemu jest taki czarny? — Nagle zanurzył się w wodzie i wystawił tylko głowę. — Dlaczego jest w wodzie? Dlaczego? Hu, ten jest obrzydliwy!

Pan Greggs drapał się zdumiony po karku. „Aha, on powtarza to, co usłyszy od ludzi".

— Powiedz Greggs — spróbował.

— Powiedz Greggs — powtórzył jaszczur.

— Pan Thomas Greggs.

— Pan Thomas Greggs.

— Dzień dobry panu.

— Dzień dobry panu. Dzień dobry. Dzień dobry panu.

Wydawało się, że płaz nie może nacieszyć się mówieniem, ale Greggs nie wiedział, co jeszcze mu powiedzieć. Pan Thomas Greggs nie był człowiekiem zbyt elokwentnym.

— Teraz się zamknij — powiedział — a jak skończę, będę cię uczył mówić.

— Teraz się zamknij — zamruczał jaszczur. — Dzień dobry panu. Popatrz, płaz. Będę cię uczył mówić.

Jednakże dyrekcja zoo niechętnie patrzyła na to, że strażnicy uczą swe zwierzęta jakichś sztuczek. Słoń to co innego, ale pozostałe zwierzęta są tu w celach edukacyjnych, a nie żeby urządzać jakiś cyrk. Dlatego pan Greggs przebywał na oddziale płazów w zasadzie potajemnie, gdy już nikogo tam nie było. Ponieważ był wdowcem, nikt nie dziwił się, że samotnie spędza czas w pawilonie z jaszczurami. Każdy człowiek ma jakieś upodobania. Zresztą oddział płazów odwiedzało mało ludzi; to raczej krokodyl cieszył się dużą popularnością, ale *Andrias Scheuchzeri* na ogół spędzał dni samotnie.

Kiedyś, gdy już się ściemniało i zamykano pawilony, dyrektor zoo sir Charles Wiggam przechodził przez niektóre oddziały, żeby się przekonać, czy wszystko jest w porządku.

Gdy szedł przez oddział płazów, coś zapluskało w jednym z basenów i ktoś skrzekliwie powiedział:

— Dobry wieczór panu.

— Dobry wieczór — odpowiedział zdziwiony dyrektor. — Kto tam jest?

— Przepraszam pana — powiedział skrzekliwy głos. — To nie jest pan Greggs.

— Kto tam jest? — powtórzył dyrektor.

— Andy. Andrew Scheuchzer.

Sir Charles podszedł bliżej do basenu. Siedział tam tylko wyprostowany i nieruchomy jaszczur.

— Kto to mówił?

— Andy, proszę pana — powiedziała salamandra. — Kim pan jest?

— Wiggam — wykrztusił zaskoczony sir Charles.

— Miło mi — odparł Andrias uprzejmie. — Jak się pan ma?

— Do diaska! — wrzasnął sir Charles. — Greggs! Hej, Greggs!

Jaszczur, nie czekając na dalszy rozwój wypadków, drgnął i błyskawicznie schował się w wodzie.

W drzwiach pojawił się Thomas Greggs, zdyszany i zaniepokojony.

— Słucham pana.

— Greggs, co to znaczy? — rzucił sir Charles.

— Stało się coś, proszę pana? — wyjąkał Greggs niepewnie.

— To zwierzę mówi!

— Proszę wybaczyć — powiedział załamany pan Greggs. — Nie wolno ci tego robić, Andy. Tysiąc razy ci mówiłem, że nie powinieneś naprzykrzać się ludziom swoim gadaniem. Proszę wybaczyć, panie dyrektorze, to się więcej nie powtórzy.

— To wy nauczyliście tego płaza mówić?

— Ale to on zaczął, proszę pana — bronił się Greggs.

— Mam nadzieję, że to się już nie powtórzy, Greggs — powiedział surowo sir Charles. — Będę was miał na oku.

Po pewnym czasie sir Charles i profesor Petrov rozmawiali o tak zwanej inteligencji zwierząt, o odruchach warunkowych i o tym, jak popularne poglądy przeceniają zdolności rozumowe zwierząt. Profesor Petrov wyraził wątpliwość odnośnie koni z Eberfeld, które podobno potrafiły nie tylko liczyć, ale też podnosić do potęgi i pierwiastkować. „Przecież nawet normalny, wykształcony człowiek nie umie pierwiastkować" — powiedział wielki uczony. Sir Charles przypomniał sobie mówiącą salamandrę Greggsa.

— Mam tu salamandrę — zaczął z wahaniem — to ten znany *Andrias Scheuchzeri*. I ona nauczyła się mówić jak papuga.

— Wykluczone — powiedział naukowiec. — Salamandry mają przecież przyrośnięty język.

— Więc niech pan pójdzie i zobaczy — odparł sir Charles. — Dzisiaj jest sprzątanie pawilonów, więc nie będzie tam dużo ludzi.

I poszli.

Przy wejściu do pawilonu płazów sir Charles zatrzymał się. Z wewnątrz dochodziło szuranie miotły i jednostajny głos, który coś sylabizował.

— Proszę poczekać — szepnął sir Charles.

— „Czy-na-Mar-sie-są-lu-dzie?" — sylabizował monotonny głos. — Mam to czytać?

— Co innego, Andy — odpowiedział drugi głos.

— „Czy-w te-go-ro-cznym-der-by-zwy-cię-ży-Pel-ham-Beau-ty-czy-Go-ber-na--dor?".

— Pelham-Beauty — odparł drugi głos. — Ale czytaj.

Sir Charles otworzył po cichu drzwi. Thomas Greggs zamiatał miotłą podłogę, a w sadzawce z morską wodą siedział *Andrias Scheuchzeri* i powoli, skrzekliwie sylabizował tekst z wieczornej gazety, którą trzymał w przednich łapach.

— Greggs! — zawołał sir Charles. Salamandra poruszyła się gwałtownie i zniknęła pod wodą.

Mr Greggs ze strachu upuścił miotłę.

— Tak, proszę pana?

— Co to znaczy?

— Proszę o wybaczenie, proszę pana — jąkał się nieszczęsny Greggs. — Andy mi czyta, a ja zamiatam. A kiedy on zamiata, ja czytam jemu.

— Kto go tego nauczył?

— On sam... naśladuje, proszę pana. Ja... ja mu daję gazetę, żeby tyle nie mówił. On by chciał bez przerwy mówić, proszę pana. Pomyślałem więc, żeby nauczył się przynajmniej mówić poprawnie...

— Andy! — zawołał sir Wiggam.

Z wody wynurzyła się czarna głowa.

— Tak, proszę pana — zaskrzeczała.

— Przyszedł cię zobaczyć profesor Petrov.

— Miło mi, proszę pana. Jestem Andy Scheuchzer.

— Skąd wiesz, że nazywasz się *Andrias Scheuchzeri*?

— Tu jest napisane, proszę pana: *Andreas Scheuchzer. Gilbert Islands*.

— Często czytasz gazety?

— Codziennie, proszę pana.

— A co cię tam najbardziej interesuje?

— Kronika sądowa, wyścigi konne, piłka nożna...

— Widziałeś kiedyś mecz piłki nożnej?

— Nie, proszę pana.

— Albo konie?

— Nie widziałem, proszę pana.

— Więc czemu to czytasz?

— Dlatego, że to jest w gazecie, proszę pana.

— Polityka cię nie interesuje?

— Nie, proszę pana. Będzie wojna?

— Tego nikt nie wie, Andy.

— Niemcy budują nowy typ łodzi podwodnej — powiedział Andy zatroskany. — Promienie śmierci mogą zamienić całe połacie lądów w pustynie.

— Przeczytałeś to w gazecie? — zapytał sir Charles.

— Tak, proszę pana. Czy w tegorocznym derby wygra Pelham-Beauty czy Gobernador?

— A ty jak myślisz, Andy?

— Gobernador, proszę pana. Ale pan Greggs myśli, że Pelham-Beauty. — Andy pokiwał głową. — Niech pan kupuje angielskie towary, proszę pana. Najlepsze są szelki Snydera. Czy ma pan już nowego sześciocylindrowego Tancreda Juniora? Szybki, tani, elegancki.

— Dziękuję, Andy. To wystarczy.

— Która aktorka filmowa najbardziej się panu podoba?

Profesor Petrov najeżył włosy i wąsy.

— Proszę wybaczyć, sir Charlesie — wymamrotał — ale muszę już iść.

— Dobrze, chodźmy. Andy, miałbyś coś przeciw temu, żebym przysłał do ciebie kilku uczonych panów? Myślę, że chętnie by z tobą porozmawiali.

— Będzie mi miło, proszę pana — zaskrzeczała salamandra. — Do widzenia, sir Charlesie. Do widzenia, profesorze.

Profesor Petrov maszerował szybkim krokiem, parskając i burcząc z poirytowania.

— Proszę wybaczyć, sir Charlesie — odezwał się w końcu — ale czy mógłby mi pan pokazać jakieś zwierzę, które *nie czyta* gazet?

Ci uczeni panowie to byli sir Bertram, D. M., profesor Ebbigham, sir Oliver Dodge, Julian Foxley i inni. Cytujemy fragment protokołu z ich badania *Andriasa Scheuchzeri*.

Jak się nazywasz?

Odp.: Andrew Scheuchzer.

Ile masz lat?

Odp.: Nie wiem. Chcecie wyglądać młodo? Noście gorset Libella.

Jaki dzień mamy dzisiaj?

Odp.: Poniedziałek. Ładna pogoda, proszę pana. W tę sobotę w Epsom pobiegnie Gibraltar.

Ile jest trzy razy pięć?

Odp.: A czemu?

Umiesz liczyć?

Odp.: Tak, proszę pana. Ile jest siedemnaście razy dwadzieścia dziewięć?

Pozwól, Andrew, że to my będziemy zadawać pytania. Wymień nam angielskie rzeki.

Odp.: Tamiza...

A inne?

Odp.: Tamiza.

Innych nie znasz, co? Kto panuje w Anglii?

Odp.: Król Jerzy. *God bless him*.

Dobrze, Andy. Kto jest największym angielskim pisarzem?

Odp.: Kipling.

Bardzo dobrze. Czytałeś którąś z jego książek?

Odp.: Nie. Jak wam się podoba Mae West[28]?

To raczej my będziemy cię pytać, Andy. Co wiesz o historii Anglii?

Odp.: Henryk Ósmy.

Co o nim wiesz?

Odp.: Najlepszy film ostatnich lat. Cudowna oprawa. Wspaniałe widowisko.

Widziałeś go?

Odp.: Nie widziałem. Chcecie poznać Anglię? Kupcie sobie Forda Baby.

Co byś najbardziej chciał zobaczyć, Andy?

Odp.: Wyścigi Cambridge–Oksford, proszę pana.

Ile jest kontynentów?

Odp.: Pięć

Bardzo dobrze. A jakie?

Odp.: Anglia i te inne.

A jakie są te inne?

Odp.: To są bolszewicy i Niemcy. I Włochy.

Gdzie są Wyspy Gilberta?

Odp.: W Anglii. Anglia nie będzie sobie wiązać rąk na lądzie. Anglia potrzebuje dziesięciu tysięcy samolotów. Odwiedźcie wybrzeże południowej Anglii.

Możemy zobaczyć twój język, Andy?

Odp.: Tak, proszę pana. Czyśćcie zęby pastą Flit. Jest oszczędna, jest najlepsza, jest angielska. Chcecie mieć pachnący oddech? Używajcie pasty Flit.

Dziękujemy, to wystarczy. A teraz powiedz nam, Andy...

I tak dalej. Protokół rozmowy z *Andriasem Scheuchzeri* liczył szesnaście pełnych stron i został opublikowany w „The Natural Science". Na końcu protokołu komisja naukowców podsumowała rezultaty swego eksperymentu następująco:

> 1. *Andrias Scheuchzeri*, salamandra chowana w londyńskim zoo, potrafi mówić, choć nieco skrzekliwie. Dysponuje zasobem około czterystu słów. Mówi tylko to, co usłyszała albo przeczytała. Nie można jednak mówić w jej przypadku o samodzielnym myśleniu. Jej język jest dosyć ruchliwy. Strun głosowych nie mogliśmy w danych okolicznościach bliżej zbadać.

2. Ta salamandra umie czytać, ale tylko wieczorne dodatki gazet. Interesują ją te same sprawy, co przeciętnego Anglika i reaguje na nie w podobny sposób, to znaczy zgodnie z ustalonymi, powszechnymi poglądami. Jej życie duchowe — jeśli w ogóle można o czymś takim mówić — składa się właśnie z wyobrażeń i opinii powszechnych w tym czasie.

3. Jej inteligencji nie należy przeceniać, gdyż pod żadnym względem nie przewyższa przeciętnego człowieka naszych czasów.

Sława

Pomimo tej trzeźwej opinii specjalistów Mówiąca Salamandra stała się sensacją londyńskiego zoo. Pupilek Andy był oblegany przez ludzi, którzy chcieli z nim porozmawiać o wszystkim, poczynając od pogody, a kończąc na kryzysie ekonomicznym i sytuacji politycznej. Przy tym dostawał od odwiedzających tyle czekolady i cukierków, że rozchorował się ciężko na katar żołądka i jelit. Oddział płazów musiał zostać w końcu zamknięty, ale było już za późno. *Andrias Scheuchzeri*, zwany Andy, zdechł w następstwie swej popularności. Jak widać, sława demoralizuje również płazy.

10. Odpust w Novém Strašecí

Povondra, odźwierny w domu radcy Bondego, tym razem spędzał urlop w swoim rodzinnym miasteczku. Nazajutrz miał być odpust. Gdy Povondra wyszedł z domu, prowadząc za rękę swego ośmioletniego syna Franka, całe Nové Strašecí pachniało ciastem, a na ulicy migały kobiety i dziewczyny niosące surowe ciasta do piekarza. Na rynku postawili już kramy dwaj cukiernicy, kramarz handlujący szkłem i porcelaną i krzykliwa kobieta sprzedająca wszelkiego rodzaju tkaniny bławatne. Był tam jeszcze płócienny namiot, ze wszystkich stron zakryty płachtami. Jakiś drobny mężczyzna, stojąc na drabince, mocował właśnie na górze tabliczkę z napisem.

Povondra zatrzymał się, żeby zobaczyć, co to będzie.

Wysuszony człowieczek zszedł z drabinki i patrzył z zadowoleniem na powieszony napis. A Povondra ze zdziwieniem czytał:

KAPITAN J. VAN TOCH
I JEGO TRESOWANE PŁAZY

Povondra przypomniał sobie potężnego mężczyznę w kapitańskiej czapce, którego kiedyś wpuszczał do pana Bondego. „To się biedak dorobił — powiedział współczująco Povondra sam do siebie. — Kapitan, a teraz jeździ po świecie z takim marnym cyrkiem! A taki krzepki, zdrowy był z niego człowiek. Powinienem go odwiedzić" — pomyślał Povondra litościwie.

Tymczasem drobny człowieczek powiesił przy wejściu do namiotu drugi napis:

!! MÓWIĄCE JASZCZURY!!
!! NAJWIĘKSZA SENSACJA NAUKOWA!!
Wstęp 2 korony. Dzieci w towarzystwie dorosłych połowę!

Povondra zawahał się. Dwie korony i korona za chłopca to dosyć dużo. Ale Franek dobrze się uczy, a poznanie egzotycznych zwierząt należy do wykształcenia. Povondra był skłonny poświęcić coś na wykształcenie, dlatego podszedł do tego suchego, drobnego człowieczka.

— Przyjacielu — zwrócił się do niego — chciałbym rozmawiać z kapitanem van Tochem.

Człowieczek wypiął pierś w pasiastym podkoszulku.

— To ja, proszę pana.

— Pan jest kapitanem van Tochem? — zdziwił się Povondra.

— Tak, proszę pana — powiedział człowieczek i pokazał kotwicę wytatuowaną na nadgarstku.

Povondra mrugał w zamyśleniu. Kapitan tak by się skurczył? Przecież to niemożliwe.

— Znam kapitana van Tocha osobiście — powiedział. — Nazywam się Povondra.

— A, to co innego — odparł człowieczek. — Ale te salamandry są naprawdę kapitana van Tocha, proszę pana. Stuprocentowo prawdziwe australijskie jaszczury, proszę pana.

Zechce pan zajrzeć do środka. Zaczyna się właśnie wielkie przedstawienie — zachęcał, unosząc płachtę przy wejściu.

— Chodź, Franku — rzekł ojciec Povondra i wszedł do środka. Przy małym stoliku natychmiast usiadła niezwykle gruba i duża paniusia. „Dziwna para" — pomyślał Povondra, płacąc trzy korony. Wewnątrz namiotu nie było niczego poza dość nieprzyjemnym zapachem i blaszaną wanną.

— Gdzie macie te salamandry? — spytał pan Povondra.

— W tej wannie — odrzekła obojętnym głosem gigantyczna dama.

— Nie bój się, Franku — powiedział ojciec Povondra i podszedł do wanny. Leżało tam w wodzie coś czarnego i apatycznego, wielkości starego suma; tylko jego skóra za głową była jakby trochę spuchnięta i spłaszczona.

— To jest ta przedpotopowa salamandra, o której pisano w gazetach — powiedział pouczająco ojciec Povondra, nie okazując synowi swego rozczarowania. („Znowu się dałem nabrać — pomyślał — ale chłopiec nie musi o tym wiedzieć. Szkoda tych trzech koron").

— Tatusiu, a czemu jest w wodzie? — spytał Franek.

— Ponieważ niektóre płazy żyją w wodzie.

— Tatusiu, a co on je?

— Ryby i takie inne rzeczy — odpowiedział po namyśle ojciec Povondra. („Coś muszą jeść").

— A czemu jest taka brzydka? — nalegał Franek.

Povondra nie wiedział, co rzec, ale w tej chwili wszedł do namiotu drobny człowieczek.

— Panie i panowie... — zaczął ochrypłym głosem.

— Macie tylko jedną salamandrę? — zapytał Povondra z wyrzutem. („Gdyby były przynajmniej dwie, pieniądze nie byłyby zmarnowane").

— Ta druga zdechła — powiedział człowieczek. — A to jest ten słynny Andryjasz, panie i panowie, rzadki i jadowity jaszczur z wysp australijskich. W swej ojczyźnie osiąga rozmiary człowieka i chodzi na dwóch nogach. Na! — powiedział i szturchnął kijem to coś czarnego i apatycznego, co leżało bez ruchu w wannie. To czarne coś poruszyło się i z wysiłkiem podniosło się z wody. Franek cofnął się trochę, ale Povondra ścisnął mu rękę na znak, żeby się nie bał, bo jest przy nim.

Teraz to coś stało na tylnych nogach i przednimi łapami opierało się o brzeg wanny. Skrzela za głową konwulsyjnie drgały, a czarny pysk chwytał powietrze. Miało to zdartą do krwi i zbyt luźną skórę, usianą brodawkami, i okrągłe żabie oczy, chwilami zaciągające się błoniastymi dolnymi powiekami.

— Jak widzicie, panie i panowie — kontynuował człowieczek ochrypłym głosem — to zwierzę żyje w wodzie, dlatego jest wyposażone w skrzela i płuca, żeby mogło oddychać, gdy wychodzi na brzeg. Na tylnych nogach ma po pięć palców, a na przednich po cztery, którymi potrafi chwytać różne przedmioty. Na! — Zwierzę ścisnęło w palcach kij i trzymało go przed sobą niczym żałosne berło.

— Potrafi też zrobić węzeł na sznurze — oznajmił człowieczek. Zabrał zwierzęciu kij i podał mu brudny sznurek. Zwierzę przez chwilę trzymało go w palcach, a potem naprawdę zaplątało węzełek.

— Umie także bębnić i tańczyć — skrzeczał człowieczek i podał zwierzęciu dziecięcy bębenek i pałeczkę. Zwierzę kilka razy uderzyło w bębenek i kręciło górną połową tułowia; upuściło przy tym pałeczkę do wody.

— Idźżeż ty, paskudo! — zerwał się człowieczek i wyłowił pałeczkę z wody.

— A do tego to zwierzę — dodał, podnosząc uroczyście głos — jest tak inteligentne i utalentowane, że potrafi mówić jak człowiek.

Mówiąc to, zaklaskał.

— *Guten Morgen* — zaskrzeczało zwierzę, żałośnie mrugając dolnymi powiekami. — Dzień dobry.

Povondra niemal się wystraszył, ale na Franku nie zrobiło to większego wrażenia.

— Co powiesz szanownej publice? — ostro zapytał człowieczek.

— Witam was — ukłoniła się salamandra; jej skrzela zaciskały się konwulsyjnie. — *Willkomen*[29]. *Ben venuti*[30].

— Umiesz liczyć?

— Umiem.

— Ile jest sześć razy siedem?

— Czterdzieści dwa — zaskrzeczał z wysiłkiem płaz.

— Widzisz, Franku — zwrócił się do syna ojciec Povondra — jak dobrze umie liczyć.

— Panie i panowie — piał człowieczek — możecie mu sami zadawać pytania.

— No to zapytaj go o coś, Franku — zachęcał pan Povondra.

Franek wiercił się zakłopotany. W końcu wykrztusił:

— Ile jest osiem razy dziewięć?

Prawdopodobnie wydawało mu się to najtrudniejszym ze wszystkich możliwych pytań.

Salamandra wolno zamrugała oczami.

— Siedemdziesiąt dwa.

— Jaki dzisiaj dzień? — zapytał Povondra.

— Sobota — odparła salamandra.

Povondra pokręcił z podziwem głową.

— Faktycznie, jak człowiek. Jak się nazywa to miasto?

Płaz otworzył pysk i zamknął oczy.

— Jest już zmęczona — wyjaśnił pospiesznie człowieczek. — Co powiesz państwu?

Salamandra ukłoniła się.

— Moje uszanowanie. Dziękuję uprzejmie. Do widzenia.

I prędko schowała się w wodzie.

— To jest... to jest osobliwe zwierzę — dziwił się Povondra. Ponieważ jednak trzy korony to sporo pieniędzy, dodał: — I niczego więcej tu już nie ma, co mógłby pan pokazać temu dziecku?

Człowieczek w zakłopotaniu naciągał sobie dolną wargę.

— To wszystko — rzekł. — Przedtem miałem jeszcze małpki, ale była z nimi taka historia... — tłumaczył się niewyraźnie. — Chyba, że bym wam pokazał moją żonę. Swego czasu była najtęższą kobietą na świecie. Maruszko, chodź tu!

Maruszka podniosła się z trudem.

— O co chodzi?

— Pokaż się panom, Maruszko.

Najtęższa kobieta na świecie kokieteryjnie przechyliła głowę na bok, wysunęła jedną nogę do przodu i uniosła suknię nad kolano. Widać było czerwoną wełnianą pończochę, a w niej coś nabrzmiałego i potężnego.

— Objętość nogi na górze osiemdziesiąt cztery centymetry — wyjaśniał wysuszony człowieczek — ale dziś, przy tej konkurencji, Maruszka nie jest już najgrubszą kobietą na świecie.

Povondra ciągnął oniemiałego Franka do wyjścia.

— Całuję rączki — zaskrzeczał płaz w wannie. — Przyjdźcie znowu. *Auf Wiedersehen*[31].

— I co, Franku — zapytał pan Povondra, gdy byli już na zewnątrz — nauczyłeś się czegoś?

— Nauczyłem — odparł Franek. — Tato, czemu ta pani ma czerwone pończochy?

II. O LUDOJASZCZURACH

Byłoby zapewne przesadą twierdzenie, że w tym czasie nie mówiono ani nie pisano o niczym innym, jak tylko o gadających salamandrach. Mówiono i pisano też o nadciągającej wojnie, o kryzysie gospodarczym, o meczach ligowych, o witaminach i o modzie. Tym niemniej o mówiących płazach pisano bardzo dużo, na ogół w sposób bardzo niefachowy. Dlatego wybitny naukowiec, profesor doktor Vladimír Uher z uniwersytetu w Brnie napisał do „Lidových novin" artykuł, w którym wskazywał na to, że domniemana zdolność *Andriasa Scheuchzeri* do artykułowanego mówienia, a właściwie naśladowania wymawianych słów, z naukowego punktu widzenia nie jest bynajmniej tak interesująca jak inne zagadnienia dotyczące tego osobliwego płaza. Zagadka naukowa *Andriasa Scheuchzeri* polega zupełnie na czym innym: na przykład, skąd pochodzi, gdzie jest jego praojczyzna, w której przeżył całe okresy geologiczne; dlaczego pozostał tak długo nieznany, skoro

teraz pojawia się tak licznie prawie na całym obszarze równikowym Oceanu Spokojnego. Wydaje się, że w ostatnim czasie rozmnaża się niezwykle szybko. Skąd się wzięła ta ogromna witalność w prastarym, trzeciorzędowym stworzeniu, które do niedawna prowadziło ukrytą, a więc prawdopodobnie krańcowo sporadyczną, o ile nie typograficznie izolowaną egzystencję? Czy może zmieniły się jakoś na korzyść biologiczne warunki życiowe dla tej kopalnej salamandry, tak że dla owego cennego mioceńskiego reliktu nastał nowy, zadziwiająco korzystny okres rozwojowy? W takiej sytuacji nie można było wykluczyć, że *Andrias Scheuchzeri* nie tylko będzie się z powodzeniem rozmnażać ilościowo, ale także rozwijać się pod względem jakościowym, i że nasza nauka będzie mieć niepowtarzalną okazję asystowania przy potężnej przemianie *in actu* jednego gatunku zwierząt. To, że *Andrias Scheuchzeri* potrafi wyskrzeczeć parę tuzinów słów i nauczy się kilku numerów, które laikowi wydają się przejawem jakiejś inteligencji, to nie jest, naukowo rzecz ujmując, żaden cud; ale cudem jest ta niezwykła siła witalna, która tak nagle i obficie ożywiła skostniałą egzystencję stworzenia zacofanego w rozwoju i niemal już wymarłego. Istnieją tu pewne szczególne okoliczności: *Andrias Scheuchzeri* jest jedyną salamandrą żyjącą w morzu i — co jeszcze bardziej rzuca się w oczy — jedyną salamandrą występującą w rejonie etiopsko-australijskim, w mitycznej Lemurii. Czy nie można by wręcz powiedzieć, że Przyroda stara się teraz pośpiesznie dogonić jedną z życiowych możliwości i form, którą na tym obszarze zaniedbała lub też nie mogła w pełni rozwinąć? I dalej: byłoby dziwne, gdyby na oceanicznym terytorium, leżącym pomiędzy olbrzymimi salamandrami japońskimi z jednej i allegańskimi z drugiej strony nie było w ogóle żadnego łączącego je elementu. Gdyby *Andriasa* nie było, musielibyśmy założyć jego istnienie właśnie w tych miejscach, w których się pojawił. Wyglądało to niemal tak, jakby po prostu wypełniał on przestrzeń, na której — zgodnie z kontekstem geograficznym i rozwojowym — powinien się od dawna znajdować. „Jakkolwiek by się rzeczy miały — kończył się artykuł uczonego profesora — na podstawie tego ewolucyjnego wskrzeszenia mioceńskiej salamandry musimy uznać z szacunkiem i zdumieniem, że Geniusz Rozwoju na naszej planecie bynajmniej nie zakończył jeszcze swego twórczego dzieła".

Artykuł ten ukazał się pomimo cichej, ale zdecydowanej opinii redakcji, że na takie naukowe gadanie w gazetach nie ma miejsca. Wkrótce profesor Uher dostał list od jednego z czytelników:

> Szanowny Panie,
>
> w zeszłym roku kupiłem dom na rynku w Čáslaviu. Przeszukując go, znalazłem na strychu skrzynię ze starymi, cennymi, prawdopodobnie naukowymi pismami i dziełami, a mianowicie dwoma rocznikami czasopisma Jana Hýbla „Hyllos" z lat 1821–22, *Świat ssaków* Jana Svatopluka Presla, *Podstawy nauk przyrodniczych albo fizyki* Vojtěcha Sedláčka, dziewiętnaście roczników popularnego czasopisma z zakresu wszech nauk „Krok" i trzynaście roczników „Časopisu Českého museum". W tłumaczonej przez Presla *Rozprawie o zmianach skorupy ziemskiej* (z 1834 roku) znalazłem jako zakładkę wycinek z jakiejś starej gazety, na którym wydrukowano informację o dziwnych jaszczurach.
>
> Gdy przeczytałem Pański znakomity artykuł o zagadkowych salamandrach, przypomniałem sobie o tej zakładce i odnalazłem ją. Myślę, że mogłaby Pana zainteresować, dlatego posyłam ją Panu, jako żarliwy przyjaciel przyrody i Pański gorliwy czytelnik.
>
> Z wyrazami szacunku
>
> J. V. Najman

Na załączonym wycinku nie podano tytułu ani roku. Biorąc jednak pod uwagę typ pisma i ortografię, pochodził z lat dwudziestych lub trzydziestych ubiegłego wieku. Był tak pożółkły i zetlały, że z trudem dało się go przeczytać. Profesor Uher już zamierzał wrzucić go do kosza, ale był na swój sposób przejęty starością tego świstka papieru i zaczął go czytać. Po chwili wysapał: „Do diaska!" i podekscytowany poprawił sobie okulary na nosie. Na wycinku znajdował się następujący tekst:

> *O ludojaszczurach*

W jednej cudzoziemskiej gazecie czytamy, że pewien kapitan (dowódca) angielskiego wojennego korabia, z dalekich krajów powróciwszy, przekazał był wieści o dziwnych płazach, na które na jakiejś wysepce na Morzu Australijskim natrafił. Na wyspie onej jezioro ze słoną wodą się znajduje, połączenia z morzem wszelako niemające, a przy tym bardzo trudno przystępne. Ów kapitan i medyk z onego korabia odpoczywali tam dnia pewnego. Wówczas z jeziora zwierzęta podobne do jaszczurów wyszły, na dwóch nogach wszakże kroczące niczym ludzie, wielkie coby psowie morscy, czyli foki, i z gracją cudacznie na brzegu się poruszały, jakoby tańcując. Dowódca i medyk z broni wypaliwszy, dwa z onych stworzeń ubili. Mają one ponoć ciało śliskie, sierści i wszelakich łusek pozbawione, przez co do salamander są podobne. Nazajutrz po nie przyszedłszy, od smrodu wielgiego na miejscu zostawić je musieli, rybakom zaś nakazali, by w jeziorze tym sieci zarzucili i parę onych stworów żywych na statek przywiedli. Rybacy ci jeziorko ono przeszukawszy, wszytkie jaszczury w znacznej liczbie wygubili, a dwa jeno na statek dowlekli, powiadając, że ciało mają jadowite i parzące jak pokrzywy. Do beczek z morską wodą je potem wsadzili, aby żywe do Anglii dowieźć. Wszak oto co się wydarzyło! Gdy statek wyspę Sumatrę mijał, uwięzione jaszczury z beczek wylazłszy i okno w ładowni same otworzywszy, do morza się rzuciły i znikły. Podług świadectwa dowódcy i okrętowego cyrulika, zwierzęta to bardzo dziwaczne i przebiegłe, na dwóch nogach chodzące i dziwnie szczekające i mlaskające. Nie są one wszelako dla człowieka nijak niebezpieczne. Tedy ani chybi słusznie ludojaszczurami zwać byśmy je mogli.

Tyle wycinek.

„Do diaska! — powtórzył ze złością profesor Uher. — Dlaczego nie ma tu żadnej daty albo tytułu tej gazety, z której ktoś kiedyś to wyciął. I jaka to była zagraniczna gazeta, jak się nazywał ten dowódca, jaki to był angielski statek? I jaka to była wysepka na Morzu Australijskim? Czy ci ludzie nie mogli być trochę dokładniejsi i… no tak, z trochę bardziej naukowym podejściem? Przecież to jest historyczny dokument ogromnej wartości…

Wysepka na Morzu Australijskim. Jeziorko ze słoną wodą. Sądząc z tego, to była wyspa koralowa, atol z trudno dostępną słoną laguną — miejsce w sam raz do tego, by takie kopalne zwierzę mogłoby się tam uchować, odizolowane od bardziej rozwiniętego środowiska i niezakłócone w swym naturalnym rezerwacie. Oczywiście, nie mogłoby się zbyt rozmnożyć, ponieważ w tym jeziorku nie znalazłoby dostatecznej ilości pożywienia. To jasne — pomyślał profesor. — Zwierzę podobne do jaszczurki, ale bez łusek i chodzące na dwóch nogach jak ludzie, a więc albo *Andrias Scheuchzeri* albo inna salamandra blisko z nim spokrewniona. Przypuśćmy, że to był nasz *Andrias*. Przypuśćmy, że go ci przeklęci marynarze w tym jeziorku wytępili i że tylko jedna para dostała się żywa na tamten statek. Para, która, niestety, koło wyspy Sumatra uciekła do morza. A zatem na samym równiku, w warunkach biologicznie bardzo sprzyjających i w środowisku zapewniającym nieograniczoną ilość pożywienia. Czy to możliwe, że ta zmiana środowiska dała mioceńskiej salamandrze tak silny impuls rozwojowy? Pewne jest, że była przyzwyczajona do słonej wody. Wyobraźmy sobie jej nowy habitat jako spokojną, zamkniętą morską zatokę z wielką obfitością pożywienia. Co się dzieje? *Salamandra zaczyna się rozwijać*, przeniesiona do optymalnych warunków, z ogromną energią witalną. To jest to! — ucieszył się uczony. — Salamandra garnie się do życia jak szalona. Wspaniale się rozmnaża, ponieważ jej jajeczka i kijanki nie mają w nowym środowisku żadnych specyficznych wrogów. Zasiedla wyspę za wyspą — przy czym, o dziwo, niektóre wyspy przy swym przemieszczaniu się omija. Skądinąd jest to typowa migracja za pożywieniem. A teraz pytanie: czemu nie rozwinęła się wcześniej? Czy nie ma to związku z fenomenem, że na obszarze etiopsko-australijskim nie znane są, a przynajmniej do tej pory nie były znane żadne salamandry? Czy może na tym obszarze nie doszło w epoce miocenu do jakichś zmian pod względem biologicznym nieprzyjaznych dla salamander? Jest to możliwe. Mógł się na przykład pojawić specyficzny nieprzyjaciel, który salamandry po prostu wytępił. Tylko na jednej wysepce, w zamkniętym jeziorku mioceński płaz przeżył — naturalnie za cenę rozwojowej stagnacji. Jego proces ewolucyjny zatrzymał się. Było to jak naciągnięta

giętka sprężyna, która utraciła swą sprężystość. Niewykluczone, że Przyroda wiązała z tą salamandrą wielkie plany, że miała się ona rozwijać jeszcze dalej i dalej, wyżej i wyżej, kto wie, jak wysoko... (Profesor Uher czuł wręcz lekki dreszcz przy tym wyobrażeniu. Kto wie, czy właśnie *Andrias Scheuchzeri* nie miał stać się człowiekiem miocenu!).

A teraz uwaga! To *zacofane w rozwoju* zwierzę dostaje się naraz do nowego, znacznie bardziej obiecującego środowiska. Rozciągnięta sprężyna uwalnia się w nim. Z jakąż siłą życiową, z jakąż mioceńską bujnością i zachłannością wkracza *Andrias* na drogę rozwoju! Jak gorączkowo dogania te setki tysięcy i miliony lat ewolucyjnego opóźnienia! Czy jest do pomyślenia, że zadowoli się stopniem rozwoju, na którym znajduje się dziś, będąc dopiero na progu swej ewolucji? Kto wie, dokąd go doprowadzi jego rozwój gatunkowy, którego jesteśmy świadkami".

To były uwagi i obserwacje, które profesor Vladimír Uher notował, siedząc nad pożółkłym wycinkiem ze starej gazety i upajając się intelektualnym zachwytem odkrywcy. „Dam to do gazety — pomyślał — ponieważ czasopism naukowych nikt nie czyta. Niech wszyscy się dowiedzą, jakiego wielkiego przyrodniczego spektaklu jesteśmy świadkami! I dam temu tytuł: *Czy salamandry mają przyszłość?*".

Jednakże redaktorzy „Lidových novin" popatrzyli na artykuł profesora Uhera i potrząsnęli głowami. Znowu te salamandry! Nasi czytelnicy mają już ich powyżej uszu. Czas na coś innego. A zresztą, taka naukowa gadanina nie pasuje do gazety.

W efekcie tego artykuł o rozwoju i przyszłości salamander w ogóle się nie ukazał.

12. Salamander-Syndicate

Prezes G. H. Bondy zadzwonił i wstał.

— Szanowni zebrani — zaczął — mam zaszczyt otworzyć to nadzwyczajne walne zgromadzenie Kompanii Eksportowej Pacyfiku. Witam wszystkich obecnych i dziękuję wam za wasz liczny udział. Panowie — kontynuował poruszony — przypadł mi w udziale przykry obowiązek przekazania wam smutnej wiadomości. Kapitana Jana van Tocha nie ma już wśród nas. Umarł nasz, powiedziałbym, założyciel, ojciec szczęśliwej idei nawiązania kontaktów handlowych z tysiącami wysp dalekiego Pacyfiku, nasz pierwszy kapitan i najgorliwszy współpracownik. Zmarł na początku tego roku na pokładzie naszego statku „Šárka" niedaleko atolu Tabuaeran, dotknięty apopleksją w czasie pełnienia służby. („Pewnie wszczął jakąś awanturę, biedak" — pomyślał przelotnie pan Bondy). Proszę was, abyście uczcili jego świętą pamięć powstaniem z miejsc.

Panowie podnieśli się, szurając krzesłami, i stali w uroczystej ciszy, ogarnięci jedną myślą: czy to walne zgromadzenie nie będzie trwało zbyt długo. („Biedny przyjaciel Vantoch — myślał ze szczerym wzruszeniem G. H. Bondy. — Jak może teraz wyglądać? Prawdopodobnie wrzucili go na desce do morza... ale musiał być plusk! Dobry był z niego człowiek; i miał takie niebieskie oczy").

— Dziękuję wam, panowie — dodał krótko — że z takim pietyzmem wspomnieliście kapitana van Tocha, mojego osobistego przyjaciela. Proszę pana dyrektora Volavkę, żeby zapoznał nas z wynikami ekonomicznymi, na jakie może liczyć KEP w tym roku. Liczby nie są jeszcze ostateczne, ale proszę, byście nie oczekiwali, że mogą się do końca roku zasadniczo zmienić. Zatem oddaję panu głos.

Handel

— Wielce szanowni zebrani — zaczął bełkotać pan dyrektor Volavka, no i się zaczęło. — Sytuacja na rynku pereł jest obecnie wielce niezadowalająca. Po ubiegłym roku, kiedy to produkcja pereł była niemal dwudziestokrotnie większa w porównaniu do pomyślnego roku tysiąc dziewięćset dwudziestego piątego, perły zaczęły katastrofalnie tracić na wartości, aż do sześćdziesięciu pięciu procent. Dlatego zarząd postanowił, że nie rzuci w ogóle tegorocznych zbiorów pereł na rynek, lecz zmagazynuje je na czas większego popytu. Niestety, ubiegłej jesieni perły wyszły z mody, prawdopodobnie dlatego, że tak bardzo potaniały. W naszej filii w Amsterdamie jest aktualnie zmagazynowanych ponad dwieście tysięcy pereł, na razie trudnych do sprzedania.

Z drugiej strony — ciągnął dalej Volavka — w tym roku produkcja pereł znacznie spadła. Trzeba było zrezygnować z szeregu łowisk, ponieważ ich wydajność nie pokrywała kosztów dojazdu do nich i eksploatacji. Łowiska uruchomione przed dwoma lub trzema laty wydają się być w mniejszym czy większym stopniu wyczerpane. Dlatego za-

rząd postanowił zwrócić uwagę na inne płody morskich głębin, takie jak korale, muszle i grzyby morskie. Udało się wprawdzie ożywić targ biżuterii i innych ozdób z koralowca, ale ta koniunktura dotyczy na razie raczej korali włoskich, nie pacyficznych. Dalej, zarząd bada możliwości intensywnych połowów ryb w głębinach Oceanu Spokojnego. Chodzi głównie o to, jak dostarczać tamtejsze ryby na europejskie i amerykańskie rynki. Zebrane dotychczas informacje nie nastrajają zbyt optymistycznie.

Nieco wyższe obroty — czytał dyrektor lekko podniesionym głosem — wykazuje natomiast handel różnymi produktami ubocznymi, takimi jak eksport tekstyliów, naczyń emaliowanych, aparatów radiowych i rękawiczek na wyspy Pacyfiku. Handel ten można rozbudowywać i pogłębiać. Już w tym roku przyniesie on jedynie nieznaczny spadek dochodów. Wykluczone jest jednak, żeby na koniec roku KEP wypłaciła jakąkolwiek dywidendę ze swych akcji. Dlatego zarząd z góry oświadcza, że *tym razem* rezygnuje z jakichkolwiek tantiem i nagród...

Nastała dłuższa kłopotliwa cisza. („Jak może wyglądać taki atol Tabuaeran — zastanawiał się G. H. Bondy. — Poczciwiec Vantoch, umarł jak prawdziwy marynarz. Szkoda go, dobry był z niego chłop. Przecież nie był jeszcze taki stary... nawet nie był starszy ode mnie..."). O głos poprosił doktor Hubka. Dalej przytaczamy protokół nadzwyczajnego walnego zgromadzenia Kompanii Eksportowej Pacyfiku:

> Doktor Hubka pyta, czy nie rozważa się likwidacji KEP.
>
> G. H. Bondy odpowiada, że zarząd uchwalił, by zaczekać w tej kwestii na inne propozycje.
>
> M. Louis Bonenfant wypomina, że odbioru pereł na łowiskach nie dokonywano za pośrednictwem umiejscowionych tam stałych przedstawicieli, którzy kontrolowaliby, czy połów pereł odbywa się w sposób dostatecznie intensywny i fachowy.
>
> Dyrektor Volavka wyjaśnia, że zastanawiano się nad tym, stwierdzono jednak, że za bardzo wzrosłoby przez to obciążenie finansowe przedsiębiorstwa. Trzeba byłoby zatrudnić co najmniej trzystu regularnie opłacanych agentów. Dalszą kwestią wymagającą wówczas rozwiązania byłoby to, w jaki sposób kontrolowano by tych agentów, czy odprowadzają wszystkie znalezione perły.
>
> M. H. Brinkelaer pyta, czy można polegać na salamandrach, że faktycznie dostarczają wszystkie perły, jakie znajdą.
>
> G. H. Bondy konstatuje, że tu po raz pierwszy pojawia się publicznie wzmianka o salamandrach. Dotychczas regułą było nie podawanie w tym miejscu żadnych bliższych szczegółów o tym, w jaki sposób odbywa się połów pereł. Zwraca uwagę, że właśnie dlatego wybrano niepozorną nazwę Kompania Eksportowa Pacyfiku.
>
> M. H. Brinkelaer stawia pytanie, czy jest czymś niedopuszczalnym mówienie w tym miejscu o sprawach, które leżą w interesie Kompanii, a poza tym są już od dawna powszechnie znane.
>
> G. H. Bondy odpowiada, że jest to nie tyle niedopuszczalne, co nowe. Cieszy go, że możemy teraz mówić bardziej otwarcie. Odpowiadając na pierwsze pytanie pana Brinkelaera, może poinformować, że wedle jego wiedzy nie trzeba wątpić w absolutną uczciwość i przydatność do pracy salamander zatrudnionych przy połowie pereł i korali. Musimy jednak liczyć się z tym, że dotychczasowe łowiska pereł są albo w bliskiej perspektywie będą zasadniczo wyczerpane. Jeśli idzie o nowe łowiska, nasz nieodżałowany współpracownik, kapitan van Toch umarł właśnie podczas rejsu w poszukiwaniu wysp dotąd niewyeksploatowanych. Na razie nie możemy zastąpić go człowiekiem o podobnym doświadczeniu i równie niezachwianej uczciwości oraz zamiłowaniu do sprawy.
>
> Col. D. W. Bright uznaje w pełni zasługi zmarłego kapitana van Tocha. Zwraca jednak uwagę na to, że kapitan, którego odejścia wszyscy żałujemy, zanadto cackał się ze wspomnianymi salamandrami. (*Głosy aprobaty*). Nie trzeba było przecież dostarczać salamandrom noży i innych narzędzi tak do-

skonałej jakości, jak to czynił zmarły kapitan van Toch. Nie trzeba też było karmić ich tak kosztownie. Można byłoby znacznie obniżyć koszty utrzymania salamander, a tym samym zwiększyć zysk naszych przedsiębiorstw. (*Głośna owacja*).

Wiceprezes J. Gilbert zgadza się z pułkownikiem Brightem, ale zauważa, że za życia kapitana van Tocha było to nie do przeprowadzenia. Kapitan van Toch twierdził, że ma wobec salamander osobiste zobowiązania. Z różnych przyczyn nie było możliwe ani wskazane nierespektowanie w tym względzie życzenia starego pana.

Kurt von Frisch pyta, czy nie można by zatrudnić salamander inaczej i może bardziej dochodowo niż do łowienia pereł. Należałoby wziąć pod uwagę ich naturalne — podobnie jak u bobrów — zdolności do robienia tam i innych budowli pod wodą. Może dałoby się je wykorzystać do pogłębiania portów, budowania mol i do innych technicznych zadań w wodzie.

G. H. Bondy informuje, że zarząd intensywnie się nad tym zastanawia. W tym kierunku faktycznie otwierają się duże możliwości. Podaje, że liczba salamander w posiadaniu Kompanii wynosi obecnie w przybliżeniu sześć milionów. Zważywszy, że para salamander miewa rocznie, powiedzmy, sto kijanek, w przyszłym roku możemy dysponować trzystoma milionami salamander. W ciągu dziesięciu lat to będą liczby wprost astronomiczne. G. H. Bondy pyta, co Kompania zamierza począć z taką masą salamander, które już teraz musi się w przepełnionych farmach dokarmiać koprą, ziemniakami, kukurydzą i tym podobnymi produktami.

K. von Frisch pyta, czy salamandry są jadalne.

J. Gilbert:

— W żadnym razie. Również ich skóra do niczego się nie nadaje.

M. Bonenfant kieruje zapytanie pod adresem zarządu, co w tej sytuacji zamierza przedsięwziąć.

G. H. Bondy (wstaje):

Handel, Interes, Poeta, Literat

— Szanowni panowie, zwołaliśmy to nadzwyczajne walne zgromadzenie po to, żeby was uczulić na skrajnie niekorzystne perspektywy naszej Kompanii, która, pozwólcie sobie przypomnieć, w ubiegłych latach wykazywała dywidendę w wysokości dwudziestu, dwudziestu trzech procent, nie licząc solidnych rezerw i odpisów. Teraz stoimy na krawędzi. Sposób prowadzenia interesów, który sprawdzał się nam w minionych latach, praktycznie się skończył. Nie pozostaje nam nic innego, jak szukać nowych dróg. (*Doskonałe!*)

Powiedziałbym, że jest to być może zrządzenie losu, iż właśnie w tym momencie odszedł od nas nasz znakomity kapitan i przyjaciel J. van Toch. Z jego osobą związany był ów romantyczny, piękny i — powiem wprost — nieco szalony handelek perłami. Uważam to za zamknięty rozdział naszego przedsiębiorstwa. Miał on, by tak rzec, egzotyczny urok, ale nie pasował do dzisiejszych czasów. Szanowni panowie, perły nie mogą być przedmiotem szlachetnego, rozrastającego się i pogłębiającego biznesu. Dla mnie osobiście ta historia z perłami była tylko małym *divertissement*[32]. (*Zaniepokojenie*). Tak, panowie — ale *divertissement*, które wam i mnie przynosiło przyzwoite zyski. Poza tym, w początkach naszej firmy te salamandry miały jakiś urok nowości. Trzysta milionów salamander już tego uroku mieć nie będzie. (*Śmiech*).

Powiedziałem o nowych drogach. Dopóki żył mój dobry przyjaciel, kapitan van Toch, nie można było nawet pomyśleć o tym, żeby nadać naszemu przedsiębiorstwu inny charakter niż ten, który nazwałbym stylem kapitana van Tocha. — (*Dlaczego?*) — Dlatego, że mam zbyt dobry gust, żeby mieszać różne style. Styl kapitana van Tocha to był, powiedziałbym, styl powieści przygodowych. To był styl Jacka Londona, Josepha Conrada i innych. Stary, egzotyczny, kolonialny, niemal heroiczny styl. Nie przeczę, że mnie on na swój sposób oczarowywał. Ale po śmierci kapitana van Tocha

nie mamy prawa kontynuować tej przygodowej i młodzieńczej epiki. To, co przed nami, nie jest nowym rozdziałem, lecz nową koncepcją, panowie, zadaniem dla nowej i zdecydowanie innej wyobraźni. — (*Mówi pan o tym jak o powieści!*) — Tak, proszę pana, ma pan rację. Mnie biznes interesuje jako artystę. Bez swoiście rozumianej sztuki, drogi panie, nie wymyślimy nigdy nic nowego. Musimy być poetami, jeśli chcemy utrzymać świat w ruchu. (*Oklaski*).

G. H. Bondy ukłonił się.

— Panowie, z żalem zamykam ten rozdział, by tak rzec, vantochowski. Wykorzystaliśmy w nim to, co w nas samych było dziecięcego i awanturniczego. Czas zakończyć tę bajkę z perłami i koralami. Sindbad umarł, panowie. Pytanie, co teraz. — (*O to właśnie pana pytamy!*) — Więc dobrze, proszę pana. Niech pan będzie łaskawy wziąć ołówek i pisać. Sześć milionów. Napisał pan? Niech pan to pomnoży przez pięćdziesiąt. To jest trzysta milionów, prawda? Proszę znowu pomnożyć to razy pięćdziesiąt. To piętnaście miliardów, zgadza się? I teraz, panowie, poradźcie mi łaskawie, co będziemy za trzy lata robić z piętnastoma miliardami salamander. Gdzie je zatrudnimy, czym będziemy je żywić i tak dalej. — (*Więc dajcie im zdechnąć!*) — Tak, ale czy to nie szkoda, proszę pana? Czy nie sądzi pan, że każda salamandra przedstawia jakąś wartość pod względem ekonomicznym, wartość siły roboczej, która czeka na wykorzystanie? Panowie, z sześcioma milionami salamander możemy jeszcze jakoś gospodarować. Z trzystoma milionami będzie trudniej. Ale piętnaście miliardów salamander, panowie, to już nas absolutnie przerośnie. Salamandry pożrą Kompanię. Tak to wygląda. — (*Pan będzie za to odpowiedzialny! To pan zaczął całą tę historię z salamandrami!*)

G. H. Bondy podniósł głowę.

— Ja tę odpowiedzialność w pełni przyjmuję, panowie. Kto chce, może się natychmiast pozbyć akcji Kompanii Eksportowej Pacyfiku. Gotów jestem za każdą akcję zapłacić... — (*Ile?*) — Pełną wartość, proszę pana. — (*Poruszenie. Prezydium zezwala na dziesięciominutową przerwę*).

Po przerwie prosi o głos H. Brinkelaer.

— Pragnę wyrazić zadowolenie z tego, że salamandry tak gorliwie się mnożą, dzięki czemu rośnie majątek Kompanii. Ale, panowie, nonsensem byłoby hodować je nadaremno. Jeśli sami nie mamy dla nich odpowiedniego zajęcia, w imieniu grupy akcjonariuszy proponuję, żeby salamandry były po prostu sprzedawane jako siła robocza komukolwiek, kto chciałby prowadzić jakieś prace w wodzie lub pod wodą. — (*Oklaski*). — Wykarmienie salamandry kosztuje dziennie kilka centymów. Gdyby sprzedawać parę salamander, powiedzmy, za sto franków i gdyby pracująca salamandra wytrzymała, dajmy na to, tylko rok, taka inwestycja będzie się każdemu przedsiębiorcy szybko amortyzować. (*Przejaw aprobaty*).

J. Gilbert konstatuje, że salamandry dożywają znacznie dłuższego wieku niż jeden rok. W kwestii tego, jak długo właściwie żyją, nie mamy jeszcze zbyt dużego doświadczenia.

H. Brinkelaer koryguje swoją propozycję w tym kierunku, aby cena jednej pary salamander wynosiła trzysta franków *loco*[33] port.

S. Weissberger pyta, jakie prace właściwie mogłyby salamandry wykonywać.

Dyrektor Volavka:

— Z racji swego naturalnego instynktu i niezwykłej sprawności technicznej salamandry nadają się zwłaszcza do budowy zapór wodnych, nasypów i falochronów, do pogłębiania basenów portowych i kanałów, do usuwania mielizn i nanosów bagiennych i do oczyszczania dróg wodnych. Mogą umacniać i regulować morskie brzegi, rozszerzać stałe lądy i tym podobnie. We wszystkich tych przypadkach chodzi o prace zbiorowe, wymagające setek i tysięcy pracowników. O prace tak rozległe, że nawet nowoczesna technika

się ich nie podejmie, jeśli nie będzie mieć do dyspozycji bardzo taniej siły roboczej. — (*Tak jest! Doskonale!*).

Doktor Hubka zgłasza obiekcje, że poprzez sprzedaż salamander, które będą mogły się rozmnażać także w nowych miejscach, Kompania straci swój monopol na salamandry. Proponuje, aby przedsiębiorcom stawiającym wodne budowle jedynie wynajmować brygady pracownicze salamander dobrze wyćwiczonych i wykwalifikowanych, pod warunkiem, że ich ewentualne potomstwo będzie nadal należeć do Kompanii.

Dyrektor Volavka wskazuje na to, że nie można pilnować w wodzie milionów względnie miliardów salamander, a tym bardziej ich narybku. Niestety, wiele salamander już zostało ukradzionych do ogrodów zoologicznych i zwierzyńców.

Col. D. W. Bright:

— Należałoby sprzedawać, ewentualnie wynajmować, tylko samce salamander, żeby nie mogły się rozmnażać poza wylęgarniami i farmami, które są majątkiem Kompanii.

Dyrektor Volavka:

— Nie możemy twierdzić, że farmy salamander są majątkiem Kompanii. Nie można posiadać ani wynajmować kawałka dna morskiego. Kwestia prawna, do kogo właściwie należą salamandry żyjące w suwerennych wodach terytorialnych, dajmy na to, królowej holenderskiej, jest bardzo niejasna i może prowadzić do licznych sporów i konfliktów. — (*Zaniepokojenie*). — W większości przypadków nie mamy nawet zagwarantowanego prawa do połowu ryb. Zakładaliśmy nasze farmy salamander, panowie, na wyspach Pacyfiku właściwie na czarno. (*Rosnący niepokój*).

J. Gilbert odpowiada pułkownikowi Brightowi, że na podstawie dotychczasowych doświadczeń wiadomo, że izolowane samce salamander tracą po pewnym czasie żywotność i wartość jako siła robocza, stają się leniwe, apatyczne i często umierają z tęsknoty.

Von Frisch pyta, czy nie dałoby się rynkowych salamander wcześniej kastrować albo sterylizować.

J. Gilbert:

— Byłoby to zbyt kosztowne. Po prostu nie możemy przeszkodzić temu, żeby sprzedane salamandry się rozmnażały.

S. Weissberger żąda jako członek Towarzystwa Ochrony Zwierząt, żeby przyszły handel salamandrami odbywał się w sposób humanitarny i nieobrażający ludzkich uczuć.

J. Gilbert dziękuje za ten pomysł. Rozumie się, że chwytanie i transport salamander będzie powierzony wyłącznie wyćwiczonemu personelowi pod odpowiednim dozorem. Nie możemy jednak ręczyć za to, jak będą traktować salamandry przedsiębiorcy, którzy je kupią.

S. Weissberger oświadcza, że jest usatysfakcjonowany zapewnieniem wiceprezesa J. Gilberta. (*Owacja*).

G. H. Bondy:

— Panowie, z góry porzućmy myśl, że w przyszłości utrzymamy monopol na salamandry. Niestety, według obowiązujących przepisów nie możemy ich opatentować. — (*Śmiech*). — Naszą uprzywilejowaną pozycję w handlu salamandrami musimy, a także możemy zapewnić sobie w inny sposób. Jednak warunkiem koniecznym jest to, że weźmiemy się za nasze interesy w innym stylu i w znacznie większej mierze niż dotychczas. — (*Słuchajcie!*) — Tu leży, panowie, cały plik wstępnych umów. Zarząd proponuje utworzenie nowego, nadrzędnego trustu pod nazwą Salamander-Syndicate. Jego członkami oprócz naszej Kompanii byłyby duże przedsiębiorstwa i grupy silne finansowo. Na przykład pewien koncern, który będzie produkować specjalne opatentowane metalowe narzędzia dla salamander. — (*Ma pan na myśli MEAS?*) — Tak, proszę pana, mówię o MEAS. Dalej kar-

tel chemiczny i spożywczy, który będzie produkować tanią opatentowaną karmę dla salamander. Grupa towarzystw transportowych, która — korzystając z dotychczasowych doświadczeń — opatentuje specjalne higieniczne zbiorniki do transportu salamander. Blok firm ubezpieczeniowych, które przejmą ubezpieczenie zakupionych zwierząt na wypadek urazów i śmierci, zarówno podczas transportu, jak i na miejscach pracy. Dalej inni zainteresowani z kręgów przemysłowców, eksporterów i finansistów, których z ważnych powodów nie będę na razie wymieniać. Powinno wam wystarczyć, panowie, jeśli powiem, że syndykat dysponowałby na początek kwotą czterystu milionów funtów szterlingów. — (*Poruszenie*). — Ten segregator tutaj, przyjaciele, to są same umowy, które wystarczy tylko podpisać, żeby powstała jedna z największych organizacji gospodarczych naszych czasów. Zarząd prosi was, panowie, żebyście udzielili mu pełnomocnictwa do utworzenia tego ogromnego koncernu, którego celem będzie racjonalna hodowla i eksploatacja salamander. (*Oklaski i głosy protestu*).

— Panowie, wyobraźcie sobie zalety tej współpracy. Salamander-Syndicate będzie dostarczać nie tylko salamandry, ale także rozmaite narzędzia i karmę dla nich, czyli kukurydzę, produkty skrobiowe, łój wołowy i cukier dla miliardów dokarmianych zwierząt. Dalej transport, ubezpieczenia, opiekę weterynaryjną i tym podobne, przeważnie za najniższe stawki, które zapewnią nam jeśli nie monopol, to przynajmniej zdecydowaną przewagę nad każdą przyszłą konkurencją, która chciałaby sprzedawać salamandry. Niech no tylko ktoś spróbuje, panowie! Z nami długo konkurować nie będzie! — (*Brawo!*) — Ale to nie wszystko. Syndykat będzie dostarczać wszelkie materiały budowlane do prac wodnych, które salamandry będą wykonywać. Z tego względu stoi za nami również przemysł ciężki, cement, drewno i kamień budowlany. — (*Jeszcze pan nie wie, jak salamandry będą pracować!*) — Panowie, w tej chwili dwanaście tysięcy salamander pracuje w porcie sajgońskim nad nowymi dokami, basenami i molami. — (*Tego nam pan nie powiedział!*) — Nie. To jest pierwsza próba na dużą skalę. Ta próba, panowie, powiodła się w sposób wysoce zadowalający. Dzisiaj przyszłość salamander nie budzi żadnej wątpliwości. (*Entuzjastyczna owacja*).

— To jeszcze nie wszystko, panowie. To bynajmniej nie wyczerpuje zadań przyszłego syndykatu. Salamander-Syndicate będzie wyszukiwać na całym świecie pracę dla milionów salamander. Będzie dostarczać plany i sposoby opanowania mórz. Będzie realizować utopie i gigantyczne marzenia. Będzie dostarczać projekty nowych wybrzeży i kanałów, pomostów łączących kontynenty, całych łańcuchów sztucznych wysp dla lotów oceanicznych, nowych lądów wybudowanych pośród oceanów. Tam leży przyszłość ludzkości! Panowie, cztery piąte powierzchni Ziemi są pokryte morzami i oceanami. To bezsprzecznie zbyt dużo. Powierzchnia naszej planety, mapa mórz i lądów powinna zostać poprawiona. My damy światu morskich robotników, panowie. To już nie będzie styl kapitana van Tocha. Fantastyczną opowiastkę o perłach zastąpimy hymniczną pieśnią pracy. Albo będziemy uprawiać handelek, albo będziemy tworzyć. Jeśli jednak nie będziemy myśleć w kategoriach kontynentów i oceanów, nie wykorzystamy naszych możliwości. Mówiono tu o tym, za ile powinno się sprzedawać parę salamander. Chciałbym, żebyśmy myśleli o całych miliardach salamander, o milionach, milionach siły roboczej, o przesunięciach skorupy ziemskiej, o nowych genezach i nowych okresach geologicznych. Możemy dziś mówić o przyszłych Atlantydach, o starych lądach, które będą rozszerzać się i wkraczać coraz dalej na obszary mórz, o Nowych Światach, które sama ludzkość wybuduje. Wybaczcie, panowie, może wydaje się wam to utopią. Tak, rzeczywiście wkraczamy do Utopii. Już w niej jesteśmy, przyjaciele. Musimy tylko przemyśleć dogłębnie przyszłość salamander od strony technicznej. — (*I gospodarczej!*)

Wizja, Interes, Twórczość, Obraz świata, Przemiana

— Tak, zwłaszcza od strony gospodarczej. Panowie, nasza Kompania jest zbyt mała, żeby eksploatować miliardy salamander. Nie damy rady finansowo ani politycznie. Jeśli będzie zmieniać się mapa mórz i lądów, sprawą będą interesować się też wielkie mocarstwa, panowie. Ale o tym nie będziemy mówić. Nie będziemy wspominać o wysokich funkcjonariuszach, którzy już dziś odnoszą się do syndykatu bardzo pozytywnie. Proszę jednak, panowie, żebyście nie tracili z oczu ogromnego zasięgu sprawy, nad którą będziecie głosować. (*Entuzjastyczna, długotrwała owacja. Wspaniale! Brawo!*)

Tym niemniej przed głosowaniem nad syndykatem trzeba było obiecać, że na akcje Kompanii Eksportowej Pacyfiku będzie w tym roku wypłacana co najmniej dziesięcioprocentowa dywidenda z konta rezerw. Głosowało za tym osiemdziesiąt siedem procent akcjonariuszy, przeciw było tylko trzynaście procent. W efekcie tego propozycja zarządu została przyjęta. Salamander-Syndicate został powołany do życia. G. H. Bondy przyjmował gratulacje.

— Bardzo ładnie pan to powiedział, panie Bondy — chwalił Sigi Weissberger. — Bardzo ładnie. Proszę zdradzić, panie Bondy, jak pan wpadł na taki pomysł?

— Jak? — odparł G. H. Bondy z roztargnieniem. — Właściwie, prawdę mówiąc, panie Weissberger, to dzięki staremu van Tochowi. On był tak przywiązany do tych swoich salamander... Co by biedak powiedział, gdybyśmy tym jego *tapa-boys* pozwolili wyzdychać albo pozwolili je wybić!

— Jakim *tapa-boys*?

— No, tym jego salamandrom. Teraz przynajmniej będzie się je przyzwoicie traktować, kiedy będą mieć jakąś wartość. A do niczego innego te potwory się nie nadają, tylko do tego, by z ich pomocą zrealizować jakąś utopię.

— Ja tego nie rozumiem — zastanawiał się Weissberger. — A widział pan już kiedyś jakąś salamandrę, panie Bondy? Ja właściwie nie wiem, co to jest. Jak to wygląda?

— Tego panu nie powiem, panie Weissberger. Czy ja wiem, co to jest salamandra? A po co miałbym wiedzieć? Czy ja mam czas, żeby się martwić tym, jak ona wygląda? Ja muszę być zadowolony, żeśmy ten syndykat powołali do życia.

DODATEK. O ŻYCIU PŁCIOWYM SALAMANDER

Jedną z ulubionych czynności ludzkiego ducha jest wyobrażanie sobie, jak kiedyś, w dalekiej przyszłości będzie wyglądać świat i jego mieszkańcy, jakie cuda techniki jeszcze powstaną, jakie problemy społeczne zostaną rozwiązane, jak daleko zajdzie nauka i organizacja społeczeństw, i tak dalej. Większość tych utopii jednak bardzo żywo interesuje się problemem, jak w tym lepszym, bardziej postępowym albo przynajmniej pod względem technicznym doskonalszym świecie wyglądać będą takie stare, ale wciąż popularne kwestie, jak życie płciowe, rozmnażanie się, miłość, małżeństwo, rodzina, kwestia kobiet i tym podobne. Świadczy o tym bogata literatura tematu, na przykład dzieła Paula Adama, H. G. Wellsa, Aldousa Huxleya i wielu innych.

Przywołując te przykłady, autor uważa za swój obowiązek, żeby — skoro już rzuca spojrzenie na przyszłość naszej planety — omówić także to, jak w tym przyszłym świecie płazów funkcjonować będzie ich życie seksualne. Czyni to już teraz, żeby później nie wracać już do tej sprawy. Sposób rozmnażania się *Andriasa Scheuchzeri* w podstawowych zarysach nie różni się od innych płazów ogoniastych. Nie mamy tu do czynienia z kopulacją we właściwym słowa znaczeniu, samiczka składa jajeczka w kilku etapach, zapłodnione jajeczka przekształcają się w wodzie w kijanki i tak dalej. Można o tym przeczytać w każdym podręczniku biologii. Wspomnimy tylko o niektórych osobliwościach, które zaobserwowano w tym względzie u *Andriasa Scheuchzeri*.

„Na początku kwietnia — relacjonuje H. Bolte — samce dołączają do samic. W każdym okresie płciowym samiec trzyma się z reguły tej samej samicy i nie opuszcza jej nawet na krok przez kilka dni. W tym czasie nie przyjmuje żadnego pokarmu, podczas gdy samica wykazuje znaczną żarłoczność. Samiec przegania ją w wodzie i stara się przytulić głowę do jej głowy. Gdy mu się to uda, wysuwa pysk nieco przed jej głowę, może po to, by nie pozwolić jej uciec, i nieruchomieje. W ten sposób, dotykając się tylko głowami, gdy tymczasem ich ciała tworzą kąt mniej więcej trzydziestu stopni, pływają oba zwierzęta bez ruchu obok siebie. Od czasu do czasu samiec zaczyna wić się tak mocno, że uderza bokami w boki samicy. Potem znowu nieruchomieje, z nogami szeroko rozstawionymi, dotykając jedynie pyskiem głowy swej wybranki, która tymczasem obojętnie pożera to, co napotka. Ten, jeśli wolno nam tak powiedzieć, pocałunek trwa kilka dni. Niekiedy samica odpływa w poszukiwaniu pożywienia, a wtedy samiec napastuje ją, ewidentnie bardzo rozdrażniony, ba — niemal rozwścieczony. W końcu samica rezygnuje z dalszego oporu, nie ucieka już i para unosi się w wodzie bez ruchu, podobna do czarnych sczepionych ze sobą polan. Wówczas ciałem samca zaczynają wstrząsać konwulsyjne skurcze, podczas których wypuszcza do wody obfite, nieco lepkawe nasienie. Zaraz po tym opuszcza samicę i włazi pomiędzy kamienie, skrajnie wyczerpany; w tym czasie można by mu odciąć nogę lub ogon, bez reakcji obronnej z jego strony.

Tymczasem samica trwa przez pewien czas w nieruchomej pozycji. Potem mocno się wygina i zaczyna wydalać z kloaki połączone w łańcuchy jajeczka w galaretowatej otoczce; często pomaga sobie przy tym tylnymi nogami, jak to robią ropuchy. Tych jajeczek jest od czterdziestu do pięćdziesięciu, i wiszą one na ciele samicy jak winne grona. Samica płynie z nimi w bezpieczne miejsca i składa je na algach, brunatnicach albo na kamieniach. Po dziesięciu dniach samica znosi drugą serię jajeczek w liczbie od dwudziestu do trzydziestu, chociaż w tych dniach nie spotkała się z samcem; widocznie te jajeczka zostały zapłodnione bezpośrednio w jej kloace. Z reguły po kolejnych siedmiu dniach dochodzi do trzeciego i czwartego składania piętnastu, dwudziestu jajeczek, przeważnie zapłodnionych, z których po jednym, dwóch lub trzech tygodniach wylęgną się żwawe kijanki z gałązkowatymi skrzelami. Już po roku z tych kijanek wyrastają dorosłe salamandry, które mogą się dalej rozmnażać" itd.

Z kolei panna Blanche Kistemaeckers obserwowała dwie samice i jednego samca *Andreasa Scheuchzeri* w niewoli. W okresie tarła samiec przyłączył się tylko do jednej z samic i dość brutalnie ją prześladował; gdy przed nim uciekała, bił ją silnymi uderzeniami ogona. Niechętnie patrzył, jak przyjmowała pożywienie i odpychał ją od pokarmu; widać było, że chce ją mieć tylko dla siebie, i po prostu ją terroryzował. Gdy wypuścił

swą gametę, rzucił się na drugą samicę i chciał ją pożreć; musiał zostać wyjęty z basenu i umieszczony gdzie indziej. Pomimo tego również ta druga samica złożyła zapłodnione jajeczka w liczbie sześćdziesięciu trzech. U wszystkich trzech zwierząt panna Kistemaeckers zaobserwowała jednak, że krawędzie kloaki były w tym czasie mocno opuchnięte. „Wydaje się więc — pisze panna Kistemaeckers — że u *Andriasa* do zapłodnienia nie dochodzi drogą kopulacji ani tarła, lecz za pośrednictwem czegoś, co można nazwać seksualnym *milieu*. Jak widać, nie potrzeba nawet chwilowego zbliżenia, żeby doszło do zapłodnienia jajeczek". To prowadziło młodą badaczkę do dalszych interesujących eksperymentów. Oddzieliła od siebie zwierzęta obu płci; gdy nadeszła odpowiednia chwila, wycisnęła z samca nasienie i umieściła je w wodzie, w której były samice. Wtedy samice zaczęły składać zapłodnione jajeczka. W kolejnym eksperymencie panna Blanche Kistemaeckers przefiltrowała nasienie samca i filtrat *pozbawiony* ciałek nasiennych (była to czysta, lekko kwaśna ciecz) dodała samicom do wody. Samice także wtedy *zaczęły składać jajeczka*, każda mniej więcej pięćdziesiąt, z których większość było *zapłodnionych* i wydało normalne kijanki. To właśnie doprowadziło pannę Kistemaeckers do sformułowania ważnego pojęcia *środowiska płciowego*, które tworzy osobliwy pomost między patogenezą i rozmnażaniem płciowym. Do zapłodnienia jajeczek dochodzi po prostu w skutek chemicznej zmiany środowiska (poprzez zakwaszenie, którego dotąd nie udało się dokonać sztucznie), zmiany, która w jakiś sposób wiąże się z funkcją płciową samca. Ale ta odrębna funkcja właściwie jest niepotrzebna; to, że dochodzi do zbliżenia pomiędzy samcem i samicą, jest przypuszczalnie przeżytkiem starszego stopnia rozwoju, gdy zapłodnienie u *Andriasa* odbywało się tak samo jak u innych salamander. To połączenie jest właściwie, jak słusznie zauważa panna Kistemaeckers, jakąś odziedziczoną iluzją ojcostwa. W rzeczywistości samiec nie jest ojcem kijanek, lecz tylko pewnym, w zasadzie całkiem bezosobowym, chemicznym czynnikiem środowiska płciowego, które jest właściwym inseminatorem. Gdybyśmy zgromadzili w jednym zbiorniku sto połączonych ze sobą par *Andriasa Scheuchzeri*, domyślalibyśmy się, że odbywa się tu sto indywidualnych aktów zapłodnienia. W rzeczywistości byłby to jeden akt, chociaż w postaci zbiorowej seksualizacji danego środowiska, albo, ściślej rzecz biorąc, pewne przekwaszenie wody, na które dojrzałe jajeczka *Andriasa* automatycznie reagują przekształcaniem się w formę kijanki. Stwórzcie w sposób sztuczny ten nieznany kwaśny czynnik, a samce nie będą potrzebne. Życie płciowe niezwykłego *Andriasa* jawi się nam więc jako Wielka Iluzja. Jego erotyczna namiętność, jego „małżeństwo" i tyrania seksualna, jego chwilowa wierność, jego powolne, lecz uparte dążenie do rozkoszy, wszystko to są właściwie zbyteczne, przestarzałe, niemal symboliczne czynności, które towarzyszą albo, by tak rzec, ozdabiają właściwy, bezosobowy samczy akt, którym jest utworzenie zapładniającego środowiska seksualnego. Wyjątkowa obojętność samic, z jaką przyjmują one bezcelowe, frenetyczne, osobliwe zaloty samców, ewidentnie świadczy o tym, że w tych zalotach samice instynktownie wyczuwają zwykły formalny obrzęd albo wstęp do właściwego aktu „zaślubin", w którym łączą się one z zapładniającym środowiskiem. Powiedzielibyśmy, że samiczka *Andriasa* ten stan rzeczy rozumie jaśniej i przeżywa bardziej rzeczowo, bez erotycznych złudzeń.

(Doświadczenia panny Kistemaeckers uzupełnił ciekawymi eksperymentami uczony *abbé*[34] Bontempelli. Zasuszył i zmielił spermę *Andriasa* i dodał ją samicom do wody; i w tym przypadku samice zaczęły składać zapłodnione jajeczka. Ten sam rezultat osiągnął, kiedy zasuszył i zmielił narząd płciowy *Andriasa* albo gdy ekstrahował ów narząd za pomocą spirytusu lub wygotował i wlał ekstrakt do zbiornika z samicami. To samo z identycznym wynikiem powtórzył z wyciągiem z przysadki mózgowej, a nawet z wydzielinami gruczołów skórnych *Andriasa*, wyciśniętych w okresie rui. We wszystkich tych przypadkach samice początkowo nie reagowały na te składniki; dopiero po chwili przestawały gonić za pożywieniem i tkwiły nieruchomo, jakby odrętwiałe, w wodzie, po czym po kilku godzinach zaczynało się wydalanie galaretowatych jajeczek wielkości mniej więcej świńskich bobków.)

W tym kontekście przedstawmy także przedziwny obrzęd, tak zwany *taniec salamander*. (Nie chodzi tu o Salamander-Dance, który w tych latach stał się modny, zwłaszcza w dobrym towarzystwie, i został przez biskupa Hirama uznany za „najbardziej nieprzy-

zwoity taniec", o którym kiedykolwiek mu opowiadano). Tak więc wieczorami w czasie pełni księżyca (poza okresem rozrodczym) wychodziły samce *Andriasa Scheuchzeri* na brzeg, siadały w kręgu i zaczynały dziwnym, falistym ruchem kręcić górną połową tułowia. Był to ruch także w innych okolicznościach charakterystyczny dla tych wielkich płazów, ale przy wspomnianych „tańcach" oddawały mu się dziko, namiętnie i aż do wyczerpania, niczym tańczący derwisze. Niektórzy uczeni uważali to szalone kręcenie się i przestępowanie z nogi na nogę za kult Księżyca, a więc za obrzęd religijny; inni widzieli w nim taniec w istocie erotyczny i tłumaczyli go właśnie tym szczególnym porządkiem seksualnym, o którym już była mowa. Powiedzieliśmy, że w przypadku *Andriasa Scheuchzeri* właściwym inseminatorem jest tak zwane seksualne *milieu*[35] jako zbiorowy i bezosobowy pośrednik między osobnikami płci męskiej i żeńskiej. Zostało też powiedziane, że samice traktują ten bezosobowy stosunek płciowy w sposób znacznie bardziej realistyczny i naturalny niż samce, które — prawdopodobnie z wrodzonej samczej próżności i chęci zdobywania — chcą przynajmniej zachować pozory seksualnego triumfu, dlatego udają zaloty miłosne i małżeńskie prawo do posiadania samicy. Jest to jedna z największych erotycznych iluzji, ciekawie korygowana właśnie przez te wielkie obrzędy samców, będące ponoć niczym innym jak tylko instynktownym pragnieniem uświadomienia sobie, iż tworzą Samczy Kolektyw. Tym zbiorowym tańcem ponoć zostaje przezwyciężona owa atawistyczna i bezsensowna iluzja samczego indywidualizmu płciowego. Ta kręcąca się, upojona, frenetyczna sfora jest niczym innym jak Zbiorowym Samcem, Kolektywnym Małżonkiem i Wielkim Kopulatorem, który wykonuje swój uroczysty taniec ślubny i oddaje się wielkiemu weselnemu obrzędowi — przy dziwnym wykluczeniu zeń samiczek, które tymczasem obojętnie mlaskają nad pożeraną rybką albo sepią.

Sławny Charles J. Powell, który te jaszczurcze uroczystości nazwał Tańcem Samczego Pierwiastka, pisze tak: „Czy w tych wspólnych samczych obrzędach nie kryją się korzenie i źródło osobliwego jaszczurczego kolektywizmu? Uświadommy sobie, że prawdziwe zwierzęce społeczności znajdujemy tylko tam, gdzie życie i rozwój gatunku nie opiera się na parze osobników różnej płci: u pszczół, mrówek i termitów. Społeczność pszczół można wyrazić słowami: Ja, Macierzyński Ul. Społeczność jaszczurczych wspólnot można wyrazić całkiem inaczej: My, Męski Pierwiastek. Dopiero wszystkie samce razem wzięte, które w odpowiedniej chwili niemal wypacają z siebie zapładniające środowisko seksualne, są tym Wielkim Samcem, który wnika w łona samic i szczodrze rozmnaża życie. Ich ojcostwo jest kolektywne; dlatego cała ich natura jest kolektywna i przejawia się we wspólnym działaniu, podczas gdy samice, uporawszy się ze składaniem jajeczek, wiodą aż do następnej wiosny życie mniej lub bardziej rozproszone i samotnicze. Tylko samce tworzą wspólnotę. Tylko samce wykonują wspólne zadania. U żadnego gatunku zwierząt samice nie odgrywają tak podrzędnej roli jak u *Andriasa*; są wyłączone ze wspólnego działania, ale też nie przejawiają najmniejszego nim zainteresowania. Ich chwila nadchodzi, gdy Męski Pierwiastek nasyca ich środowisko kwasowością, chemicznie ledwie dostrzegalną, ale życiowo tak intensywną, że działa ona nawet przy bardzo dużym rozcieńczeniu przez morski przypływ i odpływ. To tak, jakby sam Ocean stawał się samcem, który zapładnia na jego wybrzeżach miliony zarodków".

„Pomimo całej koguciej dumy — kontynuuje Charles J. Powell — w przypadku większości gatunków zwierzęcych przyroda dała przewagę raczej samicom. Samce są tu dla przeżywania rozkoszy i po to, aby zabijać; są nadętymi i czupurnymi osobnikami, natomiast samice przedstawiają sam gatunek w jego sile i ustalonych walorach. U *Andriasa* (i częściowo u człowieka) relacja jest całkiem inna; poprzez stworzenie samczej wspólnoty i solidarności samiec zyskuje wyraźną biologiczną przewagę i wpływa na rozwój gatunku w znacznie większej mierze niż samice. Może właśnie z racji tego wybitnie samczego kierunku rozwoju tak silnie dochodzą u *Andriasa* do głosu techniczne, a więc typowo męskie uzdolnienia. *Andrias* jest urodzonym technikiem ze skłonnością do zbiorowego działania. Te sekundarne męskie cechy, czyli uzdolnienia techniczne i zmysł organizacyjny, rozwijały się dosłownie na naszych oczach, tak szybko i z takim powodzeniem, że musielibyśmy mówić o cudzie przyrodniczym, gdybyśmy nie wiedzieli, jak potężnym życiowym czynnikiem są właśnie determinanty seksualne. *Andrias Scheuchzeri* to *animal faber*[36] i być

może już niedługo przewyższy pod względem technicznym samego człowieka, i to dzięki sile przyrodniczego faktu, że stworzył czysto samczą społeczność".

KSIĘGA DRUGA. PO STOPNIACH CYWILIZACJI

1. Povondra czyta gazety

Jedni zbierają znaczki, a inni pierwodruki. Povondra, odźwierny w domu G. H. Bondego, długo nie mógł odnaleźć sensu swego życia. Przez całe lata wahał się pomiędzy zainteresowaniem starożytnymi grobowcami a pasją do polityki zagranicznej. Pewnego wieczora nagle objawiło mu się jednak coś, czego brakowało mu dotąd do tego, by jego życie było życiem spełnionym. Wielkie odkrycia zazwyczaj pojawiają się znienacka.

Tego wieczora Povondra czytał gazetę, jego żona cerowała Frankowi skarpetki, a ten udawał, że uczy się lewobrzeżnych dopływów Dunaju. Panowała przyjemna cisza.

— Ale ze mnie dureń — mruknął Povondra.

— Co się stało? — zapytała jego małżonka, nawlekając nitkę.

— Chodzi o te płazy — odparł Povondra. — Piszą tu, że w ostatnim kwartale sprzedano ich siedemdziesiąt milionów sztuk. Sługa

— To dużo, prawda? — spytała Povondrowa.

— No pewnie! Przecież to ogromna liczba, mamuśko. Wyobraź sobie, siedemdziesiąt milionów! — Povondra pokręcił głową. — Ktoś musi na tym zarabiać kokosy. A jakie prace można będzie dzięki nim wykonać! — dodał po chwili zastanowienia. — Piszą tu o tym, jak błyskawicznie powstają wszędzie nowe lądy i wyspy. Teraz ludzie będą mogli nabudować sobie lądów, ile będą chcieli. To jest wielka rzecz, mamuśko. Powiem ci, że to jest większy krok do przodu niż odkrycie Ameryki. — Povondra zamyślił się nad tym. — Nowa epoka w dziejach, wiesz? Co robić, mamusiu, żyjemy w przełomowych czasach.

W domu znowu nastała dłuższa cisza. Nagle ojciec Povondra gwałtowniej pyknął z fajki.

— I pomyśleć, że gdyby nie ja, nie doszłoby do tego...!

— Do czego?

— Do tego handlu płazami. Do tego Nowego Wieku. Prawdę mówiąc, to właśnie ja nadałem temu bieg.

Povondrowa podniosła wzrok znad dziurawej skarpetki.

— W jaki sposób?

— Ano w taki, że wpuściłem wtedy tego kapitana do pana Bondego. Gdybym go nie zaanonsował, ten cały kapitan jako żywo nie byłby się spotkał z panem Bondym. Gdyby nie ja, mamusiu, nic by z tego nie wyszło. Kompletnie nic.

— Może ten kapitan znalazłby wtedy kogoś innego — zaprotestowała Povondrowa.

Ojciec Povondra żachnął się.

— Ty tego nie rozumiesz! Taką sprawę potrafi załatwić tylko G. H. Bondy. On widzi dalej niż ktokolwiek inny. Inni uważaliby to za szaleństwo albo jakiś szwindel. Ale nie pan Bondy. Gdzież tam! Ten to ma nosa! — Povondra zamyślił się. — Ten kapitan... jakże on się nazywał... Vantoch... wcale na takiego nie wyglądał. Taki tłuściutki wujaszek. Inny odźwierny powiedziałby mu: „Dokąd, człowieku, pana nie ma w domu, i w ogóle". Ale ja miałem jakieś przeczucie czy co. „Zaanonsuję go — powiedziałem sobie. — Pan Bondy pewnie mnie zwymyśla, ale biorę to na siebie i zapowiem go". Zawsze mówię, że odźwierny musi mieć nosa do ludzi. Czasem zadzwoni jakiś gość, wygląda jak baron, a tymczasem to sprzedawca lodówek. A kiedy indziej przyjdzie taki poczciwy ojczulek i od razu widać, że coś w sobie ma. Człowiek musi się znać na ludziach — perorował Povondra. — Widzisz, Franek, ile zależy od człowieka nawet na podrzędnym stanowisku. Weź z tego przykład i staraj się zawsze wykonywać swoje obowiązki tak, jak to robiłem ja. — Povondra pokiwał głową jakoś tak uroczyście i z przejęciem. — Mogłem tego kapitana pożegnać w drzwiach i oszczędziłbym sobie schodów. Inny odźwierny by się nadął i zatrzasnąłby mu drzwi przed nosem. I udaremniłby w ten sposób taki wspaniały postęp na świecie. Pamiętaj, Franek, że gdyby każdy człowiek wypełniał swoje obowiązki, na świecie byłoby super. I słuchaj uważnie, kiedy do ciebie mówię.

— Dobrze, tatusiu — wymamrotał nieszczęsny Franek.

Povondra odkaszlnął.

— Daj mi na chwilę nożyczki, mamuśko. Powinienem to sobie wyciąć z tej gazety, żebym kiedyś miał po sobie jakąś pamiątkę.

W ten sposób doszło do tego, że Povondra zaczął zbierać wycinki o Płazach. Jego kolekcjonerskiej pasji zawdzięczamy mnóstwo materiałów, które w innym wypadku popadłyby w zapomnienie. Wycinał i chował wszystko, co tylko znalazł wydrukowanego na temat Płazów. Nie będziemy ukrywać, że po początkowych skrupułach nauczył się wertować w swej ulubionej kawiarni gazety, w których była jakakolwiek wzmianka o Płazach, i osiągnął niezwykłą, niemal czarodziejską wirtuozerię w tym, w jaki sposób potrafił wyrwać z gazety odpowiednią kartkę i schować ją do kieszeni na oczach kelnera. Jak wiadomo, wszyscy kolekcjonerzy są zdolni do kradzieży albo morderstwa, byleby zdobyć nowy eksponat do swej kolekcji. W żaden sposób nie stanowi to jednak plamy na ich honorze.

Teraz jego życie nabrało sensu, ponieważ było życiem kolekcjonera. Co wieczór porządkował i czytał swe wycinki pod łagodnym spojrzeniem małżonki, która wiedziała, że każdy mężczyzna jest po części małym dzieckiem. Niech lepiej bawi się tymi swoimi wycinkami, niż miałby chodzić do gospody i grać w karty. Zrobiła nawet w bieliźniarce miejsce na jego pudła, które sam sklejał na swoją kolekcję. Czyż można więcej oczekiwać od żony i gospodyni?

Pan, Sługa

Przy jakiejś okazji nawet sam G. H. Bondy był zaskoczony encyklopedycznymi wiadomościami Povondry na temat wszystkiego, co dotyczy Płazów. Povondra trochę zawstydzony przyznał się, że zbiera wszystko, co wydrukowano o Salamandrach, i pokazał panu Bondemu swe pudła. G. H. Bondy uprzejmie pochwalił jego kolekcję. W rzeczy samej, tylko wielcy panowie potrafią być tak życzliwi i tylko możni ludzie mogą uszczęśliwiać innych i nie kosztuje ich to nawet halerza[37]. Wielcy panowie w ogóle mają dobrze. Na przykład pan Bondy wydał polecenie, żeby Povondrze posyłano z biura Syndykatu Płazów wszystkie poświęcone Płazom wycinki, których nie trzeba było archiwizować. I szczęśliwy, a zarazem lekko podłamany Povondra dostawał codziennie całe paki dokumentów we wszystkich językach świata, spośród których zwłaszcza gazety drukowane azbuką, alfabetem greckim, po hebrajsku, arabsku, chińsku, bengalsku, tamilsku, jawajsku, czy birmańsku napełniały go pobożną czcią. „I pomyśleć — mawiał pochylony nad nimi — że beze mnie nie byłoby tego wszystkiego!".

Historia

Jak już powiedzieliśmy, w kolekcji Povondry zachowało się wiele materiałów archiwalnych o całej tej historii z Płazami, co jednak nie oznacza, że te zbiory mogłyby usatysfakcjonować historyka o naukowym zacięciu. Po pierwsze, Povondra, który nie miał specjalistycznego wykształcenia w zakresie nauk pomocniczych historii i metod archiwistycznych, nie zaopatrzył swych wycinków w żadne wykazy źródeł ani stosowne daty, toteż na ogół nie wiemy, kiedy i gdzie ten czy ów dokument opublikowano. Po drugie, wobec nadmiaru materiałów, które gromadził, Povondra przechowywał głównie dłuższe artykuły, które uważał za ważniejsze, natomiast krótsze wiadomości i depesze po prostu wrzucał do pieca. W rezultacie o całym tym okresie zachowało się bardzo niewiele informacji i danych. Po trzecie, w całą sprawę wmieszała się pani Povondrowa. Kiedy pudła jej męża zapełniały się w znacznej mierze, wyjmowała po kryjomu część wycinków i paliła je, co powtarzało się kilka razy w ciągu roku. Oszczędzała tylko te, których tak szybko nie przybywało, na przykład wycinki w języku malabarskim, tybetańskim albo koptyjskim; te zachowały się niemal w całości, ale ze względu na pewne luki w naszym wykształceniu nie na wiele nam się zdają. Materiał dotyczący dziejów Płazów, którym dysponujemy, jest więc dość skąpy, chyba tak samo jak księgi wieczyste z VIII wieku po Chrystusie albo dzieła zebrane poetki Safony. Jedynie przypadkowo zachowała się dokumentacja dotycząca tego czy innego fragmentu owych światowej rangi wydarzeń, które pomimo wszelkich braków postaramy się zebrać pod szyldem „Po stopniach cywilizacji".

2. Po stopniach cywilizacji (Historia Płazów[38])

W epoce historycznej, której nastanie G. H. Bondy ogłosił na pamiętnym walnym zgromadzeniu Kompanii Eksportowej Pacyfiku w swych proroczych słowach o rozpoczynającej się utopii[39], nie możemy już mierzyć wydarzeń historycznych stuleciami ani dekadami, jak to było możliwe w dotychczasowych dziejach świata, ale kwartałami, w których ukazują się kwartalne statystyki gospodarcze[40].

Historia, Interes, Czas, Przemiana, Rewolucja

W tym okresie tworzenie dziejów, jeśli wolno nam tak powiedzieć, szło już pełną parą; dlatego tempo historii niezwykle (wedle szacunków bodaj pięciokrotnie) rosło. Dzisiaj po prostu nie możemy czekać kilkaset lat, żeby świat zmienił się na lepsze lub gorsze. Na przykład wędrówki ludów, które kiedyś ciągnęły się przez całe wieki, przy dzisiejszej organizacji transportu można by zorganizować w ciągu trzech lat; inaczej nie dałoby się na tym zarobić. Podobnie ma się rzecz z podbojem Imperium Rzymskiego, z kolonizowaniem lądów, wymordowaniem Indian i tak dalej. To wszystko dałoby się dziś załatwić znacznie szybciej, gdyby powierzyć to silnym kapitałowo przedsiębiorcom. W tej materii ogromny sukces Syndykatu Płazów i jego olbrzymi wpływ na światowe dzieje niewątpliwie wskazuje drogę przyszłym pokoleniom.

Historia Płazów od początku więc odznaczała się tym, że została dobrze i racjonalnie zorganizowana. Największą, choć bynajmniej nie jedyną zasługę ma w tym względzie Syndykat Płazów. Naturalnie trzeba przyznać, iż także nauka, filantropia, oświata, druk i inne czynniki mają niemały udział w niesamowitej ekspansji i postępie Płazów. Tym niemniej to właśnie Syndykat Płazów, by tak rzec, dzień po dniu zdobywał dla Salamander nowe kontynenty i nowe wybrzeża, pokonując przy tym liczne przeszkody hamujące tę ekspansję[41].

Kwartalne biuletyny Syndykatu ukazują, jak Płazy stopniowo zasiedlają indyjskie i chińskie porty; jak jaszczurcza kolonizacja zalewa wybrzeża Afryki i przenosi się na kontynent amerykański, gdzie natychmiast powstają nowe, najnowocześniejsze wylęgarnie Płazów w Zatoce Meksykańskiej; jak niezależnie od tych rozległych fal osiedleńczych wysyłane są mniejsze grupy Płazów jako pionierów przyszłego eksportu. Tak na przykład, do holenderskiego Waterstaat Syndykat Płazów posłał w prezencie tysiąc pierwszorzędnych Płazów; miastu Marsylii podarował sześćset Salamander do oczyszczenia Starego Portu; podobnie w wielu innych miejscach. Po prostu w odróżnieniu od zasiedlania świata przez ludzi, rozprzestrzenianie się Płazów dokonywało się planowo i na wielką skalę. Gdyby pozostawiono je przyrodzie, ciągnęłoby się z pewnością przez całe wieki i tysiąclecia. Przyroda nie jest i nigdy nie była tak przedsiębiorcza i wydajna jak ludzka produkcja i handel. Wydaje się, że sam popyt miał też wpływ na płodność Płazów. Ilość narybku z jednej samicy wzrosła aż do stu pięćdziesięciu kijanek rocznie. Pewne regularne straty, które w populacji Płazów powodowały rekiny, ustały niemal zupełnie, ponieważ Płazy zostały zaopatrzone w podwodne pistolety z nabojami dum-dum do obrony przed drapieżnymi rybami[42].

Natura, Handel, Interes, Korzyść

Ekspansja Płazów nie przebiegała jednak wszędzie jednakowo gładko; gdzieniegdzie kręgi konserwatywne ostro sprzeciwiały się wprowadzaniu na rynek nowych sił roboczych, upatrując w nich nieuczciwą konkurencję dla ludzkiej pracy[43]

Inni wyrażali obawy, że Płazy, żywiące się drobną morską fauną, zagrożą połowom ryb; niektórzy zaś twierdzili, że swymi podmorskimi norami i korytarzami osłabiają wybrzeża i wyspy. Prawdę powiedziawszy, sporo ludzi wprost przestrzegało przed sprowadzaniem Płazów. Ale tak się dzieje od dawien dawna, że każda nowość i wszelki postęp spotykają się ze sprzeciwem i nieufnością. Tak było z maszynami fabrycznymi i powtórzyło się to w przypadku Płazów. Gdzie indziej dochodziło do nieporozumień innego rodzaju[44]

Jednakże dzięki wydatnej pomocy światowej prasy, która właściwie oceniła zarówno ogromne możliwości tkwiące w handlu Płazami, jak i związaną z nimi dochodową reklamę, instalowanie Salamander na wszystkich kontynentach witano na ogół z żywym zainteresowaniem, a nawet z entuzjazmem[45].

Handel Płazami znajdował się w większości w rękach Syndykatu Płazów, który używał do tego własnych, specjalnie w tym celu skonstruowanych statków-cystern. Centrum owego handlu i swego rodzaju giełdą Płazów był Salamander Building w Singapurze[46].

Przy rosnących obrotach w eksporcie Płazów powstał jednak także dziki handel. Syndykat Płazów nie mógł kontrolować i prowadzić wszystkich wylęgarni, które nieboszczyk kapitan van Toch rozsiał zwłaszcza po drobnych i odległych wyspach Mikronezji, Melanezji i Polinezji, toteż wiele zatok pozostawiono samym sobie. W rezultacie obok racjonalnego chowu Salamander istniały zakrojone na szeroką skalę połowy dzikich Płazów, przypominające pod wieloma względami dawne wyprawy na wieloryby. Był to połów poniekąd nielegalny, ale ponieważ nie istniały przepisy odnośnie ochrony Płazów, ścigano go najwyżej jako bezprawne wkroczenie na wody terytorialne tego czy innego państwa. Ponieważ jednak Płazy na tych wyspach mnożyły się na potęgę i wyrządzały tubylcom tu i ówdzie pewne szkody na polach i w sadach, te dzikie odłowy Płazów milcząco uważano za naturalną regulację ich populacji[47].

Wizja, Państwo, Naród, Kolonializm, Obraz świata, Przemiana, Praca

Oprócz dobrze zorganizowanego handlu Płazami i szerokiej propagandy prasowej największą zasługę dla rozprzestrzenienia się Płazów miała olbrzymia fala idealizmu technicznego, która w tym okresie zalała cały świat. G. H. Bondy dobrze przewidywał, że duch ludzki zacznie teraz ogarniać nowe kontynenty i nowe Atlantydy. Przez cały Wiek Płazów panował wśród umysłów ścisłych żywy i owocny spór, czy mają powstawać lądy ciężkie, z żelazobetonowymi brzegami, czy lekkie, usypane z morskiego piasku. Niemal codziennie powstawały nowe gigantyczne projekty: włoscy inżynierowie proponowali po pierwsze wybudowanie Wielkiej Italii, zajmującej niemal cały obszar Morza Śródziemnego aż po Trypolitanię, Baleary i Dodekanez, a po wtóre założenie nowego lądu, tak zwanej Lemurii, na wschód od Somali Włoskiego, która zajęłaby cały Ocean Indyjski. W rzeczywistości przy pomocy całej armii Płazów została usypana nowa wysepka naprzeciwko somalijskiego portu Mogadiszu, na obszarze trzynastu i pół akra. Japonia zaprojektowała i częściowo zrealizowała budowę nowej dużej wyspy w miejscu dawnego archipelagu Mariany i przygotowywała połączenie archipelagów Karoliny i Marshalla w dwie wielkie wyspy, które miały się nazywać Nowy Nippon; na każdej z nich miał nawet powstać sztuczny wulkan, który przypominałby przyszłym mieszkańcom świętą Fudżijamę. Mówiono również, że niemieccy inżynierowie budują potajemnie na Morzu Sargasowym ciężki betonowy ląd, który ma być przyszłą Atlantydą i który mógłby ponoć zagrażać francuskiej Afryce Zachodniej; zdaje się jednak, że doszło jedynie do położenia fundamentów. W Holandii zabrano się do wysuszania Zelandii. Francja połączyła na Gwadelupie Grande Terre, Basse Terre i La Désirade w jedną szczęśliwą wyspę. Stany Zjednoczone zaczęły budować na 37 południku pierwszą wyspę napowietrzną (dwupoziomową, z ogromnym hotelem, stadionem sportowym, lunaparkiem i kinem na pięć tysięcy widzów). Po prostu wydawało się, że padły ostatnie granice, które ludzkiemu rozmachowi stawiały światowe morza. Nastała radosna epoka wspaniałych planów technicznych. Człowiek uświadamiał sobie, że dopiero teraz staje się Panem Świata, dzięki Płazom, które wstąpiły na światową arenę we właściwym momencie i, by tak rzec, z dziejową koniecznością. Bez wątpienia nie doszłoby do tego niezmiernego rozprzestrzenienia się Płazów, gdyby nasz techniczny wiek nie przygotował dla nich tylu zadań do wykonania i tak ogromnego pola do stałego zatrudnienia. Przyszłość Robotników Morza zdawała się teraz zapewniona na wieki.

Znaczny udział w korzystnym rozwoju handlu Płazami miała także nauka, która natychmiast zwróciła uwagę na badanie Płazów zarówno od strony cielesnej, jak i duchowej[48].

Kondycja ludzka, Korzyść, Interes, Niebezpieczeństwo

Dzięki temu naukowemu badaniu ludzie przestali uważać Płazy za jakiś cud. W obiektywnym świetle nauki Salamandry straciły wiele z pierwotnego nimbu nadzwyczajności i wyjątkowości. Stawszy się przedmiotem psychologicznych testów, wykazywały bardzo przeciętne i mało interesujące właściwości; ich wielkie zdolności odesłano do krainy bajek. Nauka ukazała Normalną Salamandrę, która okazała się stworzeniem całkiem nudnym i dosyć ograniczonym. Tylko gazety jeszcze czasem donosiły o Cudownym Płazie,

który potrafi w pamięci mnożyć pięciocyfrowe liczby, ale to też przestało ludzi bawić, zwłaszcza kiedy się okazało, że przy odpowiednim ćwiczeniu może się tego nauczyć także normalny człowiek. Ludzie po prostu zaczęli uważać Płazy za coś równie oczywistego jak maszyna licząca albo inny automat. Nie widzieli w nich już niczego tajemniczego, co wynurzyło się z nieznanych głębin bóg wie czemu i po co. Ponadto ludzie nigdy nie uważają za tajemnicze tego, co im służy i przynosi korzyść, lecz tylko to, co im szkodzi albo zagraża. A Płazy, jak się okazało, były stworzeniami bardzo — i to wszechstronnie — użytecznymi[49].

Koniec końców, jest czymś zgoła naturalnym, że Płazy przestały być sensacją, skoro było ich na świecie kilkaset milionów; powszechne zainteresowanie, które wywoływały, dopóki były jaką taką nowinką, wybrzmiewało jeszcze jakiś czas w filmowych groteskach (*Sally i Andy, dwie miłe Salamandry*) i na scenach kabaretowych, gdzie śpiewacy i subretki, obdarzeni wyjątkowo kiepskimi głosami, występowali w rolach skrzeczących i gramatycznie nieporadnie wyrażających się Płazów. Gdy tylko Płazy stały się powszednim zjawiskiem, zmieniła się, by tak rzec, ich problematyka[50].

To prawda, że wielki szum wokół Płazów wkrótce ucichł, ustępując miejsca czemu innemu i w pewnej mierze poważniejszemu, a mianowicie Problemowi Płazów. Prekursorką w zakresie owego Problemu — jak już nieraz bywało w historii ludzkiego postępu — była kobieta. Była to Mme Louise Zimmermann, dyrektorka pensjonatu dla dziewcząt w Lozannie, która z niezwykłą energią i niesłabnącym entuzjazmem propagowała na całym świecie swe szlachetne hasło: „Dajcie Płazom porządne szkolne wychowanie[51]!". Długo spotykała się z niezrozumieniem społeczeństwa, gdy niestrudzenie zwracała uwagę z jednej strony na wrodzoną funkcjonalność Płazów, z drugiej zaś na zagrożenie, które mogłoby powstać dla ludzkiej cywilizacji, gdyby Salamandrom nie zapewniono starannego wychowania moralnego i intelektualnego. „Jak rzymska kultura zanikła na skutek najazdu barbarzyńców, zanikłaby i nasza oświata, gdyby stała się wyspą w morzu stworzeń duchowo ujarzmionych, którym odmawia się udziału w najwyższych ideałach współczesnej ludzkości!". Tak wołała proroczo na sześciu tysiącach trzystu pięćdziesięciu siedmiu wykładach, które wygłosiła w kobiecych klubach w całej Europie i Ameryce, a także w Japonii, Chinach, Turcji i innych krajach. „Jeśli kultura ma się utrzymać, musi być udziałem wszystkich. Nie możemy w spokoju cieszyć się darami naszej cywilizacji ani owocami naszej kultury, dopóki wokół nas istnieją miliony nieszczęsnych, cichych istot, sztucznie utrzymywanych w stanie animalnym. Tak jak hasłem dziewiętnastego wieku było Wyzwolenie Kobiet, hasłem naszego stulecia musi być: *Dajcie Płazom porządne szkoły*!" I tak dalej. Dzięki swej erudycji i niewiarygodnemu uporowi Mme Louise Zimmermann zmobilizowała kobiety całego świata i zebrała wystarczające środki finansowe, żeby założyć w Beaulieu (pod Niceą) pierwsze liceum dla Płazów, w którym kijanki Salamander pracujących w Marsylii uczono francuskiego języka i literatury, retoryki, dobrych obyczajów, matematyki i dziejów kultury[52].

Szkoła

Nieco mniejszym powodzeniem cieszyła się Dziewczęca Szkoła dla Płazów we francuskim Menton, gdzie głównie lekcje muzyki, kuchni dietetycznej i delikatnych prac ręcznych (przy których Mme Zimmermann obstawała ze względów pedagogicznych) spotykały się z ewidentnym brakiem uległości, o ile nie z konsekwentnym brakiem zainteresowania młodych licealistek. Natomiast pierwsze publiczne egzaminy Młodych Płazów zakończyły się takim zdumiewającym sukcesem, że natychmiast (z funduszy towarzystw ochrony zwierząt) założono Politechnikę Morską w Cannes i Uniwersytet Płazów w Marsylii; tu później pierwszy Płaz uzyskał stopień doktora praw.

Kwestia wychowania Płazów zaczęła się teraz rozwijać szybko i normalną koleją rzeczy. W stosunku do wzorowych Écoles Zimmermann bardziej postępowi nauczyciele podnieśli wiele poważnych zarzutów. Twierdzono zwłaszcza, że przestarzałe humanistyczne szkolnictwo przeznaczone dla ludzkiej młodzieży nie pasuje do wychowania młodych Płazów. Zdecydowanie potępiano nauczanie literatury i historii, doradzając, by jak najwięcej miejsca i czasu poświęcano praktycznym i nowoczesnym przedmiotom, takim jak nauki przyrodnicze, pracy w warsztatach szkolnych, zajęciom technicznym, wychowaniu fizycznemu i tak dalej. Ta tak zwana Szkoła Reformowana czyli Szkoła Praktycznego Życia była z kolei namiętnie zwalczana przez zwolenników klasycznego wykształcenia,

którzy głosili, że Płazom można przybliżyć dobra ludzkiej kultury tylko na podstawach łacińskich i że nie wystarczy nauczyć je mówić, jeśli nie nauczymy ich cytować poetów i przemawiać z cycerońską erudycją. Powstał na tym tle długotrwały i dosyć burzliwy spór, który został w końcu rozstrzygnięty w taki sposób, że szkoły dla Salamander zostały upaństwowione, a szkoły dla ludzkiej młodzieży zreformowane tak, żeby jak najbardziej zbliżyły się do ideałów Szkoły Reformowanej dla Płazów.

Naturalnie także w innych krajach rozległo się wołanie o właściwe i obowiązkowe nauczanie dla Płazów pod nadzorem państwowym. Doszło do tego stopniowo we wszystkich krajach nadmorskich (z wyjątkiem Wielkiej Brytanii). A ponieważ szkoły dla Płazów nie były obciążone starymi klasycznymi tradycjami szkół ludzkich, mogły stosować wszystkie najnowsze metody psychotechniki, wychowania technologicznego, szkolenia paramilitarnego i inne osiągnięcia pedagogiczne ostatnich lat. Rozwinęły się one wkrótce w najnowocześniejsze i najbardziej postępowe szkolnictwo na świecie, które słusznie było przedmiotem zazdrości wszystkich pedagogów i uczniów ludzkich.

Słowo, Naród, Nacjonalizm, Kondycja ludzka, Konflikt, Nauka

Równocześnie ze szkolnictwem dla Płazów powstał problem języka. Których światowych języków mają Salamandry uczyć się najpierw? Pierwotne Płazy z wysp Pacyfiku posługiwały się *Pidgin English*, podchwyconym od tubylców i marynarzy; wiele mówiło po malajsku albo w innych miejscowych narzeczach. Płazy hodowane na rynek singapurski nakłaniano, aby mówiły w *Basic English*, owej pod względem naukowym uproszczonej angielszczyźnie, która zadowala się kilkuset wyrazami, bez przestarzałych gramatycznych kontekstów; dlatego też tę zreformowaną standardową angielszczyznę zaczęto nazywać *Salamander English*. We wzorcowych Écoles Zimmermann Płazy mówiły językiem Corneille'a, bynajmniej jednak nie z powodów nacjonalistycznych, lecz dlatego, że należy to do wyższego wykształcenia. Natomiast w szkołach reformowanych uczono esperanto jako języka do porozumiewania się. Oprócz tego powstało w tym czasie bodaj pięć albo sześć nowych Języków Uniwersalnych, które miały zastąpić babilońskie pomieszanie ludzkich języków i dać jeden wspólny język ojczysty całemu światu ludzi i Płazów. Było jednak wiele sporów o to, który z tych Języków Międzynarodowych jest najbardziej funkcjonalny, melodyjny i uniwersalny. Ostatecznie skończyło się na tym, że w każdym narodzie propagowano inny Język Uniwersalny[53].

Słowo, Moda, Pozycja społeczna, Zabawa

Dzięki upaństwowieniu szkolnictwa Płazów cała sprawa stała się prostsza: w każdym kraju Płazy były po prostu kształcone w języku danego narodu. Chociaż Salamandry uczyły się języków obcych stosunkowo łatwo i z zapałem, ich zdolności językowe przejawiały pewne braki, wynikające z jednej strony ze słabego wykształcenia się ich aparatów mowy, z drugiej zaś z powodów natury psychicznej; na przykład z trudem wymawiały długie, wielosylabowe słowa i próbowały redukować je do jednej sylaby, którą wymawiały krótko i nieco skrzekliwie; mówiły *l* zamiast *r*, a przy głoskach syczących lekko sepleniły; pomijały końcówki gramatyczne, nigdy nie nauczyły się rozróżniać „ja" i „my", i było im wszystko jedno, czy jakieś słowo jest rodzaju żeńskiego czy męskiego (może przejawia się w tym ich oziębłość płciowa poza okresem kopulacji). Po prostu każdy język w ich ustach ulegał charakterystycznemu przetworzeniu i jakiemuś racjonalnemu sprowadzeniu do najprostszych i rudymentarnych form. Jest rzeczą godną uwagi, że ich neologizmy, ich wymowę i gramatyczną prymitywność zaczęły szybko przyswajać sobie z jednej strony ludzkie szumowiny w portach, z drugiej tak zwane wyższe sfery; stąd ten sposób mówienia przedostawał się do gazet i wkrótce spowszechniał. U ludzi też często zatracały się rodzaje gramatyczne, ulatniały końcówki, zanikła odmiana. Złota młodzież ograniczyła użycie spółgłoski *r* i nauczyła się seplenić. Mało kto z wykształconych ludzi mógłby jeszcze powiedzieć, co znaczy indeterminizm czy transcendencja, po prostu dlatego, że te słowa także dla ludzi stały się zbyt długie i nie do wypowiedzenia.

Krótko mówiąc, dobrze czy źle, potrafiły Płazy mówić prawie wszystkimi językami świata, stosownie do tego, na jakim wybrzeżu żyły. Ukazał się u nas wtedy (bodaj w „Národních listach") artykuł, którego autor z goryczą (niewątpliwie słuszną) pytał, dlaczego Płazy nie uczą się też czeskiego, skoro już są na świecie Salamandry mówiące po portugalsku, holendersku i w innych językach małych narodów. Nasz naród nie ma wprawdzie niestety swego wybrzeża morskiego, przyznawał autor rzeczonego artykułu, i dlatego nie ma u nas morskich Płazów. Jednakże mimo iż nie mamy swego morza, nie

oznacza to, że nie mamy takiego samego, a pod wieloma względami większego udziału w światowej kulturze, jak wiele narodów, których języków uczą się tysiące Płazów. Byłoby sprawiedliwe, gdyby Płazy poznały także nasze życie duchowe; ale jak mogą czerpać o nim informacje, skoro nie ma wśród nich nikogo, kto znałby nasz język? Nie oczekujmy, że ktoś na świecie uzna ten kulturowy dług i założy katedrę języka i literatury czeskiej na którejś uczelni dla Płazów. Jak mówi poeta: „Nie wierzmy nikomu na świecie, nie mamy tam ni jednego przyjaciela[54]". Postarajmy się zatem sami o poprawę tej sytuacji — wołał autor artykułu. — Cokolwiek zrobiliśmy na tym świecie, uczyniliśmy to własnymi siłami! Jest naszym prawem i naszym obowiązkiem, żebyśmy starali się pozyskać przyjaciół również wśród Płazów; ale jak się zdaje, nasze ministerstwo spraw zagranicznych nie przejawia zbytniego zainteresowania należytą propagandą naszego kraju i naszych produktów wśród Płazów, chociaż inne, także mniejsze narody, przeznaczają miliony na to, by ukazać Płazom skarby swej kultury, a zarazem wzbudzić ich zainteresowanie swymi wyrobami przemysłowymi.

Artykuł wzbudził spore zainteresowanie, głównie w Związku Przemysłowców, i miał przynajmniej ten skutek, że wydano mały podręcznik *Język czeski dla Płazów*, z fragmentami z czeskiej i słowackiej literatury pięknej. Brzmi to niewiarygodnie, ale naprawdę sprzedało się ponad siedemset egzemplarzy tej książki; był to więc całkiem spory sukces[55].

Jednakże kwestia wychowania i języka była tylko jedną stroną wielkiego Problemu Płazów, który, jak się to mówi, narastał na oczach ludzi. Na przykład wkrótce wyłoniło się pytanie, jak właściwie ma się postępować z Płazami w aspekcie, by tak rzec, społecznym. W pierwszych, niemal prehistorycznych latach Wieku Płazów to towarzystwa ochrony zwierząt gorliwie starały się o to, żeby nie traktowano Płazów okrutnie i nieludzko; dzięki ich wytrwałym zabiegom udało się sprawić, że prawie wszędzie urzędy przyglądały się temu, aby w stosunku do Płazów przestrzegano przepisów policyjnych i weterynaryjnych obowiązujących wobec innych zwierząt hodowlanych. Także zdecydowani przeciwnicy wiwisekcji podpisali wiele protestów i petycji, aby zakazać przeprowadzania na żywych Płazach eksperymentów naukowych; w szeregu państw takie prawo faktycznie zostało wydane[56]. Jednakże wraz z rosnącym wykształceniem Salamander odczuwano coraz większe zakłopotanie z racji tego, czy należy chronić Płazy tak jak chroni się zwierzęta; wydawało się to z jakichś nie całkiem jasnych powodów trochę niewłaściwe. Powstała wówczas międzynarodowa Liga Ochrony Płazów (*Salamander Protecting League*) pod protektoratem księżnej Huddersfield. Liga ta, licząca ponad dwieście tysięcy członków, głównie w Anglii, wykonała na rzecz Salamander znaczącą i chwalebną pracę. Jej szczególnym osiągnięciem było to, że na wybrzeżach tworzono boiska dla płazów, gdzie mogły one, nie będąc niepokojone przez ciekawskich widzów, urządzać swe „mityngi i uroczystości sportowe" (prawdopodobnie również tańce przy księżycu); że we wszystkich szkołach (nawet na uniwersytecie w Oksfordzie) kładziono uczniom do głowy żeby nie kamienowali Płazów; że w pewnej mierze dbano o to, by w szkołach dla Płazów nie przeciążano młodych kijanek nauką; i wreszcie — że miejsca pracy i toalety dla Płazów zostały otoczone wysokimi drewnianymi płotami, które chroniły Płazy przed różnego rodzaju napastowaniem, a przede wszystkim w dostatecznej mierze oddzielały świat Salamander od świata ludzi[57].

Według wszelkich danych akcja ta nie spotkała się z pożądanym rezultatem. Nic nie wiadomo o tym, żeby Płazy kiedykolwiek zdecydowały się nosić sukienki albo fartuszki. Może przeszkadzały im pod wodą, a może nie chciały się na nich trzymać. A kiedy Płazy zostały odgrodzone od ludzi drewnianymi płotami, zniknęły po obu stronach wszelkie powody do wstydu albo do nieprzyjemnych odczuć.

Co się tyczy naszej wzmianki o tym, że trzeba było chronić Płazy przed napastowaniem, mieliśmy na myśli głównie psy, które się nigdy z Płazami nie pogodziły i prześladowały je wściekle również pod wodą, nie bacząc na to, że dostawały zapalenia śluzówek w pysku, kiedy pogryzły uciekającego Płaza. Czasem Płazy się broniły i niejeden rasowy pies został zabity motyką albo kilofem. W ogóle między psami i Płazami rozwinęła się trwała, śmiertelna wręcz wrogość, która się w żaden sposób nie zmieniła — przeciwnie, raczej się nasiliła i pogłębiła — przez postawienie płotów między nimi. Ale tak to już

bywa, nie tylko u psów. Nawiasem mówiąc, te smołowane płoty, ciągnące się często setkami kilometrów wzdłuż morskiego brzegu, wykorzystano do celów wychowawczych; na całej długości namalowane były na nich duże napisy i hasła odpowiednie dla Płazów, na przykład:

Praca, Polityka, Słowo

Wasza praca — wasz sukces
Szanujcie każdą sekundę!
Dzień ma tylko 86 400 sekund!
Każdy jest tyle wart, ile wykona pracy
Jeden metr zapory możecie zbudować w ciągu 57 minut!
Kto pracuje, służy wszystkim
Kto nie pracuje, niech nie je!

I tak dalej. Gdy pomyślimy, że te drewniane ogrodzenia otaczały na całym świecie ponad trzysta tysięcy kilometrów morskich wybrzeży, będziemy mogli sobie wyobrazić, ile motywujących i pożytecznych haseł zmieściło się na nich.

Prawo, Własność, Kondycja ludzka, Zwierzę

Jednakże te godne pochwały prywatne inicjatywy, które starały się przyzwoicie i humanitarnie kształtować stosunek społeczności ludzi do Płazów, szybko okazały się niewystarczające. Wprawdzie stosunkowo łatwo było wdrożyć Salamandry, jak się to mówi, do procesu produkcyjnego, ale znacznie bardziej skomplikowane i trudniejsze okazało się włączenie ich w jakiś sposób w powstające porządki społeczne. Bardziej konserwatywnie nastawieni ludzie twierdzili wprawdzie, że tu nie ma co mówić o jakichś problemach prawnych czy publicznych. Płazy są ponoć najzwyczajniej w świecie własnością swego pracodawcy, który za nie ręczy i odpowiada też za ewentualne szkody, które by jego Płazy wyrządziły. Pomimo swej niewątpliwej inteligencji Salamandry nie są w znaczeniu prawnym niczym innym, jak tylko przedmiotem, rzeczą albo mieniem, i każda specjalna regulacja prawna dotycząca Płazów stanowiłaby rzekomo niepokojącą ingerencję w święte prawa własności prywatnej. Tymczasem druga strona oponowała, że Płazy jako istoty inteligentne i w znacznej mierze odpowiedzialne mogą samowolnie i w rozmaity sposób naruszać obowiązujące prawa. Jakby zareagował właściciel Płazów na to, że ma ponosić odpowiedzialność za ewentualne występki swoich Salamander? Takie ryzyko niewątpliwie podłamałoby prywatną przedsiębiorczość w dziedzinie prac wykonywanych przez Płazy. W morzu nie ma płotów, mówiło się. Płazów nie da się zamknąć, żebyście je mieli pod nadzorem. Dlatego trzeba na drodze prawnej zobowiązać same Płazy, żeby respektowały ludzki porządek prawny i kierowały się przepisami, które zostaną dla nich wydane[58].

O ile wiadomo, pierwsze ustawy dla Salamander zostały wydane we Francji. Jedna z nich określała obowiązki Płazów w przypadku mobilizacji i wojny. Druga ustawa (zwana *lex Deval*) nakazywała Płazom osiedlanie się tylko w tych miejscach na wybrzeżu, które wskaże im ich właściciel albo odpowiedni urząd departamentalny. Trzecia ustawa mówiła o tym, że Płazy są bezwarunkowo zobowiązane do podporządkowania się wszystkim zarządzeniom policyjnym; gdyby tego nie uczyniły, urzędy policyjne mają prawo karać je zamknięciem w suchym i jasnym miejscu albo nawet pozbawieniem pracy na dłuższy czas. W odpowiedzi na to partie lewicowe zgłosiły w parlamencie propozycję, żeby opracowano prawodawstwo socjalne dla Salamander, które by określiło ich pracownicze obowiązki, a na pracodawców nałożyło określone zobowiązania wobec pracujących Płazów (na przykład zgodę na czternastodniowy urlop w okresie wiosennego parzenia). Natomiast skrajna lewica domagała się, żeby Płazy w ogóle zostały wydalone z kraju jako wrogowie ludu pracującego, którzy na usługach kapitalistów pracują zbyt dużo i prawie za darmo, zagrażając tym poziomowi życia klasy robotniczej. Dla wzmocnienia tego postulatu doszło do strajku w Breście oraz do wielkich demonstracji w Paryżu; było wielu rannych, a minister Deval musiał podać się do dymisji. We Włoszech Salamandry zostały podporządkowane specjalnej Korporacji Płazów, złożonej z pracodawców i urzędów, w Holandii były administrowane przez ministerstwo budownictwa wodnego — krótko mówiąc, każde państwo rozwiązywało Problem Płazów po swojemu i odmiennie, ale wiele aktów urzędowych, określających publiczne obowiązki i odpowiednio ograniczających zwierzęcą swobodę Płazów, było wszędzie bardzo podobnych.

Rzecz zrozumiała, że wraz z pierwszymi ustawami dla Płazów pojawili się ludzie, którzy w imię prawnej logiki wnioskowali, że jeśli ludzie nakładają na Salamandry określone obowiązki, muszą też przyznać im pewne prawa. Państwo, które stanowi prawo dla Płazów, uznaje je *ipso facto* za istoty odpowiedzialne i wolne, za podmioty prawne, ba — wręcz za obywateli ich państwa. A w takim razie trzeba będzie uregulować jakoś ich obywatelski stosunek do państwa, pod którego legislatywą żyją. Można byłoby wprawdzie uznać Płazy za emigrantów, ale w takim przypadku państwo nie mogłoby oczekiwać od nich pewnych usług czy obowiązków w czasie mobilizacji lub wojny, jak to się dzieje we wszystkich (z wyjątkiem Anglii) cywilizowanych krajach. Będziemy zapewne oczekiwać od Płazów, żeby w przypadku konfliktu wojennego broniły naszych wybrzeży, ale wówczas nie możemy pozbawiać ich pewnych praw obywatelskich, na przykład prawa wyborczego, prawa do zgromadzeń, reprezentacji w różnych organach publicznych i tak dalej[59]. Proponowano nawet, żeby Salamandry miały jaką taką podmorską autonomię, lecz te i inne rozważania miały charakter czysto akademicki. Do żadnego praktycznego rozwiązania nie doszło, przede wszystkim dlatego, że Płazy nigdy i nigdzie nie domagały się praw obywatelskich.

Kondycja ludzka, Prawo, Obywatel, Dusza, Religia

Podobnie bez większego zainteresowania i udziału Płazów przebiegła inna wielka dyskusja, która toczyła się wokół problemu, czy Płazy mogą być chrzczone. Kościół katolicki zajmował od początku konsekwentne stanowisko, że nie. Ponieważ Płazy nie są potomkami Adama, nie zostały poczęte w grzechu pierworodnym, więc nie mogą być poprzez sakrament chrztu od tego grzechu oczyszczone. Kościół święty nie chce w żaden sposób rozstrzygać kwestii, czy Płazy mają nieśmiertelną duszę albo jakiś inny udział w miłosierdziu i zbawieniu bożym. Jego przychylność wobec Płazów może przejawiać się jedynie w tym, że będzie o nich pamiętać w specjalnej modlitwie, która będzie czytana w określone dni obok modlitwy za dusze w czyśćcu cierpiące i wstawiennictwa za niewierzącymi[60]. Trudniej miały Kościoły protestanckie; przyznawały wprawdzie Płazom rozum, a więc i zdolność do zrozumienia nauki chrześcijańskiej, ale wahały się przed uczynieniem ich członkami Kościoła, a tym samym również braćmi w Chrystusie. Ograniczyły się więc do tego, że wydały (w wersji skróconej) *Pismo Święte dla Płazów* na nieprzemakalnym papierze i rozprowadziły je w milionach egzemplarzy. Rozważano też stworzenie dla Płazów (w analogii do *Basic English*) jakiegoś *Basic Christian*, podstawowego i uproszczonego nauczania chrześcijańskiego, ale próby poczynione w tym kierunku wywołały tyle sporów teologicznych, że ostatecznie zrezygnowano z tego[61]. Mniej skrupułów miały niektóre sekty religijne (zwłaszcza amerykańskie), które wysyłały do Płazów swoich misjonarzy, aby głosili im Prawdziwą Wiarę i chrzcili je zgodnie ze słowami Pisma: „Idźcie na cały świat i nauczajcie wszystkie narody". Jednakże tylko niewielu misjonarzom udało się dostać za drewniane ogrodzenie oddzielające Salamandry od ludzi. Pracodawcy bronili im dostępu do Płazów, żeby swymi kazaniami nie odciągali ich od pracy. Widać więc było tu i ówdzie kaznodzieję, który stojąc przy drewnianym płocie pośród psów, wściekle szczekających na swych wrogów po drugiej stronie ogrodzenia, daremnie, ale z zapałem objaśniał Słowo Boże.

O ile wiadomo, nieco bardziej przyjął się wśród Płazów monizm[62]. Niektóre Płazy wierzyły też w materializm, złoty standard i inne naukowe wykłady wiary. Pewien popularny filozof nazwiskiem Georg Sequenz stworzył nawet specjalną religię dla Płazów, której głównym i najwyższym artykułem była wiara w Wielkiego Salamandra. Wprawdzie ta wiara w ogóle nie przyjęła się wśród Płazów, ale za to znalazła wielu zwolenników wśród ludzi, szczególnie w dużych miastach, gdzie niemal z dnia na dzień powstało mnóstwo tajnych świątyń tego kultu[63]. Płazy same w późniejszych czasach przyjęły powszechnie inną wiarę, o której nie wiadomo, skąd się wśród nich wzięła. Było to czczenie Molocha, którego wyobrażały sobie jako ogromnego Płaza z ludzką głową. Miały podobno olbrzymie figury podmorskich bożków z żeliwa, które zamawiały u Armstronga albo u Kruppa, ale bliższe szczegóły o ich kultowych obrzędach, ponoć niezwykle okrutnych i tajemniczych, nigdy nie wyszły na jaw, ponieważ odbywały się one pod wodą. Zdaje się, że ta wiara rozszerzyła się wśród nich dlatego, że imię Moloch przypominało im niemiecką nazwę przyrodniczą Płaza (*Molch*).

Jak widać z poprzednich akapitów, Problem Płazów początkowo przez dłuższy czas dotyczył tylko tego, czy i w jakiej mierze Płazy, jako istoty rozumne i znacznie ucywilizowane, są zdolne do korzystania z pewnych ludzkich praw, choć żyją tylko na marginesie ludzkiego społeczeństwa i ludzkiego ładu. Innymi słowy, była to wewnętrzna sprawa poszczególnych krajów, rozwiązywana w ramach miejscowego prawa. Przez szereg lat nikomu nawet nie przyszło do głowy, że Problem Płazów może mieć dalekosiężne znaczenie międzynarodowe i że może trzeba będzie postępować z Salamandrami nie tylko jako z inteligentnymi istotami, ale także jako z kolektywem czy narodem Płazów. Prawdę mówiąc, pierwszy krok w kierunku takiego pojmowania Problemu Płazów uczyniły owe nieco dziwaczne chrześcijańskie sekty, które próbowały ochrzcić Płazy, powołując się na słowa Pisma: „Idźcie na cały świat i nauczajcie wszystkie narody". W tym kontekście po raz pierwszy wypowiedziano, że Płazy są jakby narodem[64]. Lecz pierwsze prawdziwie międzynarodowe i zasadnicze uznanie Płazów za naród przyniosło dopiero słynne oświadczenie Międzynarodówki Komunistycznej, podpisane przez towarzysza Molokowa i skierowane „do wszystkich uciskanych i rewolucyjnych Płazów całego świata[65]".

Chociaż ta proklamacja nie miała, jak się zdaje, bezpośredniego wpływu na Płazy, wywołała jednak znaczny oddźwięk w światowej prasie, czego efektem było choćby to, że Salamandry zostały wprost zalane płomiennymi wezwaniami z rozmaitych stron, aby jako całość przyłączyły się do tego czy innego ideowego, politycznego albo społecznego programu ludzkiej społeczności[66].

Teraz Problemem Płazów zaczął się zajmować również Międzynarodowy Urząd Pracy w Genewie. Tam zderzyły się dwa poglądy: jeden uznawał Płazy za nową klasę pracującą i domagał się, żeby objąć je wszelkim prawodawstwem socjalnym dotyczącym czasu pracy, płatnych urlopów, ubezpieczenia zdrowotnego i emerytalnego i tak dalej; drugi natomiast głosił, że w Płazach rośnie niebezpieczna konkurencja dla ludzkiej siły roboczej i że powinno się im po prostu zakazać pracy, jako działania antyspołecznego. Przeciwko temu pomysłowi wystąpili nie tylko przedstawiciele pracodawców, ale także delegaci robotników, wskazując na to, że Płazy są już nie tylko nową armią pracowników, ale również wielkim i coraz ważniejszym odbiorcą. Jak podali, w ostatnim czasie w niespotykanej dotąd mierze wzrosło zatrudnienie w branży obróbki metali (narzędzia pracy, maszyny i metalowe figury bożków dla Płazów), przemyśle zbrojeniowym, chemicznym (podwodne materiały wybuchowe), w produkcji papieru (podręczniki dla Płazów), cementu, drewna, sztucznej żywności (*Salamander-Food*) i w wielu innych dziedzinach. Tonaż przewożonych statkami towarów wzrósł w porównaniu z okresem przed pojawieniem się na masową skalę Płazów o 27 %, wydobycie węgla o 18,6 %. Pośrednio, wraz ze wzrostem zatrudnienia i dobrobytu wśród ludzi, rosną obroty także w innych gałęziach przemysłu. Ostatnimi czasy Płazy zamawiają różne części maszyn, wykonane według ich własnych projektów; same montują z nich pod wodą pneumatyczne wiertarki, młoty, silniki podwodne, maszyny drukarskie, wodne krótkofalówki i inne urządzenia własnej konstrukcji. Za te elementy płacą wzrostem wydajności pracy. Dziś już jedna piąta całej światowej produkcji w przemyśle ciężkim i mechanice precyzyjnej jest zależna od zamówień Płazów. Zlikwidujcie Salamandry, a możecie zamknąć jedną piątą fabryk. Zamiast dzisiejszej prosperity będziecie mieć miliony bezrobotnych. Międzynarodowy Urząd Pracy nie mógł lekceważyć tych obiekcji. W końcu po długich dyskusjach osiągnięto przynajmniej taki kompromis, że: „wyżej wymienieni pracownicy kategorii S (ziemnowodnej) mogą pracować tylko pod wodą albo w wodzie, na brzegu zaś jedynie w odległości dziesięciu metrów od linii najwyższego przypływu; nie wolno im wydobywać węgla ani ropy naftowej z dna morza; nie wolno im produkować papieru, tekstyliów ani sztucznej skóry z morskich wodorostów dla potrzeb odbiorców na lądzie" i tak dalej. Te ograniczenia w produkcji, postawione Płazom, zostały zapisane w postaci kodeksu liczącego dziewiętnaście paragrafów, których nie przytaczamy głównie z tego powodu, że ich oczywiście nigdy nie przestrzegano. Lecz jako szlachetne, prawdziwie międzynarodowe rozwiązanie Problemu Płazów od strony ekonomicznej i społecznej wspomniany kodeks był chlubnym i imponującym dziełem.

Nieco wolniej szło z międzynarodowym uznaniem Płazów na polu kontaktów kulturalnych. Gdy w prasie fachowej ukazał się bardzo często cytowany artykuł *Geologiczna*

struktura dna morskiego w pobliżu wysp Bahama, podpisany nazwiskiem John Seaman, nikt nie wiedział, że chodzi o pracę naukową uczonej Salamandry. Kiedy jednak na kongresy naukowe albo na adres różnych akademii i towarzystw naukowych zaczęły docierać od badaczy-Płazów referaty i studia z dziedziny oceanografii, geografii, hydrobiologii, wyższej matematyki i innych nauk ścisłych, wywoływało to znaczne zakłopotanie, a nawet oburzenie, które wyraził sławny doktor Martel słowami: „To robactwo chce nas czegoś nauczyć?". Japoński uczony doktor Onoszita, który odważył się zacytować fragment referatu pewnego Płaza (było to coś o rozwoju woreczka żółciowego u kijanek morskiej ryby głębinowej *Argyropelecus hemigymnus Cocco*), był naukowo bojkotowany i popełnił harakiri. Dla nauki uniwersyteckiej było sprawą honoru i środowiskowej dumy nie brać pod uwagę żadnej pracy naukowej Płazów. Tym większe zainteresowanie (o ile nie zgorszenie) wzbudził gest, który uczynił Centre Universitaire de Nice, zapraszając na uroczysty wykład doktora Charlesa Merciera, niezwykle uczonego Płaza z portu w Tulonie, który z nadzwyczajnym powodzeniem prowadził wykłady na temat teorii krzywej stożkowej w geometrii nieeuklidesowej[67].

Na tej uroczystości obecna była, jako delegatka genewskiej organizacji, również — Mme Maria Dimineanu. Ta doskonała, szlachetna dama była tak wzruszona skromnym zachowaniem i uczonością doktora Merciera („*Pauvre petit* — miała się ponoć wyrazić — *il est tellement laid*[68]!"), że postawiła sobie za cel swego aktywnego życia, aby Płazy zostały przyjęte na członka Ligi Narodów. Daremnie tłumaczyli politycy elokwentnej i energicznej damie, że Salamandry, niemające nigdzie na świecie własnej suwerenności państwowej ani samego państwa, nie mogą być członkami Ligi Narodów. — Mme Dimineanu zaczęła więc propagować ideę, żeby Płazy dostały gdzieś wolne terytorium i swoje podmorskie państwo. Ta idea spotkała się jednak z nieprzychylnym przyjęciem, jeśli w ogóle traktowano ją poważnie. Ostatecznie jednak znaleziono pomyślne rozwiązanie: przy Lidze Narodów powstanie specjalna Komisja do Badania Problemu Płazów, do której zostaną zaproszeni również dwaj delegaci Płazy. Jako pierwszy został — pod naciskiem pani Dimineanu — powołany doktor Charles Mercier z Tulonu, drugim zaś był niejaki don Mario, gruby i uczony Płaz z Kuby, pracujący naukowo w dziedzinie planktonu i nerytycznego pelagialu[69]. W ten sposób Płazy osiągnęły najwyższe w owym czasie międzynarodowe uznanie swego istnienia[70].

Widzimy więc Jaszczury na stałej silnej fali wznoszącej. Ich liczbę szacuje się już na siedem miliardów, chociaż wraz z rozwojem cywilizacji ich przyrost naturalny gwałtownie spada (do dwudziestu, trzydziestu kijanek z każdej samicy rocznie). Obsadziły już około sześćdziesięciu procent wszystkich światowych wybrzeży; jeszcze wybrzeża polarne są nieobsadzone, ale kanadyjskie Płazy zaczynają kolonizować wybrzeża Grenlandii, gdzie nawet spychają Eskimosów w głąb lądu, przejmując rybołówstwo i handel rybim tłuszczem. Ręka w rękę z ich materialnym rozmachem postępuje także ich rozwój cywilizacyjny. Wkraczają do szeregu wykształconych narodów z obowiązkiem szkolnym i mogą się chlubić wieloma setkami własnych podmorskich gazet, które wychodzą w milionach egzemplarzy, wzorowo funkcjonującymi instytutami naukowymi i tak dalej. Przy czym ten kulturalny awans nie wszędzie, rzecz jasna, dokonał się gładko i bez wewnętrznego oporu. Wiemy wprawdzie bardzo mało o wewnętrznych sprawach Płazów, ale na podstawie niektórych znaków (na przykład tego, że znaleziono zwłoki Płazów z odgryzionymi nosami i głowami) wydaje się, że przez dłuższy czas panował pod powierzchnią morza żarliwy spór ideowy pomiędzy „staropłazami" i „młodopłazami"[71]. „Młodopłazy" opowiadały się przypuszczalnie za postępem bez zastrzeżeń i ograniczeń, i głosiły, że powinno się pod wodą dogonić we wszystkich elementach wykształcenie na lądzie, nie wyłączając piłki nożnej, flirtu, faszyzmu i zmiany płci. Tymczasem „staropłazy", jak się zdaje, obstawały konserwatywnie przy naturze i nie chciały zrezygnować ze starych, dobrych, zwierzęcych przyzwyczajeń i instynktów; niewątpliwie odrzucały gorączkową pogoń za nowościami, widząc w niej dekadenckie zjawisko i zdradę odziedziczonych po przodkach ideałów; zapewne pomstowały też na obce wpływy, którym ślepo ulega dzisiejsza bałamucona młodzież, i pytały, czy to małpowanie ludzi przystoi dumnym i znającym swoją wartość Płazom[72]. Możemy sobie wyobrazić, że kuto hasła takie jak: „Z powrotem do

Konflikt, Polityka, Obraz świata

miocenu!", „Precz ze wszystkim, co nas chce uczłowieczyć!", „Do boju za niezakłóconą naturę Płazów!". I tak dalej. Istniały tu niewątpliwie wszelkie przesłanki dla żywego konfliktu poglądów i dla głębokiej rewolucji duchowej w rozwoju Salamander. Żałujemy, że nie możemy podać bliższych szczegółów, ale miejmy nadzieję, że Płazy wyciągnęły z tego konfliktu, ile się dało.

Zastajemy więc Jaszczury na drodze do największego rozkwitu, ale i ludzki świat cieszy się teraz niebywałą *prosperity*. Z zapałem budowane są nowe brzegi istniejących lądów, na starych mieliznach wyrastają lądy nowe, pośrodku oceanów wznoszą się nowe napowietrzne wyspy. Ale to wszystko nic wobec ogromnych projektów technicznych całkowitej przebudowy naszej planety, które tylko czekają na to, by ktoś je sfinansował. Płazy pracują bez wytchnienia we wszystkich morzach i na wybrzeżach wszystkich lądów, dopóki trwa noc. Wydaje się, że są zadowolone i nie żądają dla siebie niczego, byleby tylko miały co robić i gdzie wywiercić w brzegu nory i korytarze swych ciemnych mieszkań. Mają swoje podmorskie i podziemne miasta, głębinowe metropolie, swe Esseny i Birminghamy na dnie morskim, na głębokości od dwudziestu do pięćdziesięciu metrów. Mają swoje przeludnione dzielnice fabryczne, porty, linie komunikacyjne i milionowe aglomeracje. Po prostu mają swój mniej lub bardziej nieznany, ale — jak się zdaje — technicznie bardzo zaawansowany świat[73].

Obraz świata, Tłum, Filozof, Kondycja ludzka

W swym rozwiniętym pod względem technicznym świecie Płazy nie mają wprawdzie wielkich pieców i hut, ale ludzie dostarczają im metale w drodze wymiany za ich pracę. Nie mają materiałów wybuchowych, ale ludzie im je sprzedają. Ich siłą napędową jest morze ze swymi przypływami i odpływami, ze swymi prądami głębinowymi i różnicami temperatur. Wprawdzie turbiny dostarczyli im ludzie, ale one potrafią ich używać. A czymże jest cywilizacja, jeśli nie zdolnością do posługiwania się rzeczami, które wymyślił ktoś inny? Chociaż Płazy, powiedzmy, nie mają własnych idei, z powodzeniem mogą mieć swoją wiedzę. Nie mają wprawdzie swojej muzyki czy literatury, ale doskonale się bez nich obchodzą. A ludzie zaczynają twierdzić, że to jest bajecznie nowoczesne. Widać więc, że człowiek już się może czegoś od Płazów nauczyć. I nie ma się czemu dziwić. Czyż Płazy nie osiągają ogromnych sukcesów? A z czego ludzie mają brać przykład, jeśli nie z sukcesów? Jeszcze nigdy w dziejach ludzkości tyle nie produkowano, nie budowano i nie zarabiano, jak w tych wspaniałych czasach. Trzeba przyznać, że wraz z Płazami nastał w świecie olbrzymi postęp i pojawił się ideał, któremu na imię Ilość. „My, ludzie Wieku Płazów", mówi się z uzasadnioną dumą. Jakże daleko do niego przestarzałemu Wiekowi Ludzkości z jego powolną, nieistotną dłubaniną, którą nazywano kulturą, sztuką, czystą nauką czy jak to tam było! Świadomi ludzie Wieku Płazów już nie będą marnować czasu na rozważania o Istocie Rzeczy; będą zajmować się tylko ich ilością i masową produkcją. Cała przyszłość świata polega na tym, żeby wciąż zwiększała się produkcja i konsumpcja. Dlatego musi być jeszcze więcej Płazów, żeby mogły one jeszcze więcej wyprodukować i zeżreć. Płazy są po prostu Masą; ich epokowe znaczenie polega na tym, że jest ich tak wiele. Dopiero teraz może ludzka pomysłowość pracować w pełni, bowiem pracuje na wielką skalę, z maksymalną zdolnością produkcyjną i rekordowym obrotem ekonomicznym. Krótko mówiąc, są to wielkie czasy. Czego więc jeszcze brakuje, żeby w atmosferze powszechnego zadowolenia i prosperity urzeczywistnił się Szczęśliwy Nowy Wiek? Co stoi na przeszkodzie upragnionej Utopii, która zebrałaby w sobie wszystkie te techniczne triumfy i wspaniałe możliwości, które stwarzają coraz lepsze perspektywy dla ludzkiego dobrobytu i pracowitości Płazów?

Pragnę wierzyć, że nic, bowiem teraz Handel Płazami zostanie ukoronowany polityczną dalekowzrocznością, dbającą o to, by w przyszłości w mechanizmie Nowego Wieku nie pojawiły się żadne zgrzyty. W Londynie obradowała konferencja państw nadmorskich, na której wypracowano i uchwalono Międzynarodową Konwencję o Salamandrach. Wysokie umawiające się strony zobowiązały się, że: nie będą wysyłać swych Płazów na wody terytorialne innych państw; nie będą tolerować tego, by ich Płazy naruszyły integralność terytorialną lub sferę interesów jakiegokolwiek innego państwa; w żaden sposób nie będą ingerować w sprawy Płazów innej potęgi morskiej; w przypadku konfliktu pomiędzy swymi i obcymi Salamandrami poddadzą się wyrokowi Stałego Sądu Rozjemczego; nie uzbroją swych Płazów w żadną broń, której kaliber przekraczałby kaliber

zwykłego podwodnego pistoletu na rekiny (tzw. *Šafránek-gun* albo *shark-gun*); nie dopuszczą do tego, by ich Płazy nawiązywały jakiekolwiek bliższe kontakty z Salamandrami podlegającymi innej zwierzchności państwowej; nie będą pomagać Płazom w budowie nowych lądów albo rozszerzaniu ich terytoriów bez wcześniejszej decyzji Stałej Komisji Morskiej w Genewie, i tak dalej. (Było tego 37 paragrafów). Natomiast odrzucone zostały: brytyjska propozycja, żeby mocarstwa morskie zobowiązały się, iż nie będą swoich Płazów poddawać szkoleniu wojskowemu; francuski pomysł, żeby Płazy umiędzynarodowić i żeby podlegały Międzynarodowemu Urzędowi Płazów i Regulacji Mórz Światowych; niemiecki projekt, żeby każdemu Płazowi wypalać symbol państwa, którego jest poddanym; inny niemiecki projekt, żeby każdemu nadmorskiemu państwu zezwalać na utrzymywanie tylko określonej liczby Płazów, w stosownych proporcjach; włoska propozycja, by państwom z nadmiarem Salamander wyznaczać do kolonizowania nowe brzegi lub tereny na dnie mórz; japoński projekt, żeby nad Płazami (z natury czarnymi) sprawował międzynarodowy mandat naród japoński jako przedstawiciel ras kolorowych[74]. Większość tych projektów została skierowana do rozpatrzenia podczas kolejnej konferencji mocarstw morskich, która jednak z różnych przyczyn nie doszła już do skutku.

„Ten międzynarodowy akt — napisał w »Le Temps« M. Jules Sauerstoff — zabezpiecza przyszłość Płazów i spokojny rozwój ludzkości na długie dziesiątki lat. Gratulujemy londyńskiej konferencji pomyślnego zakończenia jej trudnych obrad. Gratulujemy także Płazom tego, że uchwalona konwencja zapewnia im ochronę haskiego trybunału. Teraz mogą ze spokojem i ufnością poświęcić się swej pracy i podmorskiemu postępowi. Należy podkreślić, że odpolitycznienie Problemu Płazów, które znalazło swój wyraz w Konwencji Londyńskiej, jest jedną z najważniejszych gwarancji światowego pokoju. Zwłaszcza rozbrojenie Salamander zmniejsza prawdopodobieństwo podmorskich konfliktów między poszczególnymi państwami. Faktem jest, że — choć trwają tak liczne zatargi graniczne i spory mocarstwowe na prawie wszystkich kontynentach — światowemu pokojowi nie zagraża aktualnie żadne niebezpieczeństwo, przynajmniej od strony morza. Ale i na lądzie pokój wydaje się teraz silniej zagwarantowany niż kiedykolwiek przedtem. Państwa nadmorskie są całkowicie zaabsorbowane budowaniem nowych brzegów i mogą rozszerzać swoje terytoria w kierunku mórz i oceanów, zamiast starać się przesunąć swe granice na lądzie. Już nie trzeba będzie walczyć przy użyciu żelaza i gazu o każdą piędź ziemi. Wystarczą proste motyki i łopaty Płazów, żeby każde państwo posiadało tyle terytorium, ile potrzebuje. I tę spokojną pracę na rzecz pokoju i dobrobytu wszystkich narodów gwarantuje właśnie Konwencja Londyńska. Świat jeszcze nigdy nie był tak bliski trwałego pokoju i spokojnego wprawdzie, ale wspaniałego rozkwitu, jak właśnie teraz. Zamiast Problemu Płazów, o którym już tyle mówiono i pisano, będzie się teraz słusznie mówić o Złotym Wieku Płazów".

3. Povondra znów czyta gazety

Dziecko, Czas, Przemiana, Przemijanie

Kobieta, Mężczyzna, Małżeństwo, Dom, Praca

Na niczym tak nie widać upływu czasu, jak na dzieciach. Gdzie się podział mały Franek, którego opuściliśmy (tak niedawno!) nad lewostronnymi dopływami Dunaju?

— Gdzież znowu jest ten Franek? — mruknął Povondra, otwierając wieczorną gazetę.

— No wiesz, tam gdzie zawsze — odparła Povondrowa pochylona nad szyciem.

— To znaczy poszedł do dziewczyny — stwierdził zgorszony ojciec Povondra. — Nieznośne chłopaczysko! Trzydziestkę ma na karku, a jednego wieczoru nie usiedzi w domu!

— A ile tych skarpetek znosi — westchnęła Povondrowa, nawlekając kolejną dziurawą skarpetkę na drewniany grzybek. — Co ja mam z tym zrobić — zadumała się nad rozległą dziurą na pięcie, kształtem przypominającą Cejlon. — Powinnam ją wyrzucić — orzekła krytycznie, jednak po dłuższej strategicznej refleksji wbiła zdecydowanie igłę w południowe wybrzeże Cejlonu.

Zapanowała poważna rodzinna cisza, tak droga ojcu Povondrze; słychać było tylko szelest gazety i odpowiadającą mu szybko przewlekaną nić.

— Już go złapali? — spytała Povondrowa.

— Kogo?

— Tego mordercę, który zabił tę kobietę.

— Co mnie obchodzi twój morderca — burknął Povondra z wyraźnym zniecierpliwieniem. — Czytam właśnie, że wybuchło napięcie między Japonią i Chinami. To poważna sprawa. Tam są zawsze poważne sprawy.

— Myślę, że już go nie złapią.

— Kogo?

— Tego mordercę. Gdy ktoś zabije kobietę, rzadko go łapią.

— Japończykom nie podoba się, że Chiny regulują Żółtą Rzekę. To jest polityka. Dopóki ta Żółta Rzeka będzie robić, co jej się żywnie podoba, Chinom w każdej chwili grozi powódź i głód, a to Chińczyków osłabia, rozumiesz? Pożycz mi nożyczki, mamuśko, ja sobie to wytnę.

— Po co?

— Piszą, że na tej Żółtej Rzece pracuje dwa miliony Płazów.

— To dużo, nie?

— No pewnie. Bez dwóch zdań opłaca je Ameryka. Dlatego te żółtki chciałyby wsadzić tam własne Płazy. Aaa, patrzcie, patrzcie!

— Co tam masz?

— „Petit Parisien" pisze, że Francuzi nie będą tym zachwyceni. To prawda. Ja też bym nie był zachwycony.

— Czym byś nie był zachwycony?

— Tym, że Włochy chcą powiększyć wyspę Lampeduzę. To jest szalenie ważna strategiczna pozycja, wiesz? Włosi mogliby z Lampeduzy zagrażać Tunisowi. Tutaj „Petit Parisien" pisze, że Włosi chcieliby z tej Lampeduzy uczynić morską twierdzę pierwszej klasy. Ponoć mają tam sześćdziesiąt tysięcy uzbrojonych Płazów. Tego nie można lekceważyć. Sześćdziesiąt tysięcy to są dwie dywizje, mamuśko. Mówię ci, że na Morzu Śródziemnym kiedyś jeszcze do czegoś dojdzie. Pokaż, wytnę to sobie.

Tymczasem pod pracowitymi rękami Povondrowej Cejlon został zredukowany mniej więcej do rozmiarów wyspy Rodos.

— A Anglia — rozmyślał głośno ojciec Povondra — też będzie mieć problemy. W Izbie Gmin mówiono, że ponoć Wielka Brytania zostaje w tyle za pozostałymi państwami w tych wodnych budowach. Podobno inne kolonialne potęgi budują na wyścigi nowe wybrzeża i lądy, podczas gdy rząd brytyjski w swej konserwatywnej nieufności wobec Płazów... To prawda, mamuśko. Anglicy są strasznie konserwatywni. Znałem jednego lokaja z ambasady brytyjskiej, który za żadne skarby świata nie wziąłby do ust czeskiego salcesonu. Ponoć u nich się tego nie jada, więc on też nie będzie jeść. Nie dziwota, że ich inne państwa prześcigną. — Povondra pokiwał poważnie głową. — A Francja poszerza swoje wybrzeże pod Calais. Gazety w Anglii podnoszą teraz wrzawę, że Francuzi będą ich ostrzeliwać przez Kanał, kiedy się ten Kanał zwęzi. Mają za swoje. Mogli sami poszerzyć swoje wybrzeże koło Dover i ostrzeliwać Francuzów.

— A czemu mieliby do nich strzelać? — zapytała Povondrowa.

— Ty tego nie rozumiesz. To są sprawy wojskowe. Nie zdziwiłbym się, gdyby się tam kiedyś zakotłowało. Tam albo gdzie indziej. Robi się naprawdę poważnie... Teraz, przez te Płazy sytuacja na świecie jest zupełnie inna, mamuśko. Zupełnie inna.

Wojna, Kobieta, Mężczyzna, Ojciec, Matka, Polityka

— Myślisz, że może wybuchnąć wojna? — spytała z troską Povondrowa. — Chodzi mi o naszego Franka, żeby nie musiał na nią iść.

— Wojna? — zastanowił się Povondra. — Musi dojść do wojny światowej, żeby państwa mogły rozdzielić między siebie morza i oceany. Ale my pozostaniemy neutralni. Ktoś przecież musi zostać neutralny, żeby dostarczać broń i wszystko inne pozostałym. Tak to jest — stwierdził Povondra. — Ale tego wy, kobiety, nie rozumiecie.

Povondrowa zacisnęła wargi i szybkimi ściegami dokańczała usunięcie wyspy Cejlon ze skarpetki młodego Franka.

— Kiedy pomyślę — odezwał się Povondra ze słabo skrywaną dumą — że tej groźnej sytuacji beze mnie by nie było...! Gdybym wtedy nie przyprowadził tego kapitana do pana Bondego, cała historia wyglądałaby inaczej. Inny portier nawet by go nie wpuścił do środka, ale ja sobie powiedziałem: „biorę to na siebie". A teraz, popatrz, jakie z tym mają problemy takie państwa jak Anglia czy Francja! A jeszcze nie wiemy, co z tego może kiedyś wyniknąć. — Povondra podekscytowany pyknął ze swej fajeczki. — Tak

to jest, moja złota. Gazety pełne są tych Płazów. O, tu znowu... — Povondra odłożył fajkę. — Piszą, że w pobliżu miasta Kankesanturai na Cejlonie Płazy napadły na jakąś wioskę. Ponoć tubylcy zabili tam przedtem kilka Jaszczurów. Wezwano policję i oddział miejscowego wojska — czytał na głos Povondra — w efekcie czego doszło do regularnej strzelaniny pomiędzy Płazami i ludźmi. Po stronie wojskowych jest kilku rannych. — Ojciec Povondra odłożył gazetę. — To mi się nie podoba, mamuśko.

— Czemu? — zdziwiła się Povondrowa, starannie i z zadowoleniem przyklepując rękojeścią nożyczek miejsce, na którym znajdowała się wyspa Cejlon. — Przecież to nic takiego!

— No, nie wiem — odparł Povondra i począł ze wzburzeniem przechadzać się po pokoju. — W każdym razie to mi się nie podoba. Nie, nie podoba mi się. Strzelaniny między ludźmi i Płazami... to nie powinno mieć miejsca.

— Może te Płazy tylko się broniły — uspokajała Povondrowa, odkładając skarpetki.

— No właśnie — mruczał Povondra zaniepokojony. — Jak się te potwory zaczną bronić, będzie źle. Zrobiły to po raz pierwszy... Psiakrew, to mi się nie podoba! — Povondra zatrzymał się niezdecydowanie. — Nie wiem, ale... chyba jednak nie powinienem był wpuszczać tego kapitana do pana Bondego!

KSIĘGA TRZECIA. INWAZJA JASZCZURÓW

1. Masakra na Wyspach Kokosowych

W jednej kwestii Povondra się mylił: strzelanina w pobliżu miasta Kankesanturai nie była pierwszym starciem pomiędzy ludźmi i Płazami. Do pierwszego znanego historykom konfliktu doszło kilka lat wcześniej na Wyspach Kokosowych, jeszcze w czasie złotego wieku pirackich wypraw na Salamandry. Ale nawet to nie był najstarszy incydent tego rodzaju. W portach Oceanu Spokojnego opowiadano nieraz o pewnych godnych politowania przypadkach, gdy Płazy stawiały czynny opór nawet wobec normalnego S-Trade. Jednak o takich drobnostkach historia nie wspomina.

Z tymi Wyspami Kokosowymi, zwanymi też Wyspami Keelinga, było tak. Pewnego razu przypłynął tam piracki statek „Montrose" znanej spółki Harrimana, Pacific Trade, dowodzony przez kapitana Jamesa Lindleya, na zwykły połów Płazów typu *Maccaroni*. Na Wyspach Kokosowych znana była obfitująca w Płazy zatoka, obsadzona nimi jeszcze przez kapitana van Tocha, ale ze względu na jej oddalenie pozostawiona, jak się to mówi, na łasce bożej. Kapitanowi Lindleyowi nie można było zarzucić nieostrożności, ani tego, że załoga zeszła na brzeg nieuzbrojona. (Wtedy bowiem piracki handel Płazami ujęty był już w regularne formy. Prawdą jest jednak i to, że okręty pirackie i ich załogi bywały przedtem uzbrojone w karabiny maszynowe, a nawet w lekkie działa, wprawdzie nie przeciw Salamandrom, tylko przeciwko nieuczciwej konkurencji innych piratów. Na wyspie Karakelong kiedyś jednak załoga parowca Harrimana starła się z marynarzami duńskiego okrętu, którego kapitan uważał Karakelong za swoje łowisko. Wówczas obie załogi postanowiły wyrównać stare rachunki, zwłaszcza w kwestii prestiżu i konkurencji w handlu, w taki sposób, że zaniechały łowienia Płazów i zaczęły strzelać do siebie z karabinów i *hotchkiss'*ów. Duńczycy wprawdzie wygrali potyczkę na lądzie na noże, ale okręt Harrimana z powodzeniem ostrzeliwał potem duński statek z armat i zatopił go, razem z kapitanem Nielsem — był to tak zwany *Karakelong-incident*. Wówczas musiały w tę sprawę wkroczyć odpowiednie urzędy i rządy krajów będących stronami konfliktu. Pirackim okrętom nadal zakazano używania dział, karabinów maszynowych i granatów ręcznych. Poza tym pirackie towarzystwa podzieliły między siebie tak zwane wolne tereny łowieckie, tak że do każdej lokalnej społeczności Płazów mógł zawijać tylko pewien określony statek piracki. To *gentelmen's agreement* wielkich piratów było faktycznie dotrzymywane i respektowane także przez małych korsarskich przedsiębiorców). Ale wracając do kapitana Lindleya, postępował on całkowicie w duchu powszechnych handlowych i morskich obyczajów, kiedy na Wyspach Kokosowych wysłał swych ludzi na polowanie na Płazy, uzbrojonych jedynie w pałki i wiosła. Późniejsze urzędowe dochodzenie przyznało zmarłemu kapitanowi rację.

Załogą, która owej księżycowej nocy wyszła na brzeg na Wyspach Kokosowych, dowodził kapitan marynarki Eddie McCarth, doświadczony w tego rodzaju polowaniach. To prawda, że stado Płazów, które znalazł na brzegu, było niezwykle liczne — według szacunków od sześciuset do siedmiuset dorosłych, silnych samców — podczas gdy kapitan McCarth dowodził jedynie szesnastoma ludźmi. Nie można jednak winić go za to, że nie zrezygnował ze swego zadania; nie można już choćby dlatego, że oficerom i załogom okrętów pirackich zwyczajowo wypłacano premię od ilości złowionych sztuk. W późniejszym dochodzeniu urząd morski stwierdził, że „kapitan McCarth jest wprawdzie odpowiedzialny za niefortunny incydent", ale „w danych okolicznościach prawdopodobnie nikt nie postąpiłby inaczej". Przeciwnie, nieszczęsny młody oficer wykazał sporo rozwagi w tym, że zamiast powolnego otaczania Płazów — co przy tych proporcjach liczbowych i tak nie mogłoby być skuteczne — zarządził nagły atak, dzięki któremu Jaszczury miały zostać odcięte od morza, zepchnięte w głąb wyspy i pojedynczo ogłuszane uderzeniami pałek i wioseł. Niestety, przy rozwiniętym ataku tyraliera marynarzy się przerwała i prawie dwieście Salamander uciekło do wody. Podczas gdy atakujący zajmowali się Płazami odciętymi od morza, za ich plecami zaczęły rozlegać się wystrzały podmorskich pistoletów

(*shark-guns*). Nikt nie miał pojęcia, że te w naturalnym środowisku żyjące, dzikie Płazy na Wyspach Keelinga są uzbrojone w pistolety przeciw rekinom, i nigdy nie wyjaśniono, kto właściwie zaopatrzył je w broń.

Marynarz Michael Kelly, który przeżył całą katastrofę, opowiada: „Gdy rozległy się wystrzały, myśleliśmy, że strzela do nas jakaś inna załoga, która też przyszła polować na Płazy. Kapitan McCarth odwrócił się natychmiast i krzyknął: »Co robicie, durnie, tu jest załoga «Montrose»!«. W tym momencie został ranny w bok, ale wyciągnął jeszcze rewolwer i zaczął strzelać. Potem dostał drugą kulę w szyję i padł. Dopiero teraz spostrzegliśmy, że to strzelają Płazy i że chcą nam odciąć drogę odwrotu do morza. Wtedy Long Steve uniósł wiosło i rzucił się na Płazy, krzycząc: »Montrose! Montrose!«. My pozostali też krzyczeliśmy »Montrose« i waliliśmy te potwory wiosłami, jak tylko się dało. Chyba pięciu nas tam zostało martwych, a reszta przebiła się do morza. Long Steve wskoczył do wody i brodził w kierunku łodzi, ale tam uwiesiło się na nim kilka Płazów i ściągnęły go pod wodę. Charliego też utopiły. Darł się do nas: »Chłopcy, rany boskie, chłopcy, nie dajcie mnie!«, ale my nie mogliśmy mu pomóc. Te świnie strzelały nam w plecy. Bodkin się odwrócił i dostał w brzuch, wykrztusił tylko »ach nie« i padł. Postanowiliśmy dostać się z powrotem w głąb wyspy. Wcześniej rozwaliliśmy na tych ścierwach wiosła i pałki, więc teraz zmykaliśmy jak zające. Zostało nas już tylko czterech. Baliśmy się uciekać daleko od brzegu, że nie dostaniemy się z powrotem na statek. Schowaliśmy się za skałami i krzakami i musieliśmy patrzeć, jak Płazy dobijają naszych towarzyszy. Topiły ich w wodzie jak kocięta, a jeśli któryś jeszcze pływał, waliły go lewarkiem w głowę. Dopiero teraz poczułem, że mam zwichniętą nogę i nie mogę zrobić ani kroku".

Zdaje się, że tymczasem kapitan James Lindley, który został na „Montrose", usłyszał tę strzelaninę dochodzącą z wyspy. Czy myślał, że doszło tam do jakiegoś starcia z tubylcami, czy też że są tam inni handlarze Płazami, w każdym razie wziął kucharza i dwóch mechaników, którzy byli jeszcze na statku, kazał załadować na pozostałą łódź karabin maszynowy, który przezornie, choć wbrew surowemu zakazowi, ukrywał na statku, i popłynął swej załodze na pomoc. Był na tyle ostrożny, że nie wyszedł na brzeg; przybił tylko do niego łodzią, na której dziobie umocowany był ów karabin, i stanął „z założonymi rękami". Oddajmy teraz głos marynarzowi Kelly'emu.

„Nie chcieliśmy wołać kapitana, żeby nas Płazy nie znalazły. Pan Lindley stanął w łodzi z założonymi rękami i zawołał: »Co tu się dzieje?«. Wtedy Płazy zwróciły się ku niemu. Na brzegu było ich kilkaset i wciąż nowe wypływały z morza i otaczały łódź. »Co się tu dzieje?« — ponownie spytał kapitan. Wtedy jeden wielki Płaz podpłynął bliżej i powiedział: »Odpłyńcie stąd!«.

Kapitan spojrzał na niego, przez chwilę nic nie mówił, a potem zapytał: »Jesteś Płazem?«.

»Wszyscy jesteśmy Płazami — powiedział ten Jaszczur. — Niech pan stąd odpłynie!«.

»Chcę wiedzieć, co zrobiliście z moimi ludźmi« — powiedział nasz stary.

»Nie powinni nas byli atakować — odparł Płaz. — Wracajcie na wasz statek!«.

Kapitan znowu przez chwilę milczał, a potem całkiem spokojnie rozkazał: »Jenkins, ognia!«.

I mechanik Jenkins zaczął strzelać do Płazów z karabinu maszynowego".

(Przy późniejszym badaniu całej sprawy urząd morski oświadczył dosłownie: „W tym względzie Capt. James Lindley postępował tak, jak należy oczekiwać od brytyjskiego marynarza").

„Płazy były zbite w gromadę — opisywał dalej Kelly — więc padały jak ścięty łan żyta. Niektóre strzelały z tych swoich pistoletów do pana Lindleya, ale on stał z założonymi rękami i nawet nie drgnął. Wtedy wynurzył się z wody za łodzią czarny Płaz, który trzymał w łapie coś jakby blaszaną puszkę do konserw, drugą ręką coś z niej oderwał i rzucił ją do wody pod łódź. Po paru sekundach wytrysnął w tym miejscu w górę słup wody i słychać było stłumiony, ale silny wybuch, aż ziemia zatrzęsła nam się pod nogami".

(Na podstawie relacji Kelly'ego prowadzący dochodzenie urząd uznał, że chodziło o materiał wybuchowy W 3, który dostarczano Płazom pracującym przy umocnieniach Singapuru do rozbijania skał pod wodą. Ale to, w jaki sposób te ładunki dostały się z rąk tamtejszych Płazów na Wyspy Kokosowe, pozostało zagadką. Jedni przypuszczali, że przewozili je ludzie, inni uważali, że Jaszczury już wtedy musiały mieć jakiś sposób

kontaktowania się na odległość. Opinia publiczna domagała się wówczas, by zabronić dawania Płazom do rąk tak niebezpiecznych materiałów wybuchowych. Jednakże odpowiedni urząd oświadczył, że na razie nie można „wysoce skutecznego i stosunkowo bezpiecznego" materiału wybuchowego W 3 zastąpić innym. I tak już zostało).

„Łódź wyleciała w powietrze — kontynuował Kelly swe zeznanie — i rozpadła się na kawałki. Na miejsce zbiegały się Płazy pozostałe jeszcze przy życiu. Nie widzieliśmy, czy pan Lindley żyje, ale wszyscy trzej towarzysze — Donovan, Burke i Kennedy — wyskoczyli i pobiegli mu na pomoc, żeby nie wpadł w ręce tym Płazom. Ja też chciałem pobiec, ale miałem zwichniętą kostkę, usiadłem więc i obiema rękami ciągnąłem za stopę, żeby nastawić skręcony staw. Nie wiem, co się w owej chwili działo, lecz kiedy spojrzałem w tamtą stronę, Kennedy leżał twarzą w piasku, a po Donovanie i Burkem nie było śladu. Tylko pod wodą coś się jeszcze kotłowało".

Marynarz Kelly uciekł potem w głąb wyspy, gdzie trafił do wioski tubylców. Ci jednak zachowywali się względem niego dziwnie i nie chcieli nawet udzielić mu schronienia. Może bali się Płazów. Dopiero po siedmiu tygodniach jakaś łódź rybacka znalazła dokumentnie splądrowaną i opuszczoną „Montrose", zakotwiczoną przy Wyspach Kokosowych, i uratowała też Kelly'ego.

Kilka tygodni później przypłynęła na Wyspy Kokosowe brytyjska kanonierka Jego Wysokości „Fireball" i na kotwicy wyczekiwała nocy. Była to jasna noc przy pełni księżyca. Z morza wyszły Płazy, usiadły na piasku w wielkim kręgu i zaczęły swój uroczysty taniec. Wtedy okręt Jej Wysokości wystrzelił pierwszy szrapnel w środek kręgu. Jaszczury, o ile nie zostały rozszarpane na strzępy, na moment zdrętwiały, a potem rzuciły się ku wodzie. W tej chwili zagrzmiała straszliwa salwa z sześciu dział, i tylko kilka rannych Salamander pełzło jeszcze ku morzu. Potem rozległa się druga i trzecia salwa.

Następnie okręt Jego Wysokości cofnął się mniej więcej pół mili i zaczął strzelać pod wodę, płynąc powoli wzdłuż brzegu. Trwało to sześć godzin i wystrzelono jakieś osiemset pocisków. Potem okręt „Fireball" odpłynął. Jeszcze przez dwa dni powierzchnia morza w pobliżu Wysp Keelinga pokryta była tysiącami ciał rozszarpanych Płazów.

Tej samej nocy holenderski okręt wojenny „Van Dijck" oddał trzy salwy do gromady Płazów na wysepce Goenong Api. Japoński krążownik „Hakodate" trzykrotnie wystrzelił z armaty w kierunku wysepki Płazów — Ailinglaplap. Francuska kanonierka „Bechamel" rozproszyła trzema uderzeniami taniec Płazów na wyspie Rawaiwai. Było to ostrzeżenie pod adresem Płazów. Nie było ono daremne: podobny przypadek (nazwano go *Keeling-killing*) już więcej się nie powtórzył i zarówno legalny, jak i nielegalny handel Płazami mógł nadal kwitnąć bez przeszkód.

2. Zajścia w Normandii

Inny charakter miał konflikt w Normandii, do którego doszło nieco później. Tamtejsze Płazy, pracujące głównie w Cherbourgu i zamieszkujące okoliczne wybrzeże, bardzo polubiły jabłka. Ponieważ jednak pracodawcy nie chcieli im ich dostarczać oprócz zwykłego pożywienia dla Płazów (ponoć zwiększyłoby to koszty budowy ponad ustalony budżet), Płazy organizowały złodziejskie wyprawy do pobliskich sadów owocowych. Wieśniacy skarżyli się na to w prefekturze i Płazy dostały surowy zakaz włóczenia się po wybrzeżu, poza tak zwaną jaszczurczą strefą, ale to nic nie pomogło. Ginęło coraz więcej owoców w sadach, ginęły też ponoć jajka z kurników, i każdego rana znajdowano coraz więcej zabitych psów stróżujących. Wtedy wieśniacy zaczęli sami pilnować swoich sadów, uzbrojeni w stare strzelby, i strzelali do kłusujących Płazów. Ostatecznie pozostałoby to jedynie lokalną sprawą, ale normandzcy wieśniacy, rozgoryczeni między innymi również tym, że podniesione zostały podatki i podrożała amunicja, zapałali do Płazów śmiertelną nienawiścią i organizowali na nie najazdy całymi uzbrojonymi zgrajami. Gdy zaczęli masowo zabijać Płazy także w ich miejscach pracy, poskarżyli się prefektowi przedsiębiorcy prowadzący budowy wodne i prefekt zarządził, żeby wieśniakom odebrać ich zardzewiałe pukawki. Wieśniacy jednak bronili się przed tym i dochodziło do nieprzyjemnych konfliktów z żandarmerią. Zaciekli Normandczycy oprócz Płazów zaczęli zabijać też żandarmów. Do Normandii ściągnięto posiłki policyjne, które przeszukiwały na wsiach dom po domu.

Właśnie w tym czasie wydarzyła się bardzo nieprzyjemna historia. W okolicy Coutances wiejskie chłopaki napadły na Płaza, który ponoć podejrzanie kręcił się w pobliżu kurnika, otoczyły go, przypartego plecami do ściany stodoły, i zaczęły rzucać w niego cegłami. Ranna Salamandra zamachnęła się i rzuciła na ziemię coś podobnego do jajka. Nastąpił wybuch, który rozerwał na kawałki Płaza, ale także trzech chłopców: jedenastoletniego Pierre'a Cajusa, szesnastoletniego Marcela Bérarda i piętnastoletniego Louisa Kermadeca. Oprócz tego pięcioro dzieci zostało lżej lub ciężej rannych. Wieść o tym rozniosła się po całej okolicy. Około siedmiuset ludzi zjechało się zewsząd autobusami; napadli oni na osadę Płazów w zatoce Basse Coutances, uzbrojeni w strzelby, widły i cepy. Jakieś dwadzieścia Płazów zostało zabitych, zanim żandarmom udało się zapanować nad rozwścieczonym tłumem. Wezwani z Cherbourga saperzy otoczyli zatokę Basse Coutances ogrodzeniem z drutu kolczastego. Lecz w nocy Salamandry wyszły z morza, ręcznymi granatami rozwaliły kolczaste zasieki i najwyraźniej szykowały się do wypadu w głąb lądu. Ciężarówki wojskowe przywiozły w pośpiechu kilka kompanii piechoty z karabinami maszynowymi i kordon wojska starał się oddzielić Jaszczury od ludzi. Tymczasem wieśniacy demolowali urzędy skarbowe i posterunki żandarmerii, a jeden nielubiany poborca podatkowy został powieszony na latarni z tabliczką „Precz z Płazami!". Gazety, zwłaszcza niemieckie, pisały o rewolucji w Normandii. Rząd w Paryżu ogłosił jednak stanowcze *dementi*.

Podczas gdy krwawe starcia wieśniaków z Płazami rozszerzały się na wybrzeże Calvadosu, Pikardię i Pas-de-Calais, z Cherbourga wypłynął stary francuski krążownik „Jules Flambeau" w stronę zachodniego wybrzeża Normandii. Chodziło tylko o to, jak później zapewniano, żeby jego obecność wpłynęła uspokajająco zarówno na tamtejszych mieszkańców, jak i na Płazy. „Jules Flambeau" zatrzymał się półtorej mili od zatoki Basse Coutances. Gdy zapadła noc, dowódca statku rozkazał, by dla większego wrażenia puszczano kolorowe race. Wielu ludzi na wybrzeżu przyglądało się temu pięknemu widowisku. Nagle usłyszeli syczący pomruk i przy dziobie okrętu wystrzelił w powietrze ogromny słup wody. Okręt przechylił się i w tej chwili nastąpił potężny wybuch. Widać było, że krążownik tonie. W ciągu kwadransa z okolicznych portów przybyły na pomoc łodzie motorowe, ale okazały się niepotrzebne. Oprócz trzech mężczyzn zabitych przy samym wybuchu, cała załoga ocalała, a „Jules Flambeau" zatonął pięć minut po tym, jak jego kapitan jako ostatni opuścił pokład ze słowami: „Nic się nie da zrobić".

Urzędowy komunikat, wydany jeszcze tej samej nocy, głosił, że „stary krążownik »Jules Flambeau«, który w najbliższych tygodniach miał zostać wyłączony z eksploatacji, najechał podczas nocnego rejsu na podwodne skały i wskutek wybuchu kotłów zatonął". Ale gazety nie dały się tym uspokoić. Podczas gdy półoficjalne organa twierdziły, że statek natknął się na niemiecką minę nowoczesnej produkcji, opozycyjne i zagraniczne gazety przynosiły bijące w oczy tytuły:

> Francuski krążownik storpedowany przez płazy!
> Zagadkowe zdarzenie u wybrzeży Normandii!
> Bunt Płazów!

„Wzywamy do odpowiedzialności — pisał żarliwie w swej gazecie poseł Barthélemy — tych, którzy uzbroili zwierzęta przeciw ludziom; tych, którzy dali Płazom do rąk bomby, żeby nimi zabijały francuskich wieśniaków i bawiące się niewinne dzieci; tych, którzy dali morskim potworom najnowocześniejsze torpedy, żeby mogły nimi zatapiać francuską flotę, gdy tylko się im zachce. Powtarzam, wzywamy do odpowiedzialności: niech zostaną oskarżeni o zbrodnię, niech zostaną postawieni przed sądem wojennym za zdradę ojczyzny, niech zostanie zbadane, ile dostali od producentów uzbrojenia za to, że zaopatrują morskie kanalie w broń przeciwko cywilizowanej ludzkości!". I tak dalej. Po prostu zapanowała powszechna panika, ludzie zbierali się na ulicach i zaczęto stawiać barykady. Na paryskich bulwarach stali senegalscy strzelcy z karabinami ustawionymi w kozły, a na przedmieściach czekały czołgi i auta pancerne. Wówczas na sali sejmowej powstał minister żeglugi morskiej, François Ponceau, blady, ale zdeterminowany, i przemówił: „Rząd bierze na siebie odpowiedzialność za to, że uzbroił Płazy na francuskim wybrzeżu w strzelby, podwodne karabiny maszynowe, baterie dział podmorskich i wyrzutnie

torped. Lecz podczas gdy francuskie Płazy mają tylko lekkie działa małego kalibru, niemieckie Salamandry uzbrojone są w podmorskie moździerze kalibru 32 cm. Podczas gdy na francuskim wybrzeżu jeden podmorski skład granatów ręcznych, torped i materiałów wybuchowych wypada średnio na dwadzieścia cztery kilometry, na włoskim wybrzeżu głębinowe arsenały broni rozmieszczone są co dwadzieścia, a w wodach niemieckich co osiemnaście kilometrów. Francja nie może pozostawić i nie pozostawi swych wybrzeży bez ochrony. Francja nie może zrezygnować ze swych Płazów. Minister polecił już jak najdokładniej zbadać, kto jest winien fatalnych nieporozumień na wybrzeżu Normandii. Wydaje się, że Płazy wzięły kolorowe race za sygnał do interwencji wojskowej i chciały się bronić. Na razie zarówno dowódca okrętu »Jules Flambeau«, jak i prefekt miasta Cherbourga zostali odwołani ze swych stanowisk. Specjalna komisja bada też, jak przedsiębiorcy realizujący zlecenia na prace wodne traktują Płazy. W przyszłości będzie w tym względzie nakazany ścisły dozór. Rząd ubolewa głęboko z powodu strat w ludziach. Młodzi bohaterowie narodowi — Pierre Cajus, Marcel Bérard i Louis Kermadec zostaną odznaczeni i pochowani na koszt państwa, a ich rodziny otrzymają rentę honorową. W najwyższym dowództwie marynarki nastąpią istotne zmiany. Kwestią udzielenia rządowi wotum zaufania Wysoka Izba zajmie się, gdy tylko rząd będzie w stanie przedstawić dokładniejsze informacje".

Następnie gabinet zapowiedział stałe posiedzenie.

Polityka

Tymczasem prasa — zależnie od zabarwienia politycznego — proponowała karną, likwidacyjną, kolonizacyjną albo krzyżową wyprawę przeciw Płazom, strajk generalny, dymisję rządu, aresztowanie przedsiębiorców zatrudniających Płazy, aresztowanie komunistycznych przywódców i agitatorów i wiele innych podobnych działań ratunkowych. Słysząc pogłoski o możliwym zamknięciu wybrzeży i portów, ludzie zaczęli gorączkowo zaopatrywać się w artykuły spożywcze i ceny wszystkich towarów rosły w zawrotnym tempie. W miastach przemysłowych wybuchły zamieszki antydrożyźniane. Giełdę zamknięto na trzy dni. Była to najbardziej napięta i najgroźniejsza sytuacja w ostatnich trzech, czterech miesiącach. Wówczas do całej sprawy zręcznie wmieszał się minister rolnictwa Monti. Zarządził mianowicie, żeby na francuskim wybrzeżu dwa razy w tygodniu wsypywano do morza tyle i tyle set wagonów jabłek dla Płazów, ale na koszt państwa. To rozporządzenie niezwykle zadowoliło Płazy i uspokoiło sadowników w Normandii i gdzie indziej. Ale Monti poszedł jeszcze dalej w tym kierunku: ponieważ już od dłuższego czasu poważnie wrzało w regionach winiarskich, cierpiących na brak zbytu, minister zarządził, by państwo dopłacało do Płazów w taki sposób, że każda Salamandra będzie dostawać dziennie pół litra białego wina. Płazy początkowo nie umiały sobie z tym winem poradzić, gdyż dostawały po nim silnych biegunek, i wylewały je do morza. Jednak z biegiem czasu najwyraźniej przywykły do niego, i — zgodnie z obserwacjami — od tego czasu francuskie Płazy parzyły się z większym zapałem, chociaż z mniejszą płodnością niż wcześniej. Tym sposobem została za jednym zamachem rozwiązana kwestia agrarna i afera z Płazami. Groźne napięcie zostało zażegnane, a kiedy wkrótce doszło do nowego kryzysu rządowego z powodu skandalu finansowego Mme Töppler, sprytny i doświadczony Monti został w nowym gabinecie ministrem żeglugi.

3. Incydent w kanale La Manche

Nieco później belgijski statek transportowy „Oudenbourg" płynął z Ostendy do Ramsgate. Gdy był pośrodku Cieśniny Kaletańskiej, oficer pełniący służbę zaobserwował, że pół mili na południe od wyznaczonego kursu „coś się dzieje w wodzie". Nie mogąc stwierdzić z tej odległości, czy ktoś tam nie tonie, rozkazał płynąć ku temu silnie wzburzonemu miejscu. Przeszło dwustu pasażerów przyglądało się z nawietrznej strony statku dziwnemu widowisku: tu i ówdzie woda tryskała pionowym strumieniem, tu i ówdzie wyskoczyło z niej jakieś czarne ciało. Przy tym powierzchnia wody na przestrzeni jakichś trzystu metrów szaleńczo wirowała i kipiała i słychać było gwałtowne trzaski i huki. Było to coś jakby podwodna erupcja jakiegoś mniejszego wulkanu. Kiedy „Oudenbourg" powoli zbliżył się do tego miejsca, nagle jakieś dziesięć metrów od dziobu pojawiła się ogromna fala i rozległ się straszny wybuch. Cały statek uniósł się gwałtownie, a na pokład spadł deszcz niemal wrzącej wody. Równocześnie z nią na dziobie plasnęło o pokład

mocne czarne cielsko, które wiło się, wydając przy tym przeraźliwy skrzekot. Był to przerażony i poparzony Płaz. Dowodzący oficer rozkazał dać pełną parą wstecz, żeby statek nie wpłynął w sam środek tego wybuchającego piekła. Jednak eksplozje słychać już było ze wszystkich stron, a powierzchnia morza usiana była szczątkami rozerwanych Płazów. W końcu udało się zawrócić okręt i „Oudenbourg" pełną parą uciekał na północ. Wtem zagrzmiał potworny wybuch mniej więcej sześćset metrów za jego rufą i z morza wytrysnął olbrzymi słup wody i pary o wysokości chyba stu metrów. „Oudenbourg" wziął kurs na Harwich i wysyłał na wszystkie strony drogą radiową ostrzeżenie: „Uwaga, uwaga, uwaga! Na linii Ostenda–Ramsgate duże niebezpieczeństwo podwodnych eksplozji. Nie wiemy, czym one są. Radzimy wszystkim okrętom omijać to miejsce!". Tymczasem nadal trwało dudnienie i grzmoty, jak w czasie morskich manewrów, ale nie było nic widać z powodu strzelającej w górę wody i pary. Z Dover i z Calais wypłynęły już pełną parą torpedowce i niszczyciele, także eskadry samolotów wojskowych pędziły na to miejsce, lecz kiedy tam dotarły, zastały jedynie powierzchnię morza zmętniałą od żółtego mułu i pokrytą ogłuszonymi i rozszarpanymi Płazami.

W pierwszej chwili mówiło się o wybuchu jakichś min w Kanale, ale gdy po obu stronach Cieśniny Kaletańskiej wybrzeża zamknęły kordony wojska i gdy angielski premier po raz czwarty w historii przerwał w sobotni wieczór swój weekend i pospiesznie wrócił do Londynu, zaczęto wyczuwać, że chodzi o wydarzenie o bardzo poważnym międzynarodowym znaczeniu. Gazety przynosiły najbardziej alarmujące wieści, ale o dziwo pozostawały tym razem daleko w tyle za rzeczywistością. Nikt nawet nie przeczuwał, że przez kilka krytycznych dni Europa, a z nią cały świat, znajdowała się o krok od wojennej pożogi. Dopiero gdy po paru latach członek ówczesnego brytyjskiego gabinetu sir Thomas Mulberry przegrał w wyborach do parlamentu i w rezultacie tego wydał swój polityczny pamiętnik, można było przeczytać w nim, co się wtedy właściwie działo. Lecz w tym czasie nikogo to już nie interesowało.

Najzwięźlej rzecz ujmując, sprawy wyglądały następująco: zarówno Francja, jak i Anglia zaczęły, każda ze swej strony, budować w kanale La Manche podmorskie umocnienia, dzięki którym można by w razie wojny zamknąć cały Kanał. Potem jednak oba mocarstwa oskarżały się nawzajem, że zaczęło to drugie. Najprawdopodobniej jednak oba rozpoczęły prace umocnieniowe jednocześnie z obawy, że sąsiednie zaprzyjaźnione państwo mogłoby ukończyć je wcześniej. Krótko mówiąc, pod powierzchnią Cieśniny Kaletańskiej wyrastały na wprost siebie dwie ogromne betonowe fortece, uzbrojone w ciężkie działa, wyrzutnie torped, otoczone rozległymi polami minowymi i wyposażone we wszelkie najnowocześniejsze zdobycze techniki wojskowej, jakie w tym czasie dał człowiekowi do dyspozycji postęp w sztuce wojennej. Po stronie angielskiej ta straszliwa głębinowa twierdza obsadzona była przez dwie dywizje ciężkich Płazów i mniej więcej trzydzieści tysięcy Salamander-robotników, po stronie francuskiej — przez trzy dywizje pierwszorzędnych Płazów bojowych.

Wydaje się, że owego krytycznego dnia na dnie morskim pośrodku Kanału spotkała się brygada pracownicza brytyjskich Płazów z Salamandrami francuskimi i że doszło między nimi do jakiegoś nieporozumienia. Po stronie francuskiej twierdzono, że ich spokojnie pracujące Płazy zostały napadnięte przez Jaszczury brytyjskie, które chciały je przepędzić. Brytyjskie uzbrojone Płazy ponoć próbowały wziąć do niewoli kilka Płazów francuskich, ale te się broniły. Potem brytyjskie Salamandry wojskowe zaczęły rzucać w stronę francuskich Płazów-robotników ręczne granaty i strzelać do nich z moździerzy, toteż francuskie Płazy zostały zmuszone do użycia takiej samej broni. Rząd francuski jest zmuszony domagać się od rządu Jego Wysokości pełnej satysfakcji i ewakuacji wojsk ze spornego podmorskiego terenu, a także zapewnienia, że podobne przypadki już się nie powtórzą.

W odpowiedzi rząd brytyjski wystosował specjalną notę do rządu Republiki Francuskiej, oświadczając w niej, że francuskie zmilitaryzowane Płazy przedostały się na angielską połowę Kanału w celu rozmieszczenia tam min. Brytyjskie Płazy zwróciły im uwagę, że znajdują się na terenie ich miejsca pracy, na co francuskie uzbrojone po zęby Salamandry odpowiedziały, rzucając ręczne granaty, którymi zabiły kilka Płazów-robotników brytyjskich. Rząd Jego Wysokości z żalem jest zmuszony domagać się od rządu

Republiki Francuskiej pełnej satysfakcji i gwarancji, że w przyszłości francuskie Płazy bojowe nie wkroczą na angielską połowę kanału La Manche.

Na to rząd francuski oświadczył, że nie może nadal tolerować tego, aby sąsiednie państwo budowało podmorskie fortyfikacje w bezpośredniej bliskości francuskiego wybrzeża. Co się tyczy nieporozumienia na dnie Kanału, rząd Republiki proponuje, aby w duchu Konwencji Londyńskiej sporna kwestia została przedstawiona Sądowi Rozjemczemu w Hadze.

Rząd brytyjski odpowiedział, że nie może i nie zamierza poddawać bezpieczeństwa brytyjskich wybrzeży żadnym zewnętrznym decyzjom. Jako napadnięte państwo domaga się ponownie i z całym naciskiem przeprosin, wynagrodzenia szkód i gwarancji na przyszłość. Równocześnie śródziemnomorska flota angielska, stacjonująca w pobliżu Malty, wypłynęła pełną parą w kierunku zachodnim. Flota atlantycka otrzymała rozkazy, by skoncentrować się w pobliżu Portsmouth i Yarmouth.

Rząd francuski zarządził mobilizację pięciu roczników rezerwistów marynarki wojennej.

Wydawało się, że żadne z państw nie może już teraz ustąpić. Ostatecznie było jasne, że nie chodzi o nic innego, jak tylko o panowanie nad Kanałem. W tym krytycznym momencie sir Thomas Mulberry odkrył zadziwiający fakt, że po stronie angielskiej żadne robocze ani wojskowe Płazy właściwie (przynajmniej *de jure*) nie istnieją, bowiem na Wyspach Brytyjskich do tej pory obowiązuje zakaz wydany kiedyś za czasów sir Samuela Mandevilla, wedle którego ani jedna Salamandra nie może zostać zatrudniona na wybrzeżu ani na wodach terytorialnych Wysp Brytyjskich. Wobec tego rząd brytyjski nie mógł oficjalnie twierdzić, że francuskie Płazy zaatakowały Płazy brytyjskie. Cała sprawa sprowadzała się zatem do problemu, czy francuskie Salamandry celowo czy tylko przez pomyłkę wkroczyły na dno brytyjskich wód terytorialnych. Urzędy Republiki obiecały, że to zbadają. Rząd angielski nie zaproponował nawet, żeby przedstawić spór Międzynarodowemu Trybunałowi w Hadze. Ponadto brytyjska i francuska admiralicja uzgodniły, że pomiędzy podmorskimi fortyfikacjami w kanale La Manche utworzona zostanie neutralna strefa o szerokości pięciu kilometrów, co niezwykle wzmocniło przyjaźń między oboma państwami.

4. Der Nordmolch

Niemiec

Niewiele lat po osadzeniu pierwszych kolonii Płazów w Morzu Północnym i w Bałtyku niemiecki badacz doktor Hans Thüring stwierdził, że Płaz bałtycki wykazuje — prawdopodobnie pod wpływem środowiska — pewne odmienne właściwości fizyczne; jest ponoć nieco jaśniejszy, ma bardziej wyprostowaną sylwetkę, a jego indeks cefaliczny świadczy o czaszce dłuższej i węższej niż w przypadku innych Płazów. Odmiana ta otrzymała nazwę *der Nordmolch*, czyli der *Edelmolch* (*Andrias Scheuchzeri var. nobilis erecta Thüring*[75]).

Teraz również prasa niemiecka zaczęła gorliwie zajmować się bałtyckim Płazem. Szczególny ciężar położono na to, że właśnie pod wpływem środowiska niemieckiego ów Płaz rozwinął się w odrębny, i to wyższy, typ rasowy, bezspornie nadrzędny wobec wszystkich innych Salamander. Z pogardą pisano o zdegenerowanych Płazach śródziemnomorskich, skarłowaciałych fizycznie i moralnie, o dzikich Płazach tropikalnych i w ogóle o niskich, barbarzyńskich i zwierzęcych Salamandrach innych narodów. „Od Płaza do niemieckiego Nadpłaza" — tak brzmiało hasło tej doby. Czyż prapoczątek wszystkich nowożytnych Płazów nie był na gruncie niemieckim? Czyż praojczyzną wszystkich dzisiejszych Płazów nie była ziemia niemiecka? Czy ich kolebką nie było Öhningen, gdzie niemiecki uczony doktor Johannes Jakob Scheuchzer znalazł ich wspaniały ślad już w miocenie? Nie ma zatem najmniejszej wątpliwości, że pierwotny *Andrias Scheuchzeri* narodził się w odległych okresach geologicznych na gruncie germańskim. Jeśli potem rozproszył się po innych morzach i strefach, zapłacił za to cofnięciem się w rozwoju i degeneracją. Jednak gdy tylko osiadł z powrotem w swej praojczyźnie, stał się znowu tym, czym był pierwotnie: szlachetnym nordyckim Płazem Scheuchzera, jasnym, wyprostowanym i z długą czaszką. Toteż tylko na niemieckiej ziemi mogą Płazy powrócić do swego czystego, idealnego typu, jakiego odcisk znalazł wielki Johannes Jakub Scheuchzer w kamieniołomach w Öhningen. Dlatego Niemcy potrzebują nowych, dłuższych wybrzeży, potrzebują kolo-

nii, potrzebują mórz całego świata, aby wszędzie w niemieckich wodach mogły rozwinąć się nowe generacje czystych rasowo, niemieckich Salamander. „Potrzebujemy nowych przestrzeni dla naszych Płazów" — pisały niemieckie gazety. A żeby stale unaoczniać to narodowi niemieckiemu, postawiono w Berlinie wspaniały pomnik Johanna Jakuba Scheuchzera. Wielki doktor został na nim przedstawiony z grubą księgą w ręce. U jego nóg siedzi wyprostowany, szlachetny, nordycki Płaz, patrzący w dal, na bezkresne wybrzeża oceanów świata.

Podczas odsłonięcia tego narodowego pomnika wygłoszono jednak uroczyste mowy, które wzbudziły uwagę światowej prasy. „Niemcy znowu grożą — konstatowały zwłaszcza angielskie gazety. — Jesteśmy wprawdzie przyzwyczajeni do takiego tonu, lecz jeśli mówi się przy tak oficjalnej okazji o tym, że Niemcy w ciągu trzech lat będą potrzebowały pięciu tysięcy kilometrów nowego wybrzeża morskiego, zmuszeni jesteśmy odpowiedzieć jak najdobitniej: »Spróbujcie tylko! Na brytyjskich wybrzeżach połamiecie sobie zęby«. Jesteśmy przygotowani, a za trzy lata będziemy przygotowani jeszcze lepiej. Anglia będzie i musi mieć tyle okrętów wojennych, ile dwa największe mocarstwa lądowe razem wzięte. Ten stosunek sił jest raz na zawsze nienaruszalny. Jeśli chcecie rozpętać szalony wyścig morskich zbrojeń, niech będzie. Żaden Brytyjczyk nie zniesie, żebyśmy zostali choćby o jeden krok w tyle".

„Przyjmujemy niemieckie wyzwanie — oświadczył w parlamencie lord admiralicji sir Francis Drake[76] w imieniu rządu. — Kto wyciągnie rękę po jakiekolwiek morze, natrafi na pancerze naszych okrętów. Wielka Brytania jest dość silna, aby odeprzeć każdy atak na jej wyspy i na wybrzeża jej kolonii i dominiów. Za taki atak będziemy uważali również budowę nowych lądów, wysp, umocnień i baz lotniczych na jakimkolwiek morzu, którego fale obmywają choćby maleńki skrawek brytyjskiego wybrzeża. Niech to będzie ostatnim ostrzeżeniem dla kogokolwiek, kto chciałby choćby o jard przesunąć brzegi morskie". Ponadto parlament zezwolił na budowę nowych okrętów wojennych, przeznaczając na to pół miliarda funtów szterlingów. Była to prawdziwie imponująca odpowiedź na postawienie prowokacyjnego pomnika Johanna Jakuba Scheuchzera w Berlinie. Ten pomnik kosztował jednak tylko dwanaście tysięcy marek niemieckich.

Na te wystąpienia odpowiedział znakomity francuski publicysta markiz de Sade [77], z reguły znakomicie poinformowany, w tym duchu:

> „Brytyjski lord admiralicji oświadczył, że Wielka Brytania jest przygotowana na każdą ewentualność. To bardzo dobrze. Czy jednak dostojnemu lordowi wiadomo, że Niemcy mają stałą i straszliwie uzbrojoną armię bałtyckich Płazów, liczącą dziś pięć milionów zawodowych kombatantów[78], którą mogą w każdej chwili posłać do boju w wodzie i na wybrzeżu? Do tego doliczcie jakieś siedemnaście milionów Płazów w służbach technicznych i etapowych, mogących stworzyć armię rezerwową i okupacyjną. Dzisiaj bałtycka Salamandra to najlepszy żołnierz na świecie. Doskonale przygotowany pod względem psychicznym, widzi w walce swe właściwe i najwyższe powołanie. Pójdzie w każdy bój z entuzjazmem fanatyka, z chłodnym umysłem technika i z niesamowitą karnością pruskiego Płaza.
>
> A czy wiadomo brytyjskiemu lordowi admiralicji, że Niemcy gorączkowo budują transportowce, które mogą przewozić całą brygadę bojowych Salamander naraz? Czy mu wiadomo, że budują setki małych łodzi podwodnych o zasięgu od trzech do pięciu tysięcy kilometrów, których załogę stanowić będą jedynie bałtyckie Płazy? Czy mu wiadomo, że umieszczają w różnych częściach oceanu olbrzymie podmorskie zbiorniki na paliwa? Wreszcie, zapytajmy też, czy brytyjski obywatel jest pewien, że jego wielki kraj jest *naprawdę* dobrze przygotowany na każdą ewentualność?
>
> Nietrudno sobie wyobrazić — kontynuował markiz de Sade — ile w przyszłej wojnie będą znaczyć Płazy uzbrojone w podmorskie ciężkie moździerze, miotacze min i torpedy dla blokady wybrzeży. Jestem przekonany, że po raz pierwszy w dziejach świata nikt nie musi zazdrościć Anglii jej wyspiarskiego położenia. Ale skoro już jesteśmy przy tych sprawach — czy brytyjskiej admiralicji wiadomo również, że bałtyckie Płazy są wyposażone w pokojowe

skądinąd narzędzie, jakim jest wiertarka pneumatyczna, i że ta najnowocześniejsza wiertarka w ciągu godziny wgryza się na głębokość dziesięciu metrów w najlepszy szwedzki granit i na głębokość pięćdziesięciu, sześćdziesięciu metrów w angielską kredę? (Dowiodły tego próbne wiercenia, które potajemnie przeprowadziła niemiecka ekspedycja techniczna w nocy w dniach 11, 12 i 13 ubiegłego miesiąca na angielskim wybrzeżu pomiędzy Hythe i Folkestone, czyli pod nosem twierdzy w Dover). Radzimy naszym przyjaciołom za Kanałem, żeby sami policzyli, za ile tygodni może być Kent albo Essex przewiercony pod powierzchnią morza dziurami, jak kawał sera. Dotąd mieszkaniec Wysp Brytyjskich spoglądał zatroskany w niebo, skąd rzekomo jedynie może nadejść zagłada jego kwitnących miast, jego *Bank of England*[79], jego spokojnych chat, tak przytulnych w obramowaniu wiecznie zielonego bluszczu. Niech teraz lepiej przyłoży ucho do ziemi, na której bawią się jego dzieci: czy nie usłyszy w niej dzisiaj lub jutro chrobotu coraz głębiej wżynającego się, niezmordowanego i straszliwego wiertła jaszczurczej wiertarki, torującego drogę dla ładunków wybuchowych o niespotykanej dotąd mocy? Usłyszeliśmy emanujące pewnością siebie słowa z kapitańskiego mostku dumnego Albionu. Tak, na razie jest to silny okręt, który unosi się na falach i panuje nad nimi. Kiedyś jednak te fale mogą się zamknąć nad tym okrętem, roztrzaskanym i opadającym na dno morza. Czy nie byłoby lepiej wcześniej przeciwstawić się temu niebezpieczeństwu? Za dwa, trzy lata będzie już na to za późno!".

To ostrzeżenie błyskotliwego francuskiego publicysty wzbudziło w Anglii ogromne poruszenie. Pomimo wszystkich *dementi* ludzie słyszeli w różnych rejonach Anglii podziemne chrobotanie wierteł. Jednakże niemieckie sfery urzędowe zdecydowanie zaprzeczyły i podważyły wiarygodność cytowanego artykułu, uznając go od początku do końca za zwykłą nagonkę i wrogą propagandę. Równocześnie jednak przeprowadzały na Bałtyku wielkie manewry połączonych sił niemieckiej marynarki, sił lądowych i bojowych Salamander. Podczas tych manewrów minerskie oddziały Płazów na oczach zagranicznych — *attaché* wojskowych wysadziły w powietrze część podwierconych wydm w pobliżu Rüngewalde na obszarze sześciu kilometrów kwadratowych. Było to podobno wspaniałe widowisko, gdy z potwornym hukiem ziemia uniosła się „jak przełamana kra", a dopiero potem rozpadła się w ogromną ścianę dymu, piasku i skał. Zrobiło się ciemno niemal jak w nocy, a uniesiony piasek opadał w promieniu prawie stu kilometrów, ba — opadł po kilku dniach w postaci piaskowego deszczu aż w Warszawie. W powietrzu pozostało po tej wspaniałej eksplozji tyle swobodnie unoszącego się piasku i kurzu, że aż do końca roku zachody słońca w całej Europie były niezwykle piękne, krwistoczerwone i ogniste jak nigdy przedtem.

Morze, które zalało wysadzony w powietrze kawałek wybrzeża, nazwano potem Scheuchzer-See i było ono celem niezliczonych wycieczek szkolnych i wypraw niemieckich dziatek, śpiewających ulubiony hymn Płazów: *Solche Erfolche erreichen nur deutsche Molche*[80].

5. Wolf Meynert pisze swoje dzieło

Może to właśnie wspomniane piękne zachody słońca zainspirowały samotniczego królewieckiego filozofa Wolfa Meynerta do napisania monumentalnego dzieła *Untergang der Menscheit*[81]. Możemy go sobie wyobrazić, jak przechadza się brzegiem morza, z gołą głową i w rozwianym płaszczu i wpatruje się pełnymi zachwytu oczami w ten zalew ognia i krwi, ogarniający ponad połowę nieba. „Tak — szepcze w uniesieniu — tak, nadszedł już czas, żeby napisać epilog historii człowieka!". I napisał go.

„Dobrzmiewa tragedia rodzaju ludzkiego — zaczął Wolf Meynert. — Niech nas nie myli jego gorączkowa przedsiębiorczość i sukcesy na polu techniki. To tylko chorobliwe wypieki na twarzy organizmu naznaczonego już śmiercią. Nigdy ludzkość nie osiągnęła tak wysokiego poziomu życia jak dzisiaj, ale pokażcie mi choćby jednego człowieka, który byłby szczęśliwy.

Pokażcie mi klasę społeczną, która byłaby zadowolona, albo naród, który nie czułby się zagrożony w swoim istnieniu. Pośród wszystkich darów cywilizacji, w krezusowym bogactwie majątków duchowych i materialnych coraz silniej ogarnia nas nieodparte poczucie niepewności, lęku i dyskomfortu".

I Wolf Meynert nieubłaganie analizował stan duchowy dzisiejszego świata, tę mieszaninę strachu i nienawiści, nieufności i megalomanii, cynizmu i zniechęcenia. „Jednym słowem: desperacja — konkludował krótko. — Typowe oznaki końca. Moralna agonia.

Kondycja ludzka, Szczęście

Pytanie brzmi: Czy człowiek jest i czy w ogóle kiedykolwiek był zdolny do szczęścia? Człowiek tak, jak każde żyjące stworzenie, ale ludzkość nigdy. Całe nieszczęście człowieka polega na tym, że został zmuszony stać się ludzkością albo że stał się nią zbyt późno, gdy był już nieodwołalnie podzielony na narody, rasy, wyznania, stany i klasy, na bogatych i biednych, na wykształconych i niewykształconych, na panujących i poddanych. Zagnajcie do jednego stada konie, wilki, owce i koty, lisy i sarny, niedźwiedzie i kozy. Zamknijcie je w jednej zagrodzie i zmuście je, by żyły w tej bezsensownej gromadzie, którą nazwiecie Porządkiem Społecznym, i zachowywały wspólne zasady życiowe. Będzie to nieszczęśliwe, sztucznie zlepione stado, w którym ani jedno boże stworzenie nie będzie się czuło u siebie. To jest dokładny obraz wielkiego i beznadziejnie heterogenicznego stada, które zwie się ludzkością. Narody, stany, klasy nie mogą na stałe żyć razem, nie ograniczając się i nie przeszkadzając sobie nawzajem nie do zniesienia. Mogą albo żyć na wieki obok siebie — co było możliwe tylko dopóty, dopóki świat był dla nich wystarczająco duży — albo przeciw sobie, w walce na życie i śmierć. Dla ludzkich całości biologicznych, takich jak rasa, naród czy klasa, istnieje tylko jedna naturalna droga do homogenicznego i niczym niezakłóconego szczęścia: zrobić miejsce wyłącznie dla siebie i zniszczyć pozostałych. I to jest właśnie to, czego rodzaj ludzki w porę nie zrobił. Dziś jest już na to za późno. Wymyśliliśmy zbyt wiele doktryn i zobowiązań, którymi bronimy »tych pozostałych«, zamiast się ich pozbyć. Wymyśliliśmy ład moralny, prawa człowieka, umowy, ustawy, równość, humanitaryzm i bóg wie co. Stworzyliśmy fikcję ludzkości, która łączy nas i »tych pozostałych« w jakąś wyimaginowaną wyższą jedność. Jakiż fatalny błąd! Postawiliśmy prawo moralne ponad prawem biologicznym. Naruszyliśmy podstawowe założenie każdej wspólnoty: że tylko homogeniczna społeczność może być społecznością szczęśliwą. I to osiągalne szczęście poświęciliśmy na rzecz wielkiego, ale nierealnego marzenia — by stworzyć *jedną* ludzkość i *jeden* porządek dla wszystkich ludzi, narodów, klas i warstw. Była to wspaniałomyślna głupota. Była to też na swój sposób jedyna poważna próba człowieka wyjścia ponad siebie samego. I za ten skrajny idealizm płaci dzisiaj rodzaj ludzki niepowstrzymaną zagładą.

Proces, za pomocą którego człowiek stara się jakoś zorganizować w ludzkość, jest równie stary jak sama cywilizacja, jak pierwsze prawa i pierwsze wspólnoty. Jeśli po tylu tysiącleciach osiągnęło się w końcu jedynie to, że przepaści między rasami, narodami, klasami i światopoglądami pogłębiły się tak bardzo i bezdennie, jak to widzimy dzisiaj, to nie będzie się już przymykać oczu na to, że nieszczęsna próba dziejowa utworzenia ze wszystkich ludzi jako takiej ludzkości zakończyła się definitywnym i tragicznym niepowodzeniem. Wreszcie zaczynamy to sobie uświadamiać. Stąd te próby i plany zjednoczenia ludzkiej społeczności w inny, radykalny sposób — tak, iż pozostanie miejsce tylko dla *jednego* narodu, *jednej* klasy albo *jednej* religii. Ale któż może stwierdzić, jak dalece jesteśmy już zarażeni nieuleczalną chorobą zróżnicowania? Prędzej czy później każda rzekomo homogeniczna całość niechybnie znowu rozpadnie się w niejednolitą zbieraninę różnych interesów, partii, stanów i tak dalej, które albo będą się zwalczać, albo znów będą cierpieć, współżyjąc ze sobą. Sytuacja bez wyjścia. Poruszamy się w błędnym kole, ale rozwój nie będzie wiecznie toczyć się w koło. Zadbała o to sama przyroda, stwarzając na świecie miejsce dla Płazów.

To nie przypadek — analizował dalej Wolf Meynert — że Płazy przejawiły energię życiową dopiero w okresie, gdy chroniczna choroba ludzkości, tego źle zrośniętego i wciąż rozpadającego się makroorganizmu, przechodzi w agonię. Pomijając nieistotne odchylenia, Płazy jawią się jako jedyna ogromna i homogeniczna całość. Nie utworzyły dotąd głęboko różniących się plemion, języków, narodów, państw, religii, klas czy kast. Nie ma wśród nich panów i niewolników, wolnych i zniewolonych, bogatych i biednych.

Są wprawdzie między nimi różnice wynikające z podziału pracy, ale same w sobie stanowią jednorodną, jednolitą, by tak rzec »jednoziarnistą« masę, we wszystkich elementach jednakowo prymitywną biologicznie, równie ubogo wyposażoną przez naturę, tak samo ujarzmioną i żyjącą na równie niskim poziomie. Ostatni Murzyn czy Eskimos żyje w nieporównanie lepszych warunkach życiowych, korzystając z nieskończenie bogatszych dóbr materialnych i duchowych, niż te miliardy cywilizowanych Płazów. A przecież nic nie świadczy o tym, żeby Płazy cierpiały z tego powodu. Przeciwnie. Widzimy przecież, że nie potrzebują niczego z tego, w czym szuka ulgi i pociechy metafizyczny lęk i egzystencjalny niepokój człowieka. Obchodzą się bez filozofii, bez życia pośmiertnego i bez sztuki. Nie wiedzą, co to jest fantazja, humor, mistyka, złudzenie czy marzenie. Są absolutnymi życiowymi realistami. Są nam, ludziom, równie dalekie jak mrówki albo śledzie. Różnią się od nich tylko tym, że przystosowały się do innego środowiska życiowego, a mianowicie do ludzkiej cywilizacji. Zadomowiły się w niej tak, jak psy zadomowiły się w ludzkich mieszkaniach. Nie mogą bez niej żyć, ale z tego powodu nie przestaną być tym, czym są: bardzo prymitywną i mało zróżnicowaną zwierzęcą rodziną. Wystarczy im żyć i rozmnażać się. Mogą być nawet szczęśliwe, ponieważ nie muszą się martwić poczuciem nierówności. Są po prostu homogeniczne. Dlatego mogą któregoś dnia, *któregokolwiek* dnia w przyszłości zrealizować bez problemów to, co nie mogło udać się ludziom: jedność gatunkową na całym świecie, światowe społeczeństwo, jednym słowem, uniwersalny świat Płazów. Tego dnia skończy się tysiącletnia agonia ludzkiego rodu. Na naszej planecie będzie za mało miejsca dla dwóch tendencji pragnących opanować cały świat. Jedna będzie musiała ustąpić. Wiemy już, która.

Dziś żyje na całej planecie około dwudziestu miliardów cywilizowanych Płazów, czyli mniej więcej dziesięć razy tyle, ile wszystkich ludzi. Wynika z tego — z biologiczną koniecznością i logiką dziejową — że Płazy, jako ujarzmione, będą musiały się wyzwolić, że jako homogeniczne, będą się musiały zjednoczyć i że stawszy się w ten sposób największą siłą, którą świat kiedykolwiek widział, będą musiały przejąć panowanie nad nim. Myślicie, że są takie głupie, żeby potem oszczędzić człowieka? Myślicie, że powtórzą jego historyczny błąd, który od wieków popełniał przez to, że ujarzmiał pokonane narody i klasy, zamiast je zlikwidować, że z egoizmu tworzył zawsze nowe podziały między ludźmi, żeby potem z wielkoduszności i idealizmu starać się je zniwelować? Nie, tego historycznego nonsensu Płazy nie popełnią — wołał Wolf Meynert — już choćby dlatego, że przestrogą dla nich będzie moja książka! Będą dziedzicami całej ludzkiej cywilizacji. Wpadnie im w ręce wszystko, czego dokonaliśmy i o co się staraliśmy, chcąc opanować świat. Lecz działaliby wbrew sobie, gdyby razem z tym dziedzictwem chcieli przejąć także nas. Muszą się pozbyć ludzi, jeśli chcą zachować swą jednorodność. Gdyby tak nie uczyniły, prędzej czy później wnieślibyśmy między nich naszą dwojaką destruktywną skłonność — do tworzenia podziałów i likwidowania ich. Ale tego się nie obawiajmy. Dzisiaj już żadne stworzenie, które będzie kontynuować historię człowieka, nie powtórzy samobójczego szaleństwa ludzkości.

Bez wątpienia świat Płazów będzie szczęśliwszy, niż bywał ten ludzki. Będzie jednolity, homogeniczny i opanowany tym samym duchem. Płaz nie będzie się różnić od Płaza mową, poglądami, religią ani potrzebami życiowymi. Nie będzie między nimi różnic kulturalnych ani klasowych, a tylko podział pracy. Nikt nie będzie panem ani niewolnikiem, bo wszyscy będą służyć jedynie Wielkiej Społeczności Płazów, która będzie bogiem, władcą, pracodawcą i przywódcą duchowym. Będzie tylko jeden naród i jeden jego poziom. Będzie to lepszy, doskonalszy świat niż ten nasz. Będzie to jedyny możliwy Szczęśliwy Nowy Świat. Zatem zróbmy mu miejsce. Nic innego gasnąca ludzkość uczynić już nie może, jak tylko przyspieszyć swój koniec, nadając mu formę tragiczną i piękną zarazem, póki nie jest na to za późno".

Przedstawiamy tu poglądy Wolfa Meynerta w możliwie jak najbardziej przystępnej formie. Jesteśmy świadomi, że tracą przez to wiele ze swej sugestywności i głębi, którymi swego czasu fascynowały całą Europę, a zwłaszcza młodzież, z entuzjazmem przyjmującą wiarę w upadek i nadchodzący koniec ludzkości. Władze Rzeszy zakazały wprawdzie propagowania filozofii Wielkiego Pesymisty ze względów politycznych i Wolf Meynert musiał wyemigrować do Szwajcarii. Niemniej jednak cały kulturalny świat z zadowo-

leniem przyjął teorię Meynerta o zaniku ludzkości. Księga (o 632 stronach) wyszła we wszystkich językach świata i w wielu milionach egzemplarzy była rozprowadzana także wśród Płazów.

6. X OSTRZEGA

Być może konsekwencją proroczej książki Meynerta było również i to, że literacka i artystyczna awangarda w ośrodkach kulturalnych ogłosiła dewizę: „Po nas niech przyjdą Salamandry! Przyszłość należy do Płazów. Płazy to rewolucja kulturalna. To dobrze, że nie mają swojej sztuki. Przynajmniej nie są obciążone idiotycznymi ideałami, zmurszałymi tradycjami i całą tą zbutwiałą, nudną, skostniałą starzyzną, którą nazywano poezją, muzyką, architekturą, filozofią i w ogóle kulturą — archaicznymi słowami, od których robi nam się niedobrze. Tym bardziej, że dotychczas nie ulegli przeżuwaniu anachronicznej ludzkiej sztuki: my im stworzymy nową. My młodzi torujemy drogę światowemu salamandryzmowi. Chcemy być pierwszymi Płazami. Jesteśmy Salamandrami przyszłości!".

W taki sposób zrodził się młody ruch poetycki salamandrytów, powstała trytońska (trzytonowa) muzyka i pelagiczne malarstwo, które inspirowało się kształtami meduz, morskich jamochłonów i korali. Oprócz tego podmorskie prace Płazów stały się nowym źródłem piękna i monumentalności. „Już mamy powyżej uszu przyrody! — wołano. — Dajcie nam gładkie betonowe wybrzeża zamiast starych postrzępionych klifów! Romantyka jest martwa. Przyszłe lądy będą nakreślone prostymi liniami, łamiącymi się w trójkąty i romby sferyczne. Stary geologiczny świat musi zostać zastąpiony geometrycznym". Krótko mówiąc, wciąż rodziło się coś nowego i wybiegającego w przyszłość, nowe sensacje duchowe i nowe manifesty kulturalne. Ci, którzy nie wkroczyli w porę na drogę salamandryzmu, czuli z goryczą, że ich czas już minął i mścili się za to, głosząc nawrót do czystej ludzkości, do człowieka i do natury, i inne reakcyjne hasła. W Wiedniu wygwizdano koncert trytońskiej muzyki, w paryskim Salonie Niezależnych nieznany sprawca pociął pelagiczny obraz zatytułowany *Capriccio en bleu*. Jednym słowem: salamandryzm rozpoczął swój zwycięski i niepowstrzymany marsz.

Nie brakowało jednak konserwatywnych głosów, które przeciwstawiały się „płazomanii", jak to nazywano. Kluczowy w tym względzie był anonimowy angielski pamflet, który ukazał się pod tytułem *X ostrzega*. Ta broszura zyskała znaczną popularność, ale tożsamość jej autora nie została nigdy ujawniona. Wielu ludzi uważało, że napisał ją jakiś wysoki dostojnik kościelny, sądząc na podstawie tego, że w języku angielskim X jest skrótem imienia Chrystusa.

W pierwszym rozdziale pisarz sporządził statystykę Płazów, zaznaczając jednak, że dane liczbowe, które podaje, mogą być niedokładne. Już sam szacunek ogólnej liczby wszystkich Salamander wahał się w owym czasie między siedmiokrotnością a dwudziestokrotnością łącznej liczby wszystkich ludzi na świecie. „Równie niepewne są nasze wiadomości na temat tego, ile mają Płazy podmorskich fabryk, szybów naftowych, plantacji wodorostów, farm hodowli węgorzy, ilości wykorzystywanej siły wodnej i innych źródeł naturalnych. Nie mamy nawet przybliżonych danych o tym, jaka jest zdolność produkcyjna ich przemysłu. A już najmniej wiemy, jak wygląda uzbrojenie Płazów. Wiadomo wprawdzie, że Salamandry w ich zapotrzebowaniu na różne metale, części maszyn, materiały wybuchowe i wiele chemikaliów są uzależnieni od ludzi. Lecz z jednej strony wszystkie państwa ukrywają, jaką broń i ile innych produktów dostarczają swym Płazom, z drugiej zaś bardzo mało wiemy o tym, co właściwie Płazy produkują w morskich głębinach z półproduktów i surowców, które kupują od ludzi. Pewne jest, że Salamandry nie życzą sobie nawet, żebyśmy to wiedzieli. W ostatnich latach zginęło wskutek utopienia albo uduszenia tylu nurków spuszczonych na dno morza, że nie można przypisać tego zwykłemu przypadkowi. Jest to w najwyższej mierze zjawisko alarmujące, zarówno pod względem przemysłowym, jak i w aspekcie wojskowym.

Trudno jednak sobie wyobrazić — kontynuował X w dalszych rozdziałach, co by Płazy mogły czy chciały od ludzi wziąć. Nie mogą żyć na lądzie, a my nie możemy przeszkadzać im w tym, jak żyją pod wodą. Nasze i ich środowiska życiowe są od siebie ściśle i na zawsze oddzielone. Wprawdzie żądamy od nich określonej wydajności w pracy, ale za to w znacznej mierze żywimy je i dostarczamy im surowców i towarów, których bez

nas w ogóle by nie miały, na przykład metali. Ale choć nie ma praktycznego powodu do jakiegoś antagonizmu między nami i Płazami, mamy tu do czynienia, rzekłbym, z pewnym kontrastem metafizycznym: naprzeciw stworzeń powierzchniowych stoją stworzenia głębinowe (*abysal*); istoty nocne naprzeciw istot dziennych; ciemne tonie wód naprzeciw jasnej i suchej ziemi. Granica między wodą i lądem jest jakoś ostrzejsza niż dawniej. Naszej ziemi dotyka ich woda. Moglibyśmy po wieczne czasy żyć doskonale obok siebie i wymieniać się tylko pewnymi usługami i produktami, ale trudno pozbyć się przykrego uczucia, że to się chyba nie uda. Czemu? Nie mogę podać wam dokładnych powodów, ale to poczucie jest tu obecne. To jakby przeczucie, że kiedyś wody same obrócą się przeciwko ziemi, żeby rozwiązać problem genezy.

Przyznaję się do niepokoju poniekąd irracjonalnego — powiada dalej X — ale poczułbym wielką ulgę, gdyby Płazy wystąpiły przeciwko ludzkości z jakimiś żądaniami. Można by z nimi przynajmniej pertraktować, zawierać rozmaite koncesje, umowy i kompromisy. Ale ich milczenie jest straszne. Boję się ich niezrozumiałej powściągliwości. Mogłyby na przykład domagać się dla siebie określonych politycznych awantaży. Szczerze mówiąc, prawodawstwo dla Płazów jest w wielu krajach nieco przestarzałe i niegodne już stworzeń tak cywilizowanych i tak silnych liczebnie. Wypadałoby ustalić nowe prawa i obowiązki Płazów i to w bardziej korzystnej dla nich formie. Można by rozważyć jakiś zakres autonomii dla Salamander. Gwoli sprawiedliwości należałoby poprawić ich warunki pracy i stosowniej tę pracę wynagradzać. Można by więc pod wieloma względami poprawić ich los, gdyby się tylko tego domagały. Moglibyśmy też poczynić na ich rzecz pewne ustępstwa i potwierdzić je umowami kompensacyjnymi. W najgorszym razie moglibyśmy znacznie zyskać na czasie. Jednak Płazy niczego nie żądają. Podnoszą tylko swoją wydajność i swoje zamówienia. Dziś musimy sobie wreszcie zadać pytanie: gdzie leży tego kres? Mówiło się nieraz o żółtym, czarnym albo czerwonym niebezpieczeństwie. Ale wówczas chodziło o ludzi, a w przypadku ludzi możemy sobie mniej więcej wyobrazić, czego mogą chcieć. Choć nie mamy jeszcze pojęcia, jak i przeciwko czemu właściwie ludzkość będzie zmuszona się bronić, to jedno musi być jasne: jeśli po jednej stronie znajdą się Płazy, po drugiej stanie *cała* ludzkość.

Ludzie przeciwko Płazom! Już czas, żeby tak to sformułować. Przecież, szczerze mówiąc, normalny człowiek instynktownie nienawidzi Salamander, brzydzi się ich — i boi się ich. Na całą ludzkość pada coś jakby lodowaty cień grozy. Bo czymże innym jest ten frenetyczny konsumpcjonizm, to nieugaszone pragnienie zabawy i rozkoszy, ta orgiastyczna rozwiązłość, które opanowały współczesnych ludzi? Podobnego upadku obyczajów nie było od czasów, gdy imperium rzymskiemu groziła inwazja barbarzyńców. To jest nie tylko skutek niebywałego dobrobytu materialnego, ale rozpaczliwie zagłuszany lęk z powodu rozpadu i zaniku. Wznieśmy puchar po raz ostatni, zanim nadejdzie nasz koniec! Jakaż to hańba, jakież szaleństwo! Wydaje się, że Bóg w swym bezgranicznym miłosierdziu pozwala podupadać narodom i klasom, które dążą ku zagładzie. Chcecie przeczytać ogniste »*mane tekel fares*« napisane nad głowami ucztującej ludzkości? Spójrzcie na neony, które całymi nocami świecą na murach biesiadujących i rozwiązłych miast! Pod tym względem my, ludzie, upodabniamy się już do Płazów — żyjemy intensywniej w nocy niż za dnia.

Kondycja ludzka, Koniec świata

Gdyby chociaż te Salamandry nie były takie przeciętne! — wykrzyknął w końcu przygnębiony X. — Owszem, są jako tako wykształcone, ale przez to są jeszcze bardziej ograniczone, bowiem przyswoiły sobie z ludzkiej cywilizacji tylko to, co jest w niej przeciętnego i użytecznego, mechanicznego i powtarzalnego. Stoją u boku ludzkości, jak famulus Wagner u boku Fausta. Uczą się z tych samych książek co ludzki Faust, z tą tylko różnicą, że im to wystarcza i że nie rodzi się w nich żadna wątpliwość. A najstraszliwsze jest to, że rozmnożyły ten użyteczny, bezmyślny i ograniczony typ cywilizowanej przeciętności na wielką skalę, w milionach i miliardach takich samych egzemplarzy. Albo nie, mylę się, najbardziej przerażające jest to, że odnoszą taki sukces. Nauczyły się używać maszyn i liczb, i okazało się, że to wystarczy, by stały się panami całego świata. Usunęły z ludzkiej cywilizacji wszystko, co było w niej niecelowe, żartobliwe, fantastyczne albo archaiczne. W ten sposób pozbawiły ją tego, co w niej było ludzkie, i przejęły jedynie jej praktyczną, techniczną i utylitarną stronę. I ta żałosna karykatura ludzkiej cywilizacji zalała cały świat; buduje cuda techniki, odnawia naszą starą planetę i zaczyna fascynować samą ludzkość.

Od swojego ucznia i sługi będzie się Faust uczyć tajemnicy sukcesu i przeciętności. Albo ludzkość zmierzy się z Płazami w dziejowym konflikcie na śmierć i życie, albo nieodwracalnie zamieni się w Jaszczury. Jeśli o mnie chodzi — kończył X melancholijnie — widziałbym raczej to pierwsze.

A więc X was ostrzega — kontynuował jeszcze nieznany autor. — Jeszcze możecie strząsnąć z siebie tę zimną i śliską obręcz, która nas wszystkich obejmuje. Musimy pozbyć się Salamander. Jest ich zbyt wiele. Są uzbrojone i mogą obrócić przeciwko nam arsenał wojenny, o którego sile nie wiemy prawie nic. Lecz groźniejsze niebezpieczeństwo dla nas ludzi tkwi nie w ich sile, a w ich skutecznym, ba — zwycięskim niedowartościowaniu. Nie wiem, czego powinniśmy się bardziej obawiać — ich ludzkiej cywilizacji czy ich podstępnego, chłodnego i zwierzęcego okrucieństwa. A te dwie rzeczy razem wzięte dają coś niewyobrażalnie przerażającego i niemal diabelskiego. W imię kultury, w imię chrześcijaństwa i ludzkości musimy uwolnić się od Płazów.

Idioci — wołał anonimowy apostoł — przestańcie wreszcie karmić Płazy! Przestańcie dawać im pracę, zrezygnujcie z ich usług, zostawcie je, niech się wyniosą dokądkolwiek, gdzie się same wyżywią, tak jak inne wodne stworzenia! Sama przyroda zrobi porządek z ich nadmiarem. Byle tylko ludzie, ludzka cywilizacja i ludzka historia nie pracowały dłużej na rzecz Salamander!

I przestańcie dostarczać Płazom broń, wstrzymajcie im dostawy metali i materiałów wybuchowych, nie wysyłajcie im już maszyn i towarów przeznaczonych dla ludzi! Nie dostarczajcie tygrysom zębów i jadu wężom. Nie podsycajcie wulkanicznego ognia i nie burzcie tam powstrzymujących powodzie. Uchwalcie zakaz dostaw do wszystkich mórz. Niech Płazy zostaną wyjęte spod prawa, niech będą przeklęte i wykluczone z naszego świata! Niech powstanie Liga Narodów przeciw Płazom! Cała ludzkość niech będzie gotowa bronić swego życia z bronią w rękach. Niech pod protektoratem Ligi Narodów, króla szwedzkiego albo papieża zostanie zwołana światowa konferencja wszystkich cywilizowanych państw, która powoła światową unię albo przynajmniej związek wszystkich narodów chrześcijańskich do walki z Salamandrami! Dzisiaj jest moment przełomowy, gdy pod straszliwym naciskiem zagrożenia ze strony Jaszczurów i ludzkiej odpowiedzialności może udać się to, do czego nie zdołała doprowadzić wojna światowa ze wszystkimi jej ogromnymi ofiarami — do stworzenia Stanów Zjednoczonych Świata. Daj Boże, by tak się stało! Gdyby się to powiodło, Płazy nie pojawiłyby się nadaremnie i byłyby narzędziem Boga".

Wizja, Obraz świata, Polityka

Ten patetyczny pamflet wywołał żywą reakcję w szerokich kręgach społecznych. Starsze panie zgadzały się zwłaszcza z tym, że nastał niebywały upadek obyczajów. Natomiast rubryki gospodarcze gazet słusznie wskazywały na to, że nie można ograniczać dostaw dla Płazów, ponieważ spowodowałoby to znaczny spadek produkcji i poważny kryzys w wielu gałęziach przemysłu. Również rolnictwo bardzo liczy dziś na olbrzymi zbyt kukurydzy, ziemniaków i innych płodów przeznaczonych na paszę dla Płazów. Gdyby została obniżona ilość Salamander, nastąpiłby znaczny spadek cen na artykuły spożywcze, przez co rolnicy znaleźliby się na skraju bankructwa. Związki zawodowe robotników podejrzewały pana X o reakcjonizm i oświadczały, że nie dopuszczą do tego, by został zahamowany eksport jakiegokolwiek towaru dla Płazów. Ledwie zlikwidowano bezrobocie wśród ludu pracującego, który wywalczył ponadto premie zadaniowe, a pan X chce mu wyrwać chleb z ręki. Klasa robotnicza współczuje Płazom i protestuje przeciwko wszelkim próbom obniżenia ich poziomu życia i wydania zubożałych i bezbronnych w ręce kapitalistów. Co się tyczy Ligi Narodów przeciw Płazom, wszystkie poważne instytucje polityczne były zgodne co do tego, że nie jest ona potrzebna. Mamy przecież Ligę Narodów, a także Konwencję Londyńską, w której państwa morskie zobowiązały się, że nie będą wyposażać swych Salamander w broń ciężką. Niełatwo jednak żądać takiego rozbrojenia od państwa, które nie ma pewności, że inna morska potęga nie zbroi potajemnie swych Płazów i nie zwiększa w ten sposób swego wojennego potencjału kosztem swoich sąsiadów. Żadne państwo ani kontynent nie może też zmuszać swych Płazów, żeby się przeprowadziły gdzie indziej, po prostu dlatego, że przez to w sposób niepożądany zwiększyłby się z jednej strony zbyt towarów przemysłowych i rolniczych, z drugiej zaś siła obronna innych

państw czy kontynentów. I takich zarzutów, z którymi każdy rozumny człowiek musiał się zgodzić, padało wiele.

Pomimo tego pamflet *X ostrzega* nie przeszedł bez echa i miał swoje poważne następstwa. Prawie we wszystkich krajach szerzył się ludowy ruch antyjaszczurczy i zakładano związki dla zwalczania Płazów, kluby antysalamandrytów, komitety ochrony ludzkości i wiele innych organizacji tego rodzaju. Delegaci Płazów w Genewie zostali znieważeni, gdy wybierali się na tysiąc dwieście trzynaste posiedzenie Komisji do Badania Problemu Płazów. Drewniane ogrodzenia na wybrzeżu morskim zamalowano napisami z pogróżkami takimi jak: „Śmierć Płazom!", „Precz z Salamandrami!" i tym podobnymi. Wiele Płazów zostało ukamienowanych. Żadna Salamandra nie odważyła się w ciągu dnia wytknąć łba z wody. A mimo to z ich strony nie dochodziło do żadnych przejawów protestu ani do czynów odwetowych. Były po prostu niewidoczne, przynajmniej w ciągu dnia. A ludzie, którzy zaglądali przez ogrodzenia, widzieli tylko bezkresne i huczące obojętnie morze. „Patrzcie — mówili z nienawiścią — te potwory nawet się nie pokażą!".

I w tej złowieszczej ciszy zadudniło tak zwane trzęsienie ziemi w Luizjanie.

7. Trzęsienie ziemi w Luizjanie

Tego dnia — było to 11 listopada o godzinie pierwszej w nocy — w Nowym Orleanie dało się odczuć silne trzęsienie ziemi. W dzielnicy czarnoskórych zawaliło się kilka baraków. Ludzie w panice wybiegali na ulice, ale wstrząsy już się nie powtórzyły. Z ogromną siłą uderzył tylko krótkotrwały huragan, który wybił szyby w oknach i zerwał dachy tamtejszych nędznych chałup. Kilkadziesiąt osób zostało zabitych. Potem lunął gwałtowny błotnisty deszcz.

Podczas gdy orleańscy strażacy wyjeżdżali na pomoc do najbardziej dotkniętych rejonów, nadchodziły telegramy z Morgan City, Plaquemine, Baton Rouge i Lafayette: „SOS! Wyślijcie ekipy ratunkowe! Trzęsienie ziemi i huragan zniszczyły pół miasta! Zapora na Missisipi grozi przerwaniem! Wyślijcie natychmiast koparki, karetki i wszystkich mężczyzn zdolnych do pracy!". Z Fort Livingstone doszło tylko lakoniczne pytanie: „Halo, czy u was też taki bajzel?". Potem dotarła depesza z Lafayette: „Uwaga! Uwaga! Najbardziej dotknięta New Iberia. Zerwana łączność między Iberią i Morgan City. Poślijcie tam pomoc!". Zaraz potem telefon z Morgan City: „Nie mamy łączności z New Iberia. Prawdopodobnie zniszczona droga i tory kolejowe. Wyślijcie okręty i samoloty do Vermillion Bay! My już niczego nie potrzebujemy. Mamy około trzydziestu zabitych i stu rannych". Następnie telegram z Baton Rouge: „Dostaliśmy wiadomość, że najgorzej w New Iberia. Zatroszczcie się przede wszystkim o nich. Nam potrzeba tylko ludzi do pracy, ale szybko, bo nam pękną wały. Robimy, co możemy". Po chwili: „Halo, halo, Shreveport, Natchitoches, Alexandria wysyłają pociągi ratownicze do New Iberia. Halo, halo, Memphis, Winana, Jackson wysyłają pociągi via Orleans. Wszystkie auta wiozą ludzi nad zaporę Baton Rouge". „Halo, tu Pascagoula. Mamy kilka ofiar. Potrzebujecie pomocy?".

Tymczasem wyjeżdżały już wozy, karetki i pociągi ratownicze w kierunku Morgan City — Patterson — Franklin. Po godzinie czwartej rano dotarła pierwsza dokładniejsza wiadomość: „Tory kolejowe między miejscowościami Franklin i New Iberia, siedem kilometrów na zachód od Franklin, przerwała woda. Zdaje się, że na skutek trzęsienia ziemi powstała tam głęboka rozpadlina, połączona z Vermillion Bay i zalana przez morze. Na ile da się ustalić, ta rozpadlina powiększa się, biegnąc od Vermillion Bay w kierunku wschodnio-północno-wschodnim, w pobliżu Franklin skręca na północ, łączy się z Grand Lake, po czym ciągnie się dalej na północ, aż do linii Plaquemine–Lafayette, gdzie kończy się w starym jeziorku. Jej odgałęzienie, biegnąc w kierunku zachodnim, łączy Grand Lake z jeziorem pod Napoleonville. Długość całej rozpadliny wynosi około osiemdziesięciu kilometrów, szerokość od dwóch do jedenastu kilometrów. Tutaj było, jak się zdaje, epicentrum trzęsienia ziemi. Można mówić o szczęśliwym przypadku, że ta rozpadlina ominęła wszystkie większe miasta. Niemniej jednak straty w ludziach są chyba znaczne. We Franklin napadało 60 cm błota, w Patterson 45 cm. Ludzie z Atchafalaya Bay opowiadają, że w efekcie wstrząsu morze cofnęło się mniej więcej o trzy kilometry, po czym

runęło z powrotem na brzeg falą o wysokości trzydziestu metrów. Istnieją obawy, że na wybrzeżu zginęło dużo ludzi. Nadal nie ma łączności z New Iberia".

W tym czasie do New Iberia dotarł z zachodu pociąg ratowniczy z Natchitoches. Pierwsze wiadomości, wysyłane okrężną drogą przez Lafayette i Baton Rouge, były przerażające: „Już kilka kilometrów przed New Iberia pociąg musiał się zatrzymać, ponieważ tory pokryte były błotem. Uchodźcy z miasta opowiadają, że ponoć jakieś dwa kilometry na wschód od miasta otworzył się błotny wulkan, który gwałtownie wyrzucił z siebie mnóstwo rzadkiego, zimnego błota. New Iberia zniknęła podobno pod jego nawałem. Dalsza droga po ciemku i w trwającym deszczu skrajnie trudna. Z New Iberia na razie brak łączności".

Równocześnie dotarły wieści z Baton Rouge:

> „na zaporach missisipi pracuje już kilka tysięcy ludzi stop żeby choć przestało padać stop potrzebujemy motyki łopaty wozy ludzi stop wysyłamy pomoc do plaquemine leje im się na łeb tym gamoniom".

Depesza z Fort Jackson:

> „o wpół do drugiej w nocy morska fala zabrała nam trzydzieści domów nie wiemy co to było chyba z siedemdziesiąt osób utonęło dopiero teraz naprawiłem aparat urząd pocztowy też morze uniosło halo telegrafujcie prędko co to właściwie było telegrafista fred dalton halo przekażcie minnie lacost że nic mi się nie stało mam tylko złamaną rękę i straciłem ubranie ale najważniejsze że telegraf jest w porządku fred".

Z Port Eads dotarła najbardziej lakoniczna wiadomość:

> „mamy zabitych burywood całe zmiecione przez morze".

Tymczasem — było to około ósmej rano — wracały pierwsze samoloty wysłane nad dotknięte klęską tereny. „Całe wybrzeże od Port Arthur (w Teksasie) aż po Mobile (w Arizonie) zostało ponoć w nocy zalane falą przypływu. Wszędzie widać porwane przez wodę albo uszkodzone domy. Południowo-zachodnia Luizjana (od drogi Lake Charles — Alexandria — Natches) i południowe Missisipi (aż po linię Jackson — Hattiesburg — Pascagoula) są zalane błotem. W Vermillion Bay wdziera się w ląd nowa zatoka morska o szerokości od trzech do dziesięciu kilometrów, sięgająca zygzakowato w głąb lądu niczym długi fiord, aż prawie po Plaquemine. New Iberia wydaje się być poważnie zniszczona, ale widać dużo ludzi, którzy usuwają błoto zalewające domy i drogi. Nie dało się lądować. Najwięcej ofiar będzie chyba na wybrzeżu. Na wprost Point au Fer tonie parowiec, prawdopodobnie meksykański. W pobliżu Chadeleur Islands morze pokryte jest jakimiś szczątkami. Deszcz na całym obszarze ustaje. Widzialność dobra".

Pierwsze specjalne wydania nowoorleańskich gazet wyszły już po czwartej rano. Z upływem dnia przybywało nowych wydań i szczegółów. O ósmej rano gazety przynosiły już fotografie dotkniętego kataklizmem terenu i mapy nowej morskiej zatoki. O wpół do dziewiątej drukowały wywiad z wybitnym sejsmologiem z uniwersytetu w Memphis, doktorem Wilburem R. Brownellem, na temat przyczyn trzęsienia ziemi w Luizjanie.

„Na razie nie możemy wyciągać ostatecznych wniosków — oświadczył sławny uczony — ale wydaje się, że te wstrząsy nie mają nic wspólnego z aktywnością wulkaniczną, dotychczas bardzo ożywioną w środkowomeksykańskim paśmie wulkanicznym, leżącym dokładnie naprzeciwko poszkodowanego obszaru. Dzisiejsze trzęsienie ziemi wydaje się być raczej pochodzenia tektonicznego, to znaczy zostało wywołane przez napór górskich mas — z jednej strony Gór Skalistych i Sierra Madre, z drugiej zaś pogórza Appalachów — na rozległą depresję Zatoki Meksykańskiej, której kontynuacją jest szeroka nizina w dolnym biegu Missisipi. Rozpadlina wybiegająca teraz z Vermillion Bay jest tylko nowym i stosunkowo mało istotnym uskokiem, drobnym epizodem w geologicznym osiadaniu, wskutek którego powstała Zatoka Meksykańska i Morze Karaibskie, łącznie z wieńcem Wielkich i Małych Antyli, tą pozostałością dawnego zwartego pasma górskiego. Bez wątpienia środkowoamerykańskie osiadanie będzie postępować dalej, w postaci nowych wstrząsów, uskoków i szczelin. Nie można wykluczyć, że rozpadlina vermilliońska jest zaledwie uwerturą do ożywionego procesu tektonicznego, którego epicentrum

znajduje się właśnie w Zatoce Meksykańskiej. W takim przypadku możemy być świadkami ogromnych katastrof geologicznych, w wyniku których niemal jedna piąta terytorium Stanów Zjednoczonych mogłaby znaleźć się na dnie morza. Gdyby do tego doszło, moglibyśmy z dużym prawdopodobieństwem oczekiwać, że dno morza zacznie się podnosić w okolicach Antyli albo jeszcze bardziej na wschód, w miejscach, gdzie według dawnych mitów znajdowała się Atlantyda.

Natomiast — kontynuował słynny naukowiec nieco łagodniej — nie należy traktować poważnie obaw, że na dotkniętym kataklizmem obszarze może pojawić się aktywność wulkaniczna. Rzekome kratery wyrzucające z siebie błoto są niczym innym jak erupcjami gazów błotnych, do których doszło na rozpadlinie vermillionskiej. Nie zdziwiłbym się, gdyby w namuliskach Missisipi pojawiały się ogromne podziemne bańki gazów, które w zetknięciu z powietrzem mogą eksplodować i unosić w górę setki tysięcy ton wody i błota. Jednakże dla definitywnego wyjaśnienia — powtarzał doktor W. R. Brownell — potrzebne będą dalsze badania".

Podczas gdy maszyny rotacyjne w redakcjach gazet drukowały wypowiedzi Brownella dotyczące katastrof geologicznych, gubernator stanu Luizjana otrzymał z Fort Jackson telegram następującej treści:

> „przykro nam z powodu ofiar stop staraliśmy się ominąć wasze miasta jednak nie przewidzieliśmy cofnięcia się i uderzenia morskiej wody przy wybuchu stop naliczyliśmy trzysta czterdzieści sześć ludzkich ofiar na całym wybrzeżu stop wyrażamy współczucie stop chief salamander stop halo halo tu fred dalton urząd pocztowy fort jackson właśnie odeszły stąd trzy płazy przyszły przed dziesięcioma minutami na pocztę podały telegram i wymierzyły we mnie pistolety ale już sobie poszły szkaradne potwory zapłaciły i pobiegły do wody gonił je tylko pies aptekarza nie powinny chodzić po mieście poza tym nic nowego pozdrówcie minnie lacost i powiedzcie że ją całuję telegrafista fred dalton".

Gubernator stanu Luizjana długo kręcił głową nad tym telegramem. „Żartowniś z tego Freda Daltona — powiedział w końcu do siebie. — Lepiej nie dawać tego do gazet".

8. Chief Salamander stawia żądania

Trzy dni po trzęsieniu ziemi w Luizjanie ogłoszono nową katastrofę geologiczną, tym razem w Chinach. W prowincji Jiangsu rozerwało się wybrzeże morza na północ od Nankingu, mniej więcej pośrodku pomiędzy ujściem Jangcy i starym korytem Huang He, czemu towarzyszyło potężne, dudniące trzęsienie ziemi. Do tej szczeliny wtargnęło morze i połączyło się z wielkimi jeziorami Pan-jan i Hung-tsu, między miastami Hwaingan i Fuyang. Wydaje się, że w konsekwencji trzęsienia ziemi Jangcy pod Nankingiem opuszcza swe koryto i płynie w kierunku jeziora Tai Hu i dalej na Hangzhou. Ofiar w ludziach nie można oszacować nawet w przybliżeniu. Setki tysięcy uciekają do północnych i południowych prowincji. Japońskie okręty wojenne dostały rozkaz wypłynięcia w kierunku dotkniętego kataklizmem wybrzeża.

Chociaż podziemne wstrząsy w Jiangsu swymi rozmiarami znacznie przekroczyły pogrom w Luizjanie, poświęcano im niewiele uwagi, gdyż świat przyzwyczaił się już do katastrof w Chinach, gdzie — jak się zdaje — milion istnień ludzkich nie ma większego znaczenia. Poza tym było jasne, że chodzi o zwykłe tektoniczne trzęsienie ziemi, związane z głębinowym rowem oceanicznym w pobliżu archipelagów Riukiu i Filipiny. Jednak trzy dni później europejskie sejsmografy zanotowały nowe wstrząsy skorupy ziemskiej, których epicentrum znajdowało się gdzieś w pobliżu Wysp Zielonego Przylądka. Dokładniejsze informacje mówiły, że poważne trzęsienie ziemi dotknęło wybrzeże Senegambii na południe od St. Louis. Pomiędzy miastami Lampul i Mboro powstała głęboka rozpadlina zalewana przez morze i postępująca w kierunku Merinaghene. Według naocznych świadków, przy straszliwym huku wzbił się z ziemi słup ognia i pary, wyrzucając na znaczną odległość piasek i kamienie. Potem słychać było ryk morza, które wdzierało się do otwartej szczeliny. Straty w ludziach są niewielkie.

To trzecie trzęsienie ziemi wywołało już coś na kształt paniki. „Czy ożywia się aktywność wulkaniczna ziemi?" — pytały gazety. „Skorupa ziemska zaczyna pękać" — głosiły wieczorne wydania. Specjaliści wyrazili przypuszczenie, że „rozpadlina senegambska" powstała być może jedynie na skutek erupcji żyły wulkanicznej związanej z wulkanem Pico na wyspie Fogo w archipelagu Wysp Zielonego Przylądka. Ten wulkan wybuchł jeszcze w roku 1847 i od tego czasu uważany był za wygasły. Zachodnioafrykańskie trzęsienie ziemi nie ma więc nic wspólnego z sejsmicznymi zjawiskami w Luizjanie i w Jiangsu, które najprawdopodobniej były pochodzenia tektonicznego. Ale ludziom, jak się zdaje, było wszystko jedno, czy ziemia pęka z przyczyn tektonicznych, czy wulkanicznych. Faktem jest, że tego dnia wszystkie kościoły były wypełnione modlącymi się tłumami. W niektórych regionach świątynie musiały być otwarte także w nocy.

Katastrofa, Żywioły, Religia, Kondycja ludzka

Około pierwszej w nocy (było to dwudziestego listopada) radioamatorzy w większej części Europy odbierali na swych radioaparatach silne zakłócenia, jakby gdzieś pracowała jakaś nowa, niezwykle silna radiostacja. Znaleźli ją na długości fali dwieście trzy. Słychać było coś jakby łoskot maszyn albo szum morskich fal. W tym ciągnącym się bez końca szumie rozległ się nagle straszny, skrzekliwy głos (wszyscy opisywali go podobnie: pusty, skrzeczący, jakby sztuczny głos, do tego jeszcze bardzo wzmocniony megafonem). I ten żabi głos wściekle wołał: „*Halo, halo! Chief Salamander speaking. Halo, Chief Salamander speaking. Stop all broadcasting, you men! Stop your broadcasting! Halo, Chief Salamander speaking!*"[82]. Potem inny, dziwnie pusty głos spytał: „*Ready? Ready*"[83]. Następnie słychać było trzaski, jakby przełączano przewody. I znowu inny nienaturalnie skrzekliwy głos zawołał: „*Attention! Attention! Attention!*". „*Halo!*". „*Now!*"[84].

Po chwili w nocnej ciszy odezwał się chrapliwy, zmęczony, ale mimo to władczy głos: „Halo, ludzie! Tu Luizjana. Tu Jiangsu. Tu Senegambia. Żałujemy ludzkich ofiar. Nie chcemy wyrządzać wam niepotrzebnych strat. Chcemy tylko, żebyście oczyścili brzegi mórz w miejscach, które wcześniej wyznaczymy. Jeśli to zrobicie, unikniecie przykrych wypadków. Następnym razem podamy wam z co najmniej czternastodniowym wyprzedzeniem, w którym miejscu będziemy rozszerzać nasze morza. Dotychczas przeprowadzaliśmy tylko próby techniczne. Wasze materiały wybuchowe się sprawdziły. Dziękujemy wam.

Halo, ludzie! Zachowajcie spokój. Nie mamy wobec was wrogich zamiarów. Potrzebujemy tylko więcej wody, więcej brzegów, więcej mielizn do życia. Jest nas za dużo. Nie ma już dla nas miejsca na waszych wybrzeżach. Dlatego musimy zburzyć wasze lądy. Uczynimy z nich same zatoki i wyspy. W ten sposób długość linii brzegowych na świecie wzrośnie pięciokrotnie. Będziemy tworzyć nowe mielizny. Nie możemy żyć w głębokim morzu. Będziemy potrzebować waszych lądów do zasypywania głębin. Nie mamy nic przeciwko wam, ale jest nas zbyt dużo. Możecie tymczasem przeprowadzić się w głąb lądu. Możecie schronić się w górach. Góry zostaną zburzone na końcu.

Chcieliście nas. Rozsialiście nas po całym świecie. Teraz nas macie. Chcemy postępować z wami po dobroci. Będziecie nam dostarczać stal na nasze wiertła i kilofy. Będziecie nam dostarczać materiały wybuchowe. Będziecie nam dostarczać torpedy. Będziecie dla nas pracować. Bez was nie moglibyśmy zlikwidować starych lądów. Halo, ludzie, Chief Salamander w imieniu wszystkich Płazów proponuje wam współpracę. Będziecie razem z nami pracować nad zburzeniem waszego świata. Dziękujemy wam".

Zmęczony, ochrypły głos umilkł i znów słychać było ów szum jakby maszyn albo morza. „Halo, halo, ludzie — odezwał się ponownie skrzekliwy głos — teraz będziemy dla was nadawać muzykę rozrywkową z waszych płyt gramofonowych. Na początek posłuchajcie *Marsza trytonów* ze znanego filmu *Posejdon*".

Gazety jednak uznały tę nocną audycję radiową za „prymitywny i głupi żart" jakiejś stacji. Pomimo tego miliony ludzi oczekiwały następnej nocy przy swych radioodbiornikach, czy przemówi znowu ten straszny, gwałtowny, skrzekliwy głos. Odezwał się dokładnie o pierwszej, przy akompaniamencie głośnego, pluszczącego poszumu. „*Good evening, you people* — zakwakał wesoło. — Najpierw zagramy wam z gramofonowej płyty *Salamander-Dance* z waszej operetki *Galatea*". Gdy wybrzmiała hałaśliwa i bezwstydna

muzyka, rozległ się znowu ów potworny i radosny skrzekot: „Halo, ludzie! Właśnie została storpedowana brytyjska kanonierka »Erebus«, która chciała zniszczyć na Atlantyku naszą radiostację. Załoga utonęła. Halo, wzywamy do głośników rząd brytyjski. Załoga okrętu »Amenhotep«, port macierzysty Port Said, wzdragała się przed wydaniem nam w naszym porcie Makallah zamówionych materiałów wybuchowych. Podobno otrzymała rozkazy, by wstrzymać ich dalsze dostawy. Okręt został zatopiony. Radzimy, by rząd brytyjski odwołał ten rozkaz do jutrzejszego południa drogą radiową, gdyż w przeciwnym razie zostaną zatopione okręty »Winnipeg«, »Manitoba«, »Ontario" i »Quebec« płynące ze zbożem z Kanady do Liverpoolu. Halo, wzywamy do głośników rząd francuski. Odwołajcie krążowniki, które płyną w kierunku Senegambii. Musimy tam jeszcze poszerzyć nowo utworzoną zatokę. Chief Salamander polecił, żebym przekazał obu rządom jego niezachwianą wolę nawiązania z nimi jak najbardziej przyjaznych stosunków. Koniec wiadomości. Teraz będziemy nadawać z płyty waszą pieśń *Salamandria, valse érotique*".

Nazajutrz po południu na południowy zachód od Mizen Head zostały zatopione okręty „Winnipeg", „Manitoba", „Ontario" i „Quebec". Świat ogarnęło przerażenie. Wieczorem BBC przekazała, że rząd Jego Królewskiej Mości wydał zakaz dostarczania Płazom jakiejkolwiek żywności, produktów chemicznych, narzędzi, zabawek i metali. O godzinie pierwszej w nocy zaskrzeczał w radiu zirytowany głos: „Halo, halo, halo, *Chief Salamander speaking! Halo, Chief Salamander is going to speak*!"[85]. Po czym odezwał się zmęczony, ochrypły, rozgniewany głos: „Halo, ludzie! Halo, ludzie! Myślicie, że damy się zagłodzić? Skończcie z waszymi głupotami! Wszystko, co robicie, obróci się przeciw wam! W imieniu wszystkich Płazów świata wzywam Wielką Brytanię. Ogłaszamy od tej godziny nieograniczoną blokadę Wysp Brytyjskich, z wyłączeniem wolnego państwa Irlandii. Zamykam kanał La Manche. Zamykam Kanał Sueski. Zamykam Cieśninę Gibraltarską dla wszystkich okrętów. Wszystkie porty brytyjskie zostają zamknięte. Wszystkie okręty brytyjskie na jakimkolwiek morzu będą torpedowane. Halo, wzywam Niemcy. Zwiększam dziesięciokrotnie zamówienia na materiały wybuchowe. Dostarczajcie je natychmiast *loco* główny magazyn Skagerrak. Halo, wzywam Francję. Dostarczcie czym prędzej zamówione torpedy do podmorskich fortów C3, BFF i Quest 5. Halo, ludzie! Ostrzegam was. Jeżeli ograniczycie nam dostawy żywności, wezmę ją sobie sam z waszych okrętów. Jeszcze raz was ostrzegam". Zmęczony głos zamieniał się w chrapliwe, ledwo zrozumiałe charczenie. „Halo, wzywam Italię. Przygotujcie się do ewakuacji obszaru Wenecja — Padwa — Udine. Ludzie, ostrzegam was po raz ostatni. Dosyć już narobiliście głupstw". Nastała długa pauza, w czasie której jakby szumiały fale czarnego i zimnego oceanu. Po czym znowu rozległ się wesoły i skrzekliwy głos: „A teraz zagramy wam ostatni przebój grupy Triton-Trot".

9. Konferencja w Vaduz

Naród, Honor, Przywódca

Była to dziwna wojna, o ile w ogóle można to nazwać wojną. Nie było bowiem żadnego państwa Płazów ani żadnego uznanego ich rządu, któremu można by oficjalnie wojnę wypowiedzieć. Pierwszym państwem, które znalazło się w stanie wojny z Salamandrami, była Wielka Brytania. Od razu w pierwszych godzinach Płazy zatopiły wszystkie jej okręty zakotwiczone w portach. Temu nie można było w żaden sposób zapobiec. Jedynie statki na pełnym morzu były w tym momencie stosunkowo bezpieczne, zwłaszcza jeśli krążyły nad większymi głębinami. W ten sposób ocalała część brytyjskiej floty, która przerwała blokadę Płazów na Malcie i skupiła się wokół głębi na Morzu Jońskim. Lecz i te jednostki zostały niebawem wytropione przez małe łodzie podwodne Płazów i zatopione jeden po drugim. W ciągu sześciu tygodni Wielka Brytania utraciła cztery piąte całego tonażu okrętowego.

John Bull[86] miał jeszcze jedną okazję, by okazać swój powszechnie znany upór. Rząd Jego Królewskiej Mości nie pertraktował z Płazami i nie odwołał zakazu dostaw. „Brytyjski dżentelmen — oświadczył brytyjski premier w imieniu całego narodu — chroni zwierzęta, ale nie negocjuje z nimi". Już po kilku tygodniach na Wyspach Brytyjskich dał się odczuć rozpaczliwy brak żywności. Tylko dzieci dostawały kromkę chleba i kilka łyżeczek herbaty lub mleka dziennie. Naród brytyjski znosił to nad wyraz dzielnie, choć

upadł tak nisko, że zjadł wszystkie swoje konie wyścigowe. Książę Walii własnoręcznie zaorał pierwszą bruzdę na polu golfowym Royal Golf Club, aby posadzić tam marchew dla londyńskich sierocińców. Na kortach tenisowych Wimbledonu posadzono ziemniaki, na torze w Ascott posiano pszenicę. „Poniesiemy wszystkie, nawet te największe ofiary — zapewniał w parlamencie przywódca partii konserwatywnej — ale brytyjskiego honoru nie splamimy".

Głód, Handel, Interes

Ponieważ blokada brytyjskich wybrzeży była szczelna, Anglii pozostawała tylko jedna wolna droga dla zaopatrzenia i kontaktu z koloniami, czyli droga powietrzna. „Musimy mieć sto tysięcy samolotów" — oświadczył minister lotnictwa, i wszystko, co miało ręce i nogi, oddało się realizacji tego hasła. Czyniono gorączkowe przygotowania do tego, aby móc produkować tysiąc samolotów dziennie. Wtedy jednak rządy pozostałych mocarstw europejskich ostro zaprotestowały przeciwko takiemu naruszaniu równowagi lotniczej. Brytyjski rząd musiał zrezygnować ze swego programu powietrznego i zobowiązać się, że nie zbuduje więcej niż dwadzieścia tysięcy samolotów, i to w ciągu pięciu lat. Nie pozostało więc nic innego niż głodować dalej albo płacić horrendalne ceny za żywność, która była dostarczana samolotami innych państw. Funt chleba kosztował dziesięć szylingów, para szczurów jedną gwineę, puszka kawioru dwadzieścia pięć funtów szterlingów. Słowem: były to złote czasy dla kontynentalnego handlu, przemysłu i rolnictwa.

Wojna

Jako że marynarka wojenna została już na samym początku wyeliminowana, operacje wojskowe przeciw Płazom toczyły się tylko na lądzie i z powietrza. Armia lądowa waliła z dział i karabinów maszynowych do wody, nie wyrządzając, jak się zdaje, Salamandrom większej krzywdy. Nieco skuteczniejsze były bomby lotnicze zrzucane do morza. Płazy odpowiadały ostrzałem z podwodnych dział brytyjskich portów, które obróciły w ruinę. Z ujścia Tamizy ostrzeliwały także Londyn. Wówczas dowództwo armii podjęło próbę otrucia Salamander bakteriami, ropą i substancjami żrącymi, wylewanymi do Tamizy i do niektórych morskich zatok. Na to Płazy odpowiedziały w ten sposób, że wypuściły na angielskim wybrzeżu na długości stu dwudziestu kilometrów zasłonę gazów bojowych. Była to tylko demonstracja, ale wystarczająca. Rząd brytyjski po raz pierwszy w historii był zmuszony poprosić inne mocarstwa o interwencję, domagając się zakazu wojny z użyciem gazów.

Następnej nocy odezwał się przez radio ochrypły, gniewny i ciężki głos Chief Salamandra: „Halo, ludzie! Niech Anglia nie robi głupstw! Jeśli będzie nam zatruwać wodę, my będziemy zatruwać wam powietrze. Używamy tylko waszej własnej broni. Nie jesteśmy żadnymi barbarzyńcami. Nie chcemy walczyć z ludźmi. Nie chcemy nic więcej, tylko móc żyć. Proponujemy wam pokój. Będziecie nam dostarczać wasze produkty i sprzedacie nam wasze lądy. Jesteśmy gotowi dobrze wam za nie zapłacić. Oferujemy wam więcej niż pokój. Oferujemy wam handel. Oferujemy wam złoto za wasze ziemie. Halo, wzywam rząd Wielkiej Brytanii. Podajcie mi waszą cenę za południową część hrabstwa Lincolnshire przy zatoce Wash. Daję wam trzy dni do namysłu. Na ten czas wstrzymuję wszystkie wrogie działania oprócz blokady".

Handel

W tej samej chwili na angielskim wybrzeżu ustała podmorska kanonada. Umilkły również podwodne działa. Nastała dziwna, niemal przerażająca cisza. Rząd brytyjski oświadczył w parlamencie, że z Płazami pertraktować nie zamierza. Mieszkańcy rejonu zatoki Wash i Lynn Deep zostali ostrzeżeni, że prawdopodobnie grozi im zmasowany atak Płazów i że byłoby lepiej opuścić wybrzeże i przenieść się w głąb lądu. Jednak przygotowane pociągi, samochody i autobusy odwiozły tylko dzieci i część kobiet. Mężczyźni zostali na miejscu. Po prostu nie mieściło im się w głowie, że Anglik mógłby stracić swoją ziemię. Minutę po upływie trzydniowego rozejmu padł wystrzał. Był to strzał z angielskiego działa, który oddał Loyal North Lancashire Regiment, grając przy tym marsz zatytułowany *Czerwona róża*. Potem zagrzmiał straszliwy wybuch. Ujście rzeki Nene zostało zatopione aż po Wisbech i zalane morzem z zatoki Wash. Pod wodą znalazły się między innymi słynne ruiny Wisbech Abbey, Holland Castle, gospoda „U Jerzego i Smoka" i inne zabytkowe miejsca.

Następnego dnia rząd brytyjski w odpowiedzi na interpelację w parlamencie poinformował, że: z wojskowego punktu widzenia uczyniono wszystko dla obrony brytyjskiego wybrzeża; nie można wykluczyć kolejnych, znacznie rozleglejszych ataków na ziemię brytyjską; rząd Jego Wysokości nie może jednak pertraktować z wrogiem, który nie oszczę-

dza cywilów ani kobiet. (*Zgoda*). Dziś już nie chodzi o losy Anglii, lecz o cały cywilizowany świat. Wielka Brytania jest skłonna rozważyć międzynarodowe gwarancje, które by ograniczyły te straszliwe i barbarzyńskie ataki zagrażające ludzkości.

Kilka tygodni później zwołana została konferencja przedstawicieli wszystkich państw świata w Vaduz.

Odbyła się ona w Vaduz, ponieważ w Alpach nie istniało zagrożenie ze strony Płazów, a ponadto tam właśnie już wcześniej schroniła się większość zamożnych i wybitnych osobistości z krajów nadmorskich. Konferencja, jak powszechnie przyznawano, zabrała się energicznie do rozwiązania aktualnych światowych problemów. W pierwszym rzędzie wszystkie kraje (łącznie ze Szwajcarią, Abisynią, Afganistanem, Boliwią i innymi państwami śródlądowymi) zdecydowanie odmówiły uznania Płazów za samodzielne walczące mocarstwo, głównie dlatego, że potem także ich Salamandry mogłyby się uważać za członków jaszczurczego państwa. Niewykluczone, że uznane w ten sposób ich państwo chciałoby wykonywać zwierzchność nad wszystkimi wodami i wybrzeżami, gdzie żyją Płazy. Z tego powodu zarówno z prawnego, jak i z praktycznego punktu widzenia nie można wypowiedzieć Salamandrom wojny albo zastosować wobec nich innej formy międzynarodowego nacisku. Każde państwo ma prawo wystąpić tylko przeciwko swoim Płazom. Jest to jego czysto wewnętrzna sprawa. Dlatego nie może być mowy o zbiorowym dyplomatycznym albo wojskowym *démarche* przeciwko Płazom. Państwom napadniętym przez Jaszczury należy udzielić międzynarodowej pomocy jedynie w taki sposób, że udzieli się im zagranicznych pożyczek na skuteczną obronę.

Następnie Anglia zgłosiła propozycję, żeby wszystkie państwa zobowiązały się przynajmniej, że przestaną dostarczać Płazom broń i materiały wybuchowe. Po starannym namyśle propozycja ta została odrzucona, głównie dlatego, że to zobowiązanie jest już zawarte w Konwencji Londyńskiej. Po drugie, żadnemu państwu nie można zabronić, żeby dostarczało swym Płazom „jedynie na własne potrzeby" wyposażenie techniczne i broń do obrony własnych wybrzeży. Po trzecie, państwom nadmorskim „zależy naturalnie na utrzymaniu dobrych stosunków z mieszkańcami morza" i dlatego uważają za właściwe „powstrzymanie się na razie od wszelkich środków, które Płazy mogłyby uznać za represyjne". Niemniej jednak wszystkie państwa skłonne są obiecać, że będą dostarczać broń i materiały wybuchowe także tym krajom, które Salamandry zaatakują.

Polityka, Obyczaje

W trakcie tajnych obrad została przyjęta propozycja kolumbijska, żeby podjąć z Płazami przynajmniej nieoficjalne negocjacje. Chief Salamander zostanie poproszony, żeby wysłał na konferencję swych pełnomocników. Przedstawiciel Wielkiej Brytanii zdecydowanie zdystansował się wobec tego, odmawiając obradowania wspólnie z Płazami. W końcu jednak zadowolił się tym, że wyjedzie w tym czasie ze względów zdrowotnych do Engadyny. Tej nocy przy użyciu szyfrów państwowych wszystkich mocarstw nadmorskich zostało wyemitowane wezwanie, aby Jego Ekscelencja pan Chief Salamander wyznaczył swych przedstawicieli i wysłał ich do Vaduz. Odpowiedzią było ochrypłe: „Dobrze, tym razem jeszcze przyjdziemy do was, ale w przyszłości to wasi delegaci przyjdą do mnie, do wody". Po czym nastąpiło jeszcze oficjalne oświadczenie: „Upoważnieni przedstawiciele Płazów przyjadą pojutrze wieczorem Orient Expressem na stację Buchs".

W jak najszybszym tempie czyniono wszystkie przygotowania na przyjęcie Płazów. Przygotowano najbardziej luksusowe wanny w Vaduz, a specjalny pociąg przywiózł w cysternach wodę morską do tychże wanien dla delegatów. Wieczorem na dworcu w Buchs miało się odbyć jedynie nieoficjalne przywitanie. Przybyli nań tylko sekretarze poszczególnych delegacji, przedstawiciele miejscowych urzędów i około dwustu dziennikarzy, fotografów i filmowców. Dokładnie o 6:25 Orient Express wjechał na stację. Z salonki wysiedli na czerwony dywan trzej wysocy, eleganccy panowie, a za nimi kilku nienagannie ubranych, dziarskich sekretarzy z ciężkimi aktówkami. „A gdzie są Płazy?" — zapytał ktoś stłumionym głosem. Dwaj albo trzej oficjele wyszli niepewnie na spotkanie owym trzem panom. Wtedy pierwszy z nich dyskretnie i szybko powiedział: „Jesteśmy delegacją Płazów. Ja jestem profesor doktor van Dott z Hagi. A to *maître* Rosso Castelli, adwokat z Paryża i doktor Manoel Carvalho, adwokat z Lizbony". Panowie ukłonili się i przedstawili. „To wy nie jesteście Płazami?" — wykrztusił francuski sekretarz. „Oczywiście, że nie — rzekł doktor Rosso Castelli. — Jesteśmy ich adwokatami. *Pardon*, ci panowie chyba chcą filmować". Potem uśmiechająca się delegacja Płazów była z zapałem filmowa-

na i fotografowana. Również obecni sekretarze prawników okazywali swe zadowolenie. Trzeba przyznać, że te Salamandry zachowały się rozsądnie i przyzwoicie, przysyłając jako swych przedstawicieli ludzi. Z ludźmi da się rozmawiać. A przede wszystkim odpada nieprzyjemne towarzyskie zakłopotanie.

Jeszcze tej samej nocy odbyła się pierwsza narada z delegatami Płazów. W porządku obrad znalazł się problem jak najszybszego odnowienia pokoju między Płazami i Wielką Brytanią. O głos poprosił profesor van Dott.

— Nie podlega dyskusji — powiedział — że Płazy zostały napadnięte przez Wielką Brytanię. Brytyjska kanonierka „Erebus" zaatakowała na pełnym morzu naszą pływającą radiostację. Brytyjska admiralicja naruszyła pokojowe kontakty handlowe z Płazami przez to, że zabroniła załodze okrętu „Amenhotep" wyładować zamówionego ładunku materiałów wybuchowych. I trzecia rzecz: rząd brytyjski swym zakazem jakichkolwiek dostaw rozpoczął blokadę Salamander. Płazy nie mogły skarżyć się na te nieprzyjacielskie działania ani w Hadze, gdyż Konwencja Londyńska nie dała Płazom prawa skargi, ani w Genewie, ponieważ nie są członkami Ligi Narodów. Nie pozostało im więc nic innego, niż sięgnąć po samoobronę. Pomimo tego Chief Salamander jest skłonny wstrzymać działania wojenne pod następującymi warunkami: po pierwsze, Wielka Brytania przeprosi Płazy za wyżej wymienione krzywdy; po drugie, odwoła wszystkie zakazy dostaw dla Płazów; po trzecie, w ramach odszkodowania odstąpi Salamandrom bez wynagrodzenia nizinne dorzecza w Pendżabie, żeby mogły tam utworzyć nowe wybrzeża i zatoki morskie.

Na to przewodniczący konferencji oświadczył, że przekaże te warunki swemu szanownemu przyjacielowi, przedstawicielowi Wielkiej Brytanii, który akurat jest nieobecny. Nie ukrywał jednak obaw, że te warunki będą trudne do przyjęcia. Niemniej należy mieć nadzieję, że możemy w nich upatrywać punkt wyjścia do dalszych rozmów.

Potem pod obrady poddana została skarga Francji w sprawie wybrzeża Senegambii, które Płazy wysadziły w powietrze, ingerując w ten sposób we francuskie posiadłości kolonialne. O głos poprosił przedstawiciel Płazów, sławny paryski adwokat, doktor Julien Rosso Castelli.

— Niech pan to udowodni — powiedział. — Światowe autorytety w dziedzinie sejsmografii twierdzą, że trzęsienie ziemi w Senegambii było pochodzenia wulkanicznego i że wiąże się z dawną aktywnością wulkanu Pico na wyspie Fogo. Tutaj — zawołał doktor Rosso Castelli, waląc dłonią w swoje *dossier* — są ich raporty naukowe! Jeśli ma pan dowody, że trzęsienie ziemi w Senegambii powstało w wyniku działań mych klientów, proszę, czekam na nie.

Belgijski delegat Creux:

— Wasz Chief Salamander sam oświadczył, że to zrobiły Płazy!

Profesor van Dott:

— Jego wystąpienie było nieoficjalne.

M. Rosso Castelli:

— Jesteśmy upoważnieni do zdementowania jego wystąpienia. Domagam się wysłuchania rzeczoznawców technicznych w kwestii tego, czy da się sztucznie zrobić w skorupie ziemskiej szczelinę długości sześćdziesięciu siedmiu kilometrów. Proponuję, żeby zademonstrowali nam oni praktyczną próbę o podobnym zakresie. Dopóki nie ma takich dowodów, panowie, będziemy mówić o czynności wulkanicznej. Tym niemniej Chief Salamander jest gotów odkupić od rządu francuskiego zatokę morską, która powstała w rozpadlinie senegambijskiej i nadaje się do założenia osady Płazów. Jesteśmy upoważnieni do porozumienia się z rządem francuskim co do ceny.

Delegat francuski, minister Deval:

— Jeżeli mamy to traktować jako odszkodowanie za wyrządzone szkody, możemy rozmawiać na ten temat.

M. Rosso Castelli:

— Bardzo dobrze. Rząd Płazów domaga się jednak, żeby stosowna umowa kupna obejmowała również tereny Landes od ujścia Girondy po Bayonne, a więc obszar sześciu tysięcy siedmiuset dwudziestu kilometrów kwadratowych. Innymi słowy, rząd Płazów jest skłonny odkupić od Francji ten kawałek południowofrancuskiej ziemi.

Minister Deval (urodzony w Bayonne, poseł z tego okręgu):

— Żeby wasze Salamandry zrobiły z kawałka Francji morskie dno? Nigdy! Nigdy!

Dr Rosso Castelli:

— Francja będzie żałować tych słów, drogi panie. Dziś jeszcze była mowa o cenie kupna.

Potem posiedzenie zostało przerwane.

Podczas następnego spotkania przedmiotem rozmów była wielka międzynarodowa propozycja złożona Płazom: żeby zamiast niedopuszczalnego dewastowania starych, gęsto zasiedlonych lądów budowały dla siebie nowe wybrzeża i wyspy. W tym przypadku zapewni się im znaczący kredyt. Nowe lądy i wyspy zostaną potem uznane za ich samodzielne i suwerenne terytorium państwowe.

Doktor Manoel Carvalho, znany prawnik lizboński, podziękował za tę propozycję, którą przekaże rządowi Płazów.

— Jednak każde dziecko zrozumie — powiedział — że budowanie nowych lądów jest znacznie bardziej czasochłonne i kosztowne niż burzenie starych obszarów. Nasi klienci potrzebują nowych wybrzeży i zatok w jak najkrótszym czasie. To jest dla nich kwestia być albo nie być. Byłoby lepiej dla ludzkości przyjąć hojną ofertę Chief Salamandra, który dziś jest jeszcze skłonny jest kupić świat od ludzi, zamiast opanować go siłą. Nasi klienci znaleźli sposób wydobywania złota znajdującego się w wodzie morskiej. W efekcie tego posiadają niemal nieograniczone środki. Mogą wam za wasz świat dobrze, a wręcz doskonale zapłacić. Liczcie się z tym, że z czasem wartość świata będzie dla nich maleć, zwłaszcza, jeśli nastaną — jak można przewidywać — dalsze katastrofy wulkaniczne albo tektoniczne, o znacznie większych rozmiarach niż te, których dotąd byliśmy świadkami, i jeśli w ich rezultacie zmniejszy się znacznie powierzchnia kontynentów. Dziś jeszcze można sprzedać świat w dotychczasowych rozmiarach. Kiedy jednak zostaną z niego tylko wierzchołki gór, sterczące nad powierzchnią morza, nikt nie da wam za niego złamanego grosza. Jestem tu wprawdzie jako przedstawiciel i radca prawny Płazów — wołał doktor Carvalho — i muszę bronić *ich interesów*, ale jestem człowiekiem jak i wy, panowie, i dobro ludzi leży mi na sercu nie mniej niż wam. Dlatego radzę wam, nie, zaklinam was: sprzedawajcie lądy, dopóki nie jest za późno! Możecie je sprzedawać w całości albo poszczególnymi krajami. Chief Salamander, którego wielkoduszny sposób myślenia jest dziś już wszystkim znany, zobowiązuje się, że podczas przyszłych koniecznych zmian powierzchni ziemi będzie w miarę możliwości oszczędzał życie ludzi. Zalewanie lądów będzie się odbywało stopniowo i tak, żeby nie doszło do paniki lub niepotrzebnych katastrof. Jesteśmy upoważnieni do rozpoczęcia negocjacji, czy to z prześwietną światową konferencją jako całością, czy też z poszczególnymi państwami. Obecność tak wybitnych prawników jak profesor van Dott czy *maître* Julien Rosso Castelli może być dla was gwarancją, że niezależnie od słusznych interesów naszych klientów Płazów, będziemy ramię w ramię z wami bronić tego, co jest nam wszystkim najdroższe: ludzkiej kultury i dobra całej ludzkości.

W nieco przygnębiającej atmosferze zajęto się kolejną propozycją: aby Salamandrom udostępnić do zatopienia środkowe Chiny. Za to Płazy zobowiązałyby się, że po wieczne czasy zagwarantują nienaruszalność wybrzeży państw europejskich i ich osad.

Doktor Rosso Castelli:

— Po wieczne czasy to trochę długo. Powiedzmy na dwanaście lat.

Profesor van Dott:

— Środkowe Chiny to trochę mało. Powiedzmy, prowincje Nganhuei, Honan, Kiangsu, Či-li i Föng-tien.

Japoński przedstawiciel zaprotestował przeciwko odstąpieniu prowincji Föng-tien, która leży w sferze zainteresowań Japonii. Chiński delegat zabrał głos, ale niestety nikt go nie rozumiał. Na sali obrad zapanował rosnący chaos. Była już pierwsza w nocy.

Wówczas wszedł do sali sekretarz delegacji włoskiej i szepnął coś do ucha włoskiemu przedstawicielowi, hrabiemu Tosti. Hrabia Tosti zbladł, powstał i nie bacząc na to, że chiński delegat, doktor Ti mówił dalej, zawołał ochrypłym głosem:

— Panie przewodniczący, proszę o głos. Dostałem właśnie wiadomość, że Płazy zatopiły w morzu część naszej prowincji weneckiej aż do Portogruaro.

Nastała straszliwa cisza, tylko chiński delegat mówił dalej.

— Przecież Chief Salamander dawno was ostrzegał — mruczał doktor Carvalho.

Profesor van Dott niecierpliwie poruszył się w fotelu i podniósł rękę.

— Panie przewodniczący, może wrócilibyśmy do rzeczy. Mowa jest o prowincji Föng-tien. Jesteśmy upoważnieni, by zaproponować japońskiemu rządowi rekompensatę w złocie. Pozostaje kwestia tego, co dadzą naszym klientom zainteresowane państwa za likwidację Chin.

W tej chwili nocni radioamatorzy słuchali programu radia Płazów. „Usłyszeliście przed chwilą barkarolę z *Opowieści Hoffmanna* — skrzeczał *speaker*. — Halo, halo, a teraz łączymy się z włoską Wenecją".

A potem słychać było tylko ponury i bardzo głośny szum jakby wzbierających wód.

10. Povondra bierze winę na siebie

Starość

Kto by pomyślał, że upłynęło tyle wody i lat! Nasz Povondra nie jest już odźwiernym w domu G. H. Bondego. Jest teraz poczciwym staruszkiem, który może w spokoju spożywać owoce swego długiego i aktywnego życia w postaci niskiej emeryturki. Ale na co by wystarczyło tych parę stówek przy tej wojennej drożyźnie! Dobrze, że jeszcze od czasu do czasu człowiek złapie jakąś rybkę. Siedzi w łódce z kijem w ręku i patrzy — ileż tej wody w ciągu dnia upłynie i skąd się jej tyle bierze! Czasem się złapie na wędkę ukleja, czasem okoń. Tych ryb jest teraz jakoś więcej, może dlatego, że rzeki są dziś o tyle krótsze. Taki okoń też nie jest zły. Na oko same ości, ale mięso trochę przypomina w smaku migdały. A mamuśka umie je przyrządzać. Povondra nawet nie wie, że mamuśka zwykle pali pod jego okoniami tymi wycinkami, które kiedyś zbierał i segregował. Co prawda Povondra porzucił to zbieranie, gdy przeszedł na emeryturę. Za to urządził sobie akwarium, gdzie obok złotych karpików hodował małe traszki i salamandry. Patrzył na nie całymi godzinami, jak leżą bez ruchu w wodzie albo wyłażą na brzeg, który im zrobił z kamyków. Potem kręcił głową, mówiąc: „Kto by się tego po nich spodziewał, mamuśko!". Ale człowiek nie wytrzyma, patrząc tylko, dlatego Povondra zaczął wędkować. „Co robić, mężczyźni zawsze muszą mieć jakiegoś konika — myślała pobłażliwie Povondrowa. — Lepsze to niż gdyby chodził do gospody i politykował".

To prawda, dużo, bardzo dużo tej wody upłynęło. Franek też już nie jest uczniakiem wkuwającym geografię ani młodzieńcem zdzierającym skarpetki bieganiem za marnościami tego świata. To też już starszy pan. Chwała Bogu, jest urzędnikiem na poczcie — a jednak na coś mu się to przydało, że tak sumiennie uczył się geografii.

„Zaczyna już nabierać rozumu — myśli Povondra, kierując swoją łódkę trochę niżej pod most Legii. — Przyjdzie dziś do mnie. Jest niedziela i nie pracuje. Wezmę go na łódkę i popłyniemy w górę, aż pod Strzelecką Wyspę. Tam ryby lepiej biorą. I Franek mi powie, co piszą w gazetach. A potem pójdziemy do domu, na Vyszehrad, synowa przyprowadzi dzieci...".

Pan Povondra przez chwilę oddawał się spokojnemu szczęściu dziadka. Cieszył się, że Marzenka za rok już pójdzie do szkoły, a mały Franek, czyli wnuczek, już waży trzydzieści kilo. Povondra ma mocne, głębokie przekonanie, że wszystko jest w wielkim i dobrym porządku.

W tej chwili zauważył nad wodą syna, który machał do niego ręką. Povondra przybił do brzegu.

— Już dawno powinieneś tu być — skarcił go. — I uważaj, żebyś nie wpadł do wody!

— Biorą? — zapytał syn.

— Niezbyt — mruknął staruszek. — Popłyniemy wyżej, nie?

Jest piękne niedzielne popołudnie. To jeszcze nie ta pora, kiedy ci durnie i wałkonie wracają do domów z meczu piłki nożnej i tym podobnych bzdur. Praga jest pusta i cicha. Tych paru ludzi, którzy przechadzają się po nabrzeżu, nigdzie się nie spieszy i kroczy powoli i dostojnie. Są to rozumni ludzie, którzy nie gromadzą się i nie wyśmiewają z wełtawskich wędkarzy.

— No więc co piszą w gazetach? — zapytał Povondra z ojcowską surowością.

— Zupełnie nic, tato — odparł syn. — Przeczytałem tylko, że te Płazy już są niedaleko Drezna.

— To mają Niemcy przerąbane — skonstatował stary pan. — Wiesz, Franku, ci Niemcy to był bardzo dziwny naród. Wykształcony, ale dziwny. Znałem jednego Niemca, był szoferem w jakiejś fabryce. To był strasznie gburowaty człowiek. Ale wóz miał pierwsza klasa, to prawda. Patrzcie państwo, to Niemcy już też zniknęły z mapy świata — zadumał się Povondra. — A tak się dawniej puszyli! To było straszne: tylko armia i tylko wojsko... Szkoda gadać, Płazom nawet Niemiec nie da rady. Wiesz, że ja te Płazy znam. Pamiętasz, jak ci je pokazywałem, gdy byłeś mały?

— Niech tata uważa — powiedział syn. — Ryba bierze.

Koniec świata

— To tylko śliz — mruknął staruszek i poruszył kijem. „No proszę, Niemcy też — pomyślał sobie. — Cóż, człowiek się już niczemu nie dziwi. Ile kiedyś było krzyku, gdy te Płazy zatopiły jakiś kraj! Choćby to była tylko Mezopotamia albo Chiny, w gazetach było o tym pełno. Dziś już się tym tak nie przejmują — dumał melancholijnie Povondra, mrużąc oczy nad swą wędką. — Człowiek się przyzwyczaja, co robić. U nas ich nie ma, więc co? Gdyby tylko nie było takiej drożyzny! Na przykład, ile dziś chcą za kawę... Prawda, Brazylia już też zniknęła w głębinach. Czuje się to w sklepach, kiedy kawał świata poszedł na dno!".

Spławik Povondry zatańczył na łagodnych falkach. „Ile tego te Płazy już zalały morzem — wspominał w myślach starszy pan. — Egipt i Indie, i Chiny... Ani Rosji nie oszczędziły. A taki to był wielki kraj, ta Rosja! Kiedy człowiek pomyśli, że Morze Czarne rozciąga się teraz aż w górę, do północnego kręgu polarnego... ileż to wody! Mocno nam już te lądy poobgryzały! Dobrze chociaż, że tak wolno im to idzie...".

— Mówisz — odezwał się staruszek — że te Płazy są już pod Dreznem?

— Szesnaście kilometrów od Drezna. Już prawie cała Saksonia będzie pod wodą.

— Byłem tam kiedyś z panem Bondym — mówił ojciec Povondra. — To był bardzo bogaty kraj, Franku, ale żeby tam można było dobrze zjeść, to nie powiem. Za to pod innymi względami to byli bardzo dobrzy ludzie, lepsi niż Prusacy. Gdzież tam, tego się nawet nie da porównać.

— Prus już też przecież nie ma.

— Wcale się nie dziwię — wycedził starszy pan. — Ja Prusaków nie lubię. Ale Francuzi mają teraz dobrze, skoro kolej na Niemców. Odpoczną sobie.

— Nie bardzo, tato — zaoponował Franek. — Przedwczoraj pisali w gazetach, że jedna trzecia Francji jest już pod wodą.

— Ach — westchnął staruszek. — U nas, znaczy u pana Bondego, był pewien Francuz, służący, Miał na imię Jean. Ten był pies na kobiety, że aż wstyd. Wiesz, taka lekkomyślność może się zemścić.

Wojna, Historia, Wizja

— Ale dziesięć kilometrów od Paryża podobno te Płazy pobili — poinformował Franek. — Ponoć miały tam jakieś podkopy, które Francuzi wysadzili w powietrze. Mówią, że rozbili tam dwie dywizje Płazów.

— Francuzi to dobrzy żołnierze — zauważył Povondra ze znajomością rzeczy. — Ten Jean też nie dał sobie nic powiedzieć. Nie wiem, skąd się to u niego brało. Pachniał jak w drogerii, ale gdy się bił, to się bił. Ale dwie dywizje Płazów to mało. Tak sobie myślę — zadumał się staruszek — że z ludźmi potrafili ludzie lepiej walczyć. I nie trwało to tak długo. Z tymi Płazami to już się ciągnie dwanaście lat, i ciągle nic, tylko przygotowywanie lepszych pozycji. Za moich młodych lat to bywały bitwy! Tu trzy miliony ludzi i tam trzy miliony — pokazywał staruszek, aż się łódka zakołysała. — I jak to na siebie ruszyło... To nie jest żadna porządna wojna — złościł się ojciec Povondra. — Ciągle tylko same betonowe barykady, ale żeby jakiś atak na bagnety, to nie. Gdzież tam!

— Kiedy ludzie nie mogą bić się z Płazami, tato — bronił młody Povondra nowoczesnego sposobu walki. — Przecież nie da się walczyć na bagnety w wodzie.

— Właśnie — burknął Povondra z pogardą. — Oni nie mogą porządnie się bić. Ale puść ludzi przeciw ludziom, a zobaczysz, co potrafią. Zresztą, co wy wiecie o wojnie!

— Żeby tylko nie dotarła aż tutaj — odezwał się Franek trochę nieoczekiwanie. — Wiesz, tato, jak ma człowiek dzieci...

— Jak to, tutaj! — rzucił staruszek poirytowany. — Masz na myśli Pragę?

— W ogóle do nas, do Czech — powiedział młody Povondra zmartwiony. — Skoro Płazy są już pod Dreznem...

— Idź ty, mądralo — skarcił go ojciec. — Jak by się tu dostały? Przez te nasze góry?

— Chociażby Łabą... a potem dalej Wełtawą.

Ojciec Povondra parsknął zgorszony.

— Łabą, też coś! To by mogły tylko do Podmokel, dalej już nie. Tam są, chłopcze, same skały. Byłem tam. Skądże, tu się Płazy nie dostaną. My się mamy dobrze. I Szwajcarzy też. To jest bajeczna korzyść, że nie mamy żadnego morskiego wybrzeża. Kto ma dziś dostęp do morza, ten jest w biedzie.

— Ale skoro teraz morze sięga aż do Drezna...

— Tam są Niemcy — oświadczył staruszek sceptycznie. — To jest ich sprawa. Ale do nas Płazy nie mogą się dostać, to rzecz oczywista. Musiałyby najpierw usunąć te skały, a nie masz pojęcia, ile by z tym było roboty!

— Roboty, roboty... — zaoponował zachmurzony młody Povondra. — Po to one są. Przecież wiesz, tato, że w Gwatemali zdołały zatopić cały łańcuch górski.

— To co innego — odparł zdecydowanie staruszek. — Nie pleć bzdur, Franku! To było w Gwatemali, a nie u nas. Tu są całkiem inne warunki.

Młody Povondra westchnął.

— Skoro tak uważasz, tato... Ale jak sobie człowiek pomyśli, że te potwory już zatopiły mniej więcej jedną piątą wszystkich lądów...

— Nad morzem, ty torbo, ale nie gdzie indziej. Nie znasz się na polityce. Te państwa, które leżą nad morzem, prowadzą z nimi wojnę, ale my nie. My jesteśmy neutralnym państwem, dlatego nas nie mogą zaatakować. Tak się rzeczy mają. I nie gadaj bez przerwy, bo nic nie złapię.

Nad wodą było cicho. Drzewa na Wyspie Strzeleckiej rzucały już długie, delikatne cienie na powierzchnię Wełtawy. Na moście dzwonił tramwaj, po nabrzeżu spacerowały nianie z wózkami i zacni, odświętnie ubrani ludzie.

— Tato — szepnął młody Povondra niemal jak wtedy, kiedy był jeszcze dzieckiem.

— O co chodzi?

— Czy to nie sum, o, tam?

— Gdzie?

Z Wełtawy dokładnie naprzeciw Teatru Narodowego wystawała z wody duża, czarna głowa i posuwała się powoli pod prąd.

— Czy to sum? — powtórzył Povondra junior.

Staruszek upuścił wędkę.

— To? — wykrztusił, ukazując trzęsącym się palcem. — To?

Czarna głowa zniknęła pod wodą.

— To nie był sum, Franku — powiedział staruszek jakimś nieswoim głosem. — Chodźmy do domu. To koniec.

— Jaki koniec?

— Jaszczur. To znaczy, że są już i tutaj. Chodźmy do domu — powtórzył, składając drżącymi rękami wędkę. — To jest koniec.

— Cały się trzęsiesz — wystraszył się Franek. — Co ci jest?

— Chodźmy do domu — bełkotał zdenerwowany staruszek, a jego broda trzęsła się żałośnie. — Jest mi zimno. Zimno mi. Tego nam tylko brakowało. Wiesz, to koniec. Więc one już tu są. Psiakrew, ale zimno! Chciałbym już do domu.

Młody Povondra spojrzał na niego badawczo i złapał za wiosła.

— Odprowadzę cię, tato — powiedział też jakby nie swoim głosem i silnymi uderzeniami wioseł popychał łódkę w kierunku wyspy. — Zostaw, ja ją przywiążę.

— Czemu jest tak zimno? — dziwił się starszy pan, szczękając zębami.

— Pomogę ci, tylko chodź już — nakłaniał go młody i chwycił ojca pod ramię. — Chyba się przeziębiłeś nad wodą. To był tylko kawał drewna.

Stary pan trząsł się jak osika.

— Kawał drewna, aha... Nie wmawiaj mi takich rzeczy. Ja wiem najlepiej, co to Płazy. Puść!

Povondra junior zrobił coś, czego nie zrobił dotąd nigdy w życiu: machnął na taksówkę.

— Na Vyszehrad — powiedział i wepchnął ojca do auta. — Odwiozę cię. Zrobiło się późno.

— Pewnie, że późno — szczękał zębami ojciec Povondra. — Bardzo późno. To już koniec, Franku. To nie był kawał drewna. To są one.

Młody Povondra musiał niemal wnieść ojca po schodach do domu.

— Niech mama pościeli łóżko — szepnął pospiesznie w drzwiach. — Musimy tatę położyć, bo nam się rozchorował.

Przykryli ojca Povondrę pierzyną. Nos mu się jakoś dziwnie wydłużył, a wargi jakby coś przeżuwały i mamrotały niezrozumiale. Wyglądał bardzo, ale to bardzo staro. Po chwili trochę się uspokoił.

— Lepiej ci, tato?

W nogach łóżka Povodrowa pociągała nosem i ukrywała zapłakaną twarz w fartuchu. Synowa rozpaliła w piecu, a dzieci, Franek i Marzenka, wpatrywały się w dziadka szeroko otwartymi oczami, jakby go nie poznawały.

— Może wezwać lekarza, tato?

Ojciec Povondra spojrzał na dzieci i coś wyszeptał. I nagle z oczu popłynęły mu łzy.

— A może miałbyś na coś ochotę?

— To moja wina, moja wina — szeptał staruszek. — Żebyś wiedział, że to wszystko moja wina. Gdybym wtedy nie wpuścił tego kapitana do pana Bondego, nie byłoby tego wszystkiego...

— Przecież nic się nie stało — uspokajał go młody Povondra.

— Nic nie rozumiesz — sapał staruszek. — Przecież to koniec. Koniec świata. Teraz morze dotrze i tutaj, skoro są tu te Płazy. A ja się do tego przyczyniłem. Nie powinienem był wpuszczać tego kapitana... Ludzie kiedyś powinni się dowiedzieć, kto był temu winien.

— Bzdura — odezwał się szorstko syn. — Nawet tak nie myśl, tato. Winni są temu wszyscy ludzie. Winne są państwa, winien jest kapitał... Wszyscy chcieli mieć tych Płazów jak najwięcej. My też wysyłaliśmy im broń i bóg wie co jeszcze... My wszyscy za to odpowiadamy.

Ojciec Povondra wiercił się niespokojnie.

— Kiedyś wszędzie było morze, i znowu tak będzie. To jest koniec świata. Mówił mi kiedyś pewien pan, że i pod Pragą było dno morza... Myślę, że wtedy to też była robota Płazów. Wiesz, nie powinienem był tego kapitana anonsować. Coś mi mówiło „nie rób tego"... Pomyślałem sobie jednak, że może da mi napiwek... ale nie dał. Człowiek niepotrzebnie zniszczy cały świat. — Staruszek przełykał coś jakby łzy. — Wiem, dobrze wiem, że koniec z nami. I wiem, że to moja wina...

— Może napiłbyś się herbaty, dziadziu? — zapytała współczująco młoda pani Povondrowa.

— Ja bym tylko chciał — wyszeptał staruszek — chciałbym tylko, żeby mi to te dzieci wybaczyły.

II. Autor rozmawia sam ze sobą

— Chcesz to tak zostawić? — odezwał się w tym miejscu wewnętrzny głos autora.

— Niby co? — zapytał pisarz trochę niepewnie.

— Pozwolisz Povondrze tak po prostu umrzeć?

— No... — bronił się autor — robię to niechętnie, ale... W końcu Povondra ma już swoje lata. Powiedzmy, że jest już dobrze po siedemdziesiątce.

— I pozwolisz mu się tak dręczyć? Nie powiesz mu nawet: „Dziadku, przecież nie jest aż tak źle, świat nie zginie z powodu Płazów i ludzkość ocaleje, niech pan tylko zaczeka, a dożyje pan tego"? Proszę cię, nie możesz nic dla niego zrobić?

— Może mu przyślę lekarza — zaproponował autor. — Staruszek ma pewnie gorączkę z nerwów. W tym wieku może jednak dostać z tego zapalenia płuc, ale może z Bożą pomocą przeżyje. Może będzie jeszcze huśtać Marzenkę na kolanach i wypytywać, czego się w szkole nauczyła... Pogodna starość. Boże, niech ma staruszek jeszcze pogodną starość!

— Ładnie mi pogodna — kpił wewnętrzny głos. — Będzie to dziecko przytulać starymi rękami i bać się, człowieku, bać się, że i ono będzie kiedyś uciekać przed huczącymi wodami, które nieodwracalnie zalewają cały świat. Będzie z przerażeniem marszczyć swe krzaczaste brwi i szeptać: „To ja zrobiłem, Marzenko, to moja wina". Posłuchaj, *naprawdę*

Literat, Wizja, Polityka, Koniec świata, Proroctwo

chcesz skazać całą ludzkość na zagładę?

Autor sposępniał.

— Nie pytaj mnie, co ja chcę. Myślisz, że to z mojej woli ludzkie lądy rozpadają się na kawałki? Myślisz, że chciałem takiego zakończenia? To jest po prostu logika wydarzeń. Czyż ja mogę w nią ingerować? Robiłem, co mogłem. Ostrzegałem ludzi zawczasu. Ten X to byłem po części ja. Mówiłem: „Nie dawajcie Płazom broni ani materiałów wybuchowych, porzućcie ten wstrętny handel z Salamandrami" i tak dalej. Sam wiesz, jak się to skończyło. Wszyscy mieli tysiące absolutnie słusznych ekonomicznych i politycznych argumentów, dlaczego jest to niemożliwe. Ja nie jestem politykiem ani ekonomistą, ja ich przecież nie mogę przekonywać. Co zrobić... świat pewnie zginie, zostanie zatopiony, ale stanie się tak przynajmniej z powszechnie akceptowanych przyczyn politycznych i ekonomicznych, przynajmniej dokona się to z pomocą nauki, techniki i opinii publicznej, przy użyciu całej ludzkiej pomysłowości! Żadna katastrofa kosmiczna, tylko same przyczyny natury państwowej, mocarstwowej, ekonomicznej i innej. Na to nie można nic poradzić.

Głos wewnętrzny milczał przez chwilę.

— A nie żal ci ludzkości?

— Poczekaj, nie tak szybko! Przecież nie musi zginąć cała ludzkość. Płazy potrzebują tylko więcej wybrzeży, żeby miały gdzie mieszkać i składać jaja. One pewnie zamiast zwartych lądów zrobią z suchej ziemi same długie makarony, żeby tych wybrzeży było jak najwięcej. Powiedzmy, że na tych pasach ziemi jacyś ludzie się utrzymają, co nie? I będą produkować metale i inne rzeczy dla Salamander. Płazy przecież nie mogą same pracować przy ogniu, wiesz przecież.

— A więc ludzie będą służyć Płazom.

— Będą, jeśli chcesz to tak nazywać. Będą po prostu pracować w fabrykach tak jak teraz, tylko będą mieć innych panów. Koniec końców, może nawet tak wiele się nie zmieni.

— I nie żal ci ludzkości?

— Na boga, daj mi spokój! Co mam zrobić? Przecież ludzie sami tego chcieli. Wszyscy chcieli mieć Płazy. Chciał je mieć handel, przemysł i technika, chcieli je politycy i wojskowi... I młody Povondra to mówił: wszyscy jesteśmy za to odpowiedzialni. Jakże nie byłoby mi żal ludzkości! Ale najbardziej było mi jej żal, kiedy widziałem, jak sama za wszelką cenę dąży do tej zagłady. Człowiekowi chce się krzyczeć, kiedy na to patrzy. Wrzeszczałby i wznosił obie ręce do nieba, jakby widział pociąg wjeżdżający na niewłaściwe tory. Teraz nie da się już tego powstrzymać. Płazy będą się dalej rozmnażać, będą nadal kruszyć stare lądy... Przypomnij sobie tylko, czego dowodził Wolf Meynert: że ludzie muszą zrobić miejsce Płazom i że dopiero Salamandry stworzą szczęśliwy, niepodzielony, homogeniczny świat.

Filozof, Obraz świata

— No wiesz, Wolf Meynert! Wolf Meynert jest intelektualistą. A znasz coś strasznego, zabójczego i bezsensownego, czym by jakiś intelektualista nie chciał odrodzić świata? Ech, dajmy temu spokój! Nie wiesz, co teraz robi Marzenka?

— Marzenka? Myślę, że bawi się na Vyszehradzie. „Musisz być cicho — powiedzieli jej — bo dziadek śpi". Więc nie wie, co ma robić i okropnie się nudzi.

— I co robi?

— Nie wiem. Prawdopodobnie stara się dosięgnąć czubkiem języka koniec nosa.

— No widzisz. A ty byś chciał dopuścić do nowego potopu świata?

— Przestań! Czy ja mogę czynić cuda? Niech się stanie, co się musi stać! Niech sprawy toczą się nieodwracalnym biegiem! To też jest swego rodzaju pociechą, że to, co się dzieje, dzieje się w zgodzie z dziejową koniecznością i prawem.

— A nie można by tych Płazów jakoś powstrzymać?

Koniec świata, Kondycja ludzka, Wróg

— Nie można. Jest ich za dużo. Trzeba zrobić dla nich miejsce.

— Nie dałoby się sprawić, żeby jakoś wymarły? Mogłyby na przykład ulec jakiejś chorobie albo degeneracji...

— To byłoby zbyt proste, bracie. Dlaczego Przyroda ma wciąż naprawiać to, co ludzie zepsuli? Więc nawet ty już nie wierzysz, że sami sobie pomogą? No widzisz, no widzisz. Znowu chcielibyście liczyć na to, że was ktoś albo coś uratuje! Coś ci powiem. Wiesz, kto jeszcze teraz, gdy już jedna piąta Europy jest zatopiona, dostarcza Płazom materiały

wybuchowe, torpedy i wiertarki? Wiesz, kto gorączkowo, dniem i nocą pracuje w laboratoriach, żeby znaleźć jeszcze skuteczniejsze maszyny i materiały do rozwalenia świata? Wiesz, kto pożycza Płazom pieniądze, kto finansuje ten Koniec Świata, ten cały nowy Potop?

— Wiem. Wszystkie fabryki. Wszystkie banki. Wszystkie państwa.

— No, więc widzisz. Gdyby były tylko Płazy przeciw ludziom, może dałoby się coś zrobić, ale ludzie przeciw ludziom... Tego się, człowieku, nie da powstrzymać.

— Poczekaj... Ludzie przeciw ludziom! Coś mi przyszło do głowy. Może mogłyby Płazy powstać przeciw Płazom.

— Płazy przeciw Płazom? Co masz na myśli?

— Skoro tych Salamander jest tak dużo, mogłyby na przykład posprzeczać się o jakiś kawałek wybrzeża, o jakąś zatokę czy coś. Potem już będą walczyć ze sobą o coraz dłuższe wybrzeża. Aż w końcu musiałyby walczyć o wybrzeża całego świata, nie? Płazy przeciw Płazom! Jak myślisz, czy to nie byłaby logika dziejowa?

— Ależ nie, to nie przejdzie. Płazy nie mogą walczyć z Płazami. To byłoby wbrew naturze. Płazy to przecież jeden gatunek.

Historia, Kondycja ludzka, Ambicja, Wróg, Wojna, Władza

— Ludzie to też jeden gatunek, człowieku. A jak widać, nie przeszkadza im to. Jeden gatunek, a o wszystko walczą! Już nawet nie o miejsce do życia, ale o władzę, o prestiż, o wpływy, o sławę i nie wiem, o co jeszcze! Czemu by Płazy też nie mogły walczyć ze sobą na przykład o prestiż?

— Po co miałyby to robić? Co by z tego miały?

— Nic, chyba tylko to, że jedne miałyby tymczasowo więcej wybrzeży i większą władzę niż inne. A po jakimś czasie znowu by się to odwróciło.

— A czemu jedne miałyby mieć więcej władzy od innych? Przecież wszystkie są jednakowe, wszystkie są Płazami. Wszystkie mają taki sam szkielet, są równie brzydkie i równie przeciętne. Czemu miałyby się nawzajem mordować? Powiedz mi, w imię czego miałyby ze sobą walczyć?

— Zostaw je tylko same sobie, a jakiś powód na pewno się znajdzie. Spójrz, jedne żyją na zachodnim wybrzeżu, a inne na wschodnim. Będą się ścierać na przykład w imię walki Zachodu ze Wschodem. Tu masz europejskie Salamandry, a tam na dole afrykańskie. Byłoby dziwne, gdyby prędzej czy później jedne nie chciały być czymś więcej niż drugie! Pójdą im to udowodnić w imię cywilizacji, ekspansji czy bóg wie czego. Zawsze znajdą jakieś ideowe czy polityczne racje, dla których Płazy z jednego wybrzeża będą musiały wymordować Płazy z drugiego wybrzeża. Salamandry są cywilizowane tak jak my, człowieku. Nie zabraknie im mocarstwowych, ekonomicznych, prawnych, kulturalnych czy innych argumentów.

— I mają broń. Nie zapominaj, że są świetnie uzbrojone.

— Tak, mają mnóstwo broni. Widzisz więc. Byłoby dziwne, gdyby nie nauczyły się od ludzi, jak się tworzy historię!

— Poczekaj, moment! — (Autor podniósł się gwałtownie i zaczął szybkim krokiem przemierzać gabinet). — Fakt, byłoby to dziwne! Już to widzę. Wystarczy popatrzeć na mapę świata... Do diabła, gdzie jest jakaś mapa świata?!

— Mam ją przed oczami.

— To dobrze. Tutaj jest Ocean Atlantycki z Morzem Śródziemnym i Północnym. Tu jest Europa, a tu Ameryka... Więc tu jest kolebka kultury i nowożytnej cywilizacji. Gdzieś tutaj jest zatopiona stara Atlantyda...

— A teraz tam Płazy zatapiają nową Atlantydę.

— Właśnie. A tutaj masz Ocean Spokojny i Indyjski. Stary, tajemniczy Orient, bracie. Kolebka ludzkości, jak powiadają. Tu gdzieś, na wschód od Afryki jest zatopiona mityczna Lemuria. Tutaj jest Sumatra, a kawałek na zachód od niej...

— ...wysepka Tana Masa. Kolebka Płazów.

— Tak. I tam rządzi King Salamander, duchowy przywódca Jaszczurów. Tu jeszcze żyją *tapa-boys* kapitana van Tocha, pierwotne, pacyficzne, półdzikie Płazy. To po prostu ich Orient, rozumiesz. Ten cały obszar nazywa się teraz Lemuria, podczas gdy ten drugi region, cywilizowany, zeuropeizowany i zamerykanizowany, nowoczesny i rozwinięty pod względem technicznym, to Atlantyda. Tam dyktatorem jest Chief Salamander, wielki

Kondycja ludzka, Władza

zdobywca, technik i żołnierz, Czyngis-chan Płazów i burzyciel lądów. Wielka osobowość, człowieku.

— (...posłuchaj, on naprawdę jest Płazem?)

— (...nie, Chief Salamander jest człowiekiem. Naprawdę nazywa się Andreas Schulze i podczas wojny światowej był gdzieś podoficerem).

— (Ach, to dlatego!)

— (No jasne. Teraz już wiesz). Zatem tu jest Atlantis, a tam Lemuria. Ten podział ma uzasadnienie geograficzne, administracyjne, kulturowe...

— ...i narodowe. Nie zapominaj o względach narodowych. Lemuryjskie Salamandry mówią *Pidgin English*, natomiast atlantyckie *Basic English*.

— No dobrze. W ciągu doby przedostają się Atlantydzi byłym Kanałem Sueskim do Oceanu Indyjskiego...

— Naturalnie. Klasyczna droga na wschód.

— Dokładnie. Natomiast lemuryjskie Płazy pchają się przez Przylądek Dobrej Nadziei na zachodnie wybrzeże byłej Afryki. Twierdzą bowiem, że do Lemurii należy *cała* Afryka.

— Oczywiście.

— Hasło: „Lemuria dla Lemurów. Precz z obcymi" i tym podobne. Między Atlantydami i Lemurianami pogłębia się przepaść nieufności i odwiecznej nieprzyjaźni. Nieprzyjaźni na śmierć i życie.

— Czyli stają się Narodami.

— Tak. Atlantydzi gardzą Lemurianami i nazywają ich brudnymi dzikusami. Lemurianie zaś fanatycznie nienawidzą atlantydzkich Płazów, widząc w nich imperialistów, zachodnie diabły i gwałcicieli starego, czystego, pierwotnego „jaszczurstwa". Chief Salamander domaga się koncesji na wybrzeżach Lemurii, ponoć w interesie rozwoju eksportu i cywilizacji. Czcigodny starzec King Salamander, choć niechętnie, musi się zgodzić, jest bowiem gorzej uzbrojony. W zatoce rzeki Tygrys, niedaleko dawnego Bagdadu, pojawia się iskra zapalna: lemuryjscy tubylcy napadają na koncesję Atlantydów i zabijają dwóch oficerów, rzekomo z powodu jakiejś obrazy narodowej. W następstwie tego...

— ...dochodzi do wojny. No, oczywiście.

— Tak, dochodzi do wojny światowej Płazów z Płazami.

— W imię Kultury i Prawa.

— I w imię Istoty Bycia Płazem. W imię narodowej Sławy i Wielkości. Pod hasłem: „My albo oni!" Lemurianie, uzbrojeni w malajskie krisy i sztylety joginów, wyrżną bez litości antlantydzkich agresorów. Za to bardziej postępowi, europejsko wykształceni Atlantydzi wpuszczą do mórz Lemurii chemiczne trucizny i kultury zabójczych bakterii z takim powodzeniem, że zatrują w ten sposób wszystkie oceany świata. Morze zostanie skażone sztucznie wyhodowaną zarazą. I to będzie koniec, człowieku. Jaszczury wyginą.

— Wszystkie?

— Wszystkie, co do jednego. Będzie to wymarły gatunek. Zostanie po nich tylko ten stary odcisk z Öhningen *Andriasa Scheuchzeri*.

— A co z ludźmi?

— Ludzie? Ach, prawda, ludzie. No, zaczną powoli wracać z gór na wybrzeża tego, co pozostanie z lądów. Ale ocean jeszcze długo będzie śmierdzieć rozkładającymi się Płazami. Z materiału naniesionego przez rzeki znowu utworzą się lądy. Morze krok po kroku ustąpi i wszystko będzie prawie tak jak dawniej. Powstanie nowa legenda o potopie świata, który zesłał Bóg za grzechy ludzi, a także o zatopionych mitycznych krajach, które podobno były kolebką ludzkiej kultury. Będzie się na przykład opowiadać bajki o jakiejś Anglii czy Francji albo o Niemczech...

— A potem?

— ...dalej już nie wiem.

Przypisy

1. *kampung* (indonez.-malaj.) — tradycyjna wioska rdzennej ludności w Brunei w Indonezji, Malezji i Singapurze. [przypis tłumacza]

2. *tuan* (malaj.) — pan. [przypis tłumacza]

3. *sahib* (arab.) — pan, władca; forma używana w językach indyjskich dla uhonorowania kogoś. [przypis tłumacza]

4. *djins* (ang.) — dżinny, dobre lub złe duchy w kulturze arabskiej. [przypis tłumacza]

5. *toddy* (ang.) — wino palmowe. [przypis tłumacza]

6. *furlong* — miara angielska równa 1/8 mili. [przypis tłumacza]

7. *Golombek i (…) Valenta* — Bedřich Golombek i Edvard Valenta to postaci autentyczne, popularni dziennikarze współpracujący z Čapkiem w redakcji dziennika „Lidové noviny". [przypis tłumacza]

8. *metrampaż* (z fr. *metteur en pages*: składający w stronice) — łamacz, składacz; daw. pracownik drukarni zajmujący się składem tekstu i grafik w kolumny i strony. [przypis edytorski]

9. *Welzl, Jan Eskymo* (1868–1948) — czeski podróżnik, łowca przygód, poszukiwacz złota i gawędziarz; jego opowieści zainspirowały kilku czeskich pisarzy; Golombek i Valenta opracowali literacko i wydali opowieści Welzla z okolic polarnych. [przypis tłumacza]

10. *damned Clipperton Island. A lot of damned islands* (ang.) — przeklęte Wyspy Clippertona. Wiele przeklętych wysp. [przypis tłumacza]

11. *Captain van Toch, he is as good as his word* (ang.) — Na słowie kapitana van Tocha można polegać jak na nim samym. [przypis tłumacza]

12. *my lad* (ang.) — mój chłopcze. [przypis tłumacza]

13. *Consulado de la Republica Ecuador* (hiszp.) — prawdopodobnie chodzi o funkcję Konsula Honorowego Republiki Ekwadoru. [przypis tłumacza]

14. *Very glad to meet you, Captain. Please, come in* (ang.) — Bardzo mi miło pana spotkać, kapitanie. Proszę wejść. [przypis tłumacza]

15. *Captain of Long Distances* (ang.) — Kapitan Żeglugi Wielkiej. [przypis tłumacza]

16. *A highseaer. East India and Pacific Lines, sir* (ang.) — Kapitan wolnych mórz. Linie Indie Wschodnie i Pacyfik, panie. [przypis tłumacza]

17. *equator* (ang.) — równik. [przypis tłumacza]

18. *mollusk* (ang.) — mięczak. [przypis tłumacza]

19. *jelly-fish* (ang.) — meduza. [przypis tłumacza]

20. *YMCA* (z ang. *Young Men's Christian Association*: Związek Chrześcijańskiej Młodzieży Męskiej) — międzynarodowa organizacja ekumeniczna propagująca wartości chrześcijańskie. [przypis tłumacza]

21. *overdeck, lowerdeck* (ang.) — górny i dolny pokład. [przypis tłumacza]

22. *rycerz Schillera, który wszedł do klatki lwa po rękawiczkę swej damy* — chodzi o balladę Fryderyka Schillera *Rękawiczka*. [przypis tłumacza]

23. *Trader Horn* (ang.) — Kupiec Horn, barwny film amerykański z 1931 r., opowiadający o przygodach tytułowego kupca Horna, który ratuje jasnowłosą dziewczynę wziętą do niewoli przez plemię afrykańskich dzikusów. [przypis tłumacza]

24. *subretka* (daw., z fr.) — pokojówka, służąca. [przypis edytorski]

25. *przeddyluwialny* a. *predyluwialny* (z łac.) — przedpotopowy. [przypis edytorski]

26. *Andrias Scheuchzeri* — wymarły gatunek gigantycznej salamandry z miocenu, pierwotnie opisany jako skamieniałość dawnego człowieka z czasów potopu; czasem utożsamiany ze współczesnym gatunkiem wielkiej salamandry. [przypis tłumacza]

27. *Annie Laurie* — stara szkocka piosenka (ballada), której tekst bazuje na wierszu Williama Douglasa (ok. 1682–1748) z Dumfriesshire i opowiadającym o romansie poety z dziewczyną o tymże nazwisku (Annie Laurie, 1682–1764); słowa zostały nieco zmodyfikowane, a melodia autorstwa Alicii Scott dodana w roku 1834/5; piosenka znana jest również pod tytułem *Maxwelton Braes*. [przypis edytorski]

28. *Mae West*, właśc. West, Mary Jane (1893–1980) — amerykańska aktorka filmowa i teatralna, piosenkarka, dramatopisarka, scenarzystka i komiczka; w latach 30. XX wieku była symbolem seksu, a jednocześnie skandalistką, swoim stylem bycia na scenie, na ekranie i w życiu prywatnym oraz w swoich sztukach teatralnych przełamującą kolejne tematy tabu. [przypis edytorski]

29. *Willkomen* (niem.) — witajcie. [przypis edytorski]

30. *Ben venuti* (wł.) — witajcie. [przypis edytorski]

31. *Auf Wiedersehen* (niem.) — do zobaczenia. [przypis edytorski]

32. *divertissement* (fr.) — zabawa, rozrywka; także: wywodzące się z fr. kultury dworskiej XVII w. krótkie widowiska, np. baletowe lub o charakterze mieszanym, pokazywane np. w antrakcie sztuk teatralnych czy operowych. [przypis edytorski]

33. *loco* (łac.: miejsce) — daw. formuła handlowa stosowana w Polsce i krajach sąsiednich oznaczająca, że sprzedający wydaje towar przewoźnikowi podstawionemu przez kupującego w wyznaczonym miejscu, najczęściej w magazynie sprzedającego; obecnie zastąpiona formułą EXW (ang. *Ex Works*: z zakładu). [przypis edytorski]

34. *abbé* (fr.) — ksiądz. [przypis edytorski]

35. *milieu* (fr.) — środowisko. [przypis edytorski]

36. *animal faber* (łac.) — dosł. zręczne zwierzę, zwierzę twórcze; tu: analogia do terminu homo faber. [przypis tłumacza]

37. *halerz* — daw. drobna moneta czeska; przen. grosz. [przypis edytorski]

38. *Historia Płazów* — por. G. Kreuzmann, *Geschichte der Molche*; Hans Tietze, *Der Molch des XX. Jahrhunderts*; Kurt Wolff, *Der Molch und das deutsche Volk*; Sir Herbert Owen, *The Salamanders and the British Empire*; Giovanni Focaja, *L'evoluzione degli anfibii durante il Fascismo*; Léon Bonnet, *Les Urodèles et la Société des Nations*; S. Madariaga, *Las Salamandras y la Civilización* i wiele innych. [przypis autorski]

39. *epoce historycznej, której nastanie G. H. Bondy ogłosił na pamiętnym walnym zgromadzeniu Kompanii Eksportowej Pacyfiku w swych proroczych słowach o rozpoczynającej się utopii* — por. *Inwazja jaszczurów*, Księga I, rozdział 12. [przypis autorski]

40. *mierzyć wydarzeń historycznych stuleciami ani dekadami, (…) ale kwartałami, w których ukazują się kwartalne statystyki gospodarcze* — Świadectwem tego niech będzie pierwszy wycinek ze zbiorów Povondry:

    Rynek płazów

    (ČTK) Według ostatnich danych, które opublikował Salamander-Syndicate pod koniec kwartału, sprzedaż Płazów wzrosła o trzydzieści procent. W ciągu trzech miesięcy dostarczono prawie siedemdziesiąt milionów Płazów, zwłaszcza do Ameryki Południowej i Środkowej, Indochin i włoskiej Somalii. W najbliższym czasie przygotowywane jest pogłębianie i poszerzanie Kanału Panamskiego, oczyszczenie portu w Guayaquil i usunięcie niektórych mielizn i czapek tektonicznych w Cieśninie Torresa. Tylko te prace oznaczałyby według przybliżonych szacunków przemieszczenie dziewięciu miliardów metrów sześciennych ziemi. Budowa dużych wysp, które stanowić będą bazy lotnicze linii Madera–Bermudy, ma się rozpocząć dopiero wiosną przyszłego ro-

ku. Zasypywanie wysp w archipelagu Marianów w strefie japońskiej postępuje; dotychczas uzyskano osiemset czterdzieści tysięcy akrów nowego, tzw. lekkiego lądu pomiędzy wyspami Tinian i Saipan. Ze względu na rosnący popyt cena Płazów jest bardzo stabilna i kształtuje się w granicach: *Leading* 61, *Team* 620. Zapasy są wystarczające. [przypis autorski]

41. *Syndykat Płazów (…) zdobywał dla Salamander nowe kontynenty i nowe wybrzeża, pokonując przy tym liczne przeszkody hamujące tę ekspansję* — O takich przeszkodach świadczy na przykład ta informacja, wycięta z gazety bez daty:

Czy Anglia zamyka się przed płazami?

(Reuter) Na pytanie członka Izby Gmin Mr J. Leedsa odpowiedział dziś sir Samuel Mandeville, że rząd Jego Wysokości zamknął Kanał Sueski dla wszelkich transportów Płazów; dalej — że nie zamierza dopuścić do tego, by choćby jeden Płaz był zatrudniony na wybrzeżu albo na wodach terytorialnych Wysp Brytyjskich. Powodem podjęcia takich kroków, oświadczył sir Samuel, jest z jednej strony bezpieczeństwo Wysp Brytyjskich, z drugiej zaś obowiązywanie dawnych przepisów dotyczących zwalczania handlu niewolnikami.

Na pytanie członka Parlamentu Mr B. Russela sir Samuel odpowiedział, że to stanowisko nie dotyczy jednak brytyjskich dominiów i kolonii.

[przypis autorski]

42. *Płazy zostały zaopatrzone w podwodne pistolety z nabojami dum-dum do obrony przed drapieżnymi rybami* — używano do tego niemal powszechnie pistoletów, które wynalazł inż. Mirko Šafránek, a produkowały je zakłady Zbrojovka w Brnie. [przypis autorski]

43. *gdzieniegdzie kręgi konserwatywne ostro sprzeciwiały się wprowadzaniu na rynek nowych sił roboczych, upatrując w nich nieuczciwą konkurencję dla ludzkiej pracy* — Por. poniższą wiadomość dziennikarską:

Ruch strajkowy w Australii (Havas)

Przywódca australijskich związkowców Harry Mac Namara ogłasza strajk generalny wszystkich pracowników portowych, komunikacji, elektrowni i innych. Organizacje związkowe żądają bowiem, żeby przywóz pracujących Płazów do Australii był ściśle limitowany, zgodnie z przepisami emigracyjnymi. W przeciwieństwie do tego australijscy farmerzy domagają się, żeby import Płazów został uwolniony, gdyż dzięki potrzebie ich wyżywienia znacznie wzrasta zbyt miejscowej kukurydzy i tłuszczów zwierzęcych, zwłaszcza owczego łoju. Rząd dąży do kompromisu. Syndykat Płazów proponuje, że będzie płacił organizacjom związkowym sześć szylingów za każdego przywiezionego Płaza. Rząd jest skłonny zagwarantować, że Płazy będą pracować wyłącznie w wodzie i że (ze względów obyczajowych) nie wynurzą się z niej bardziej niż na 40 centymetrów, czyli do piersi. Związkowcy obstają jednak przy 12 centymetrach i żądają za każdego Płaza opłaty w wysokości dziesięciu szylingów, oprócz podatku rejestracyjnego. Wydaje się, że dojdzie do porozumienia za pośrednictwem Skarbu Państwa.

[przypis autorski]

44. *dochodziło do nieporozumień innego rodzaju* — Por. ciekawy dokument ze zbiorów Povondry:

Płazy ratują 36 tonących

(Od naszego specjalnego korespondenta)

Madras, 3 kwietnia

W tutejszym porcie parowiec „Indian Star" zderzył się z łodzią przewożącą około czterdziestu tubylców, która natychmiast zatonęła. Zanim można było wysłać łódź policyjną, na pomoc pospieszyły Płazy pracujące przy usuwaniu szlamu z portu i wyniosły na brzeg trzydziestu sześciu tonących. Jedna Salamandra sama wyciągnęła z wody trzy kobiety i dwoje dzieci. W nagrodę za ten bohaterski czyn Płazy dostały pisemne podziękowanie od miejscowych władz w nieprzemakalnym pudełku.

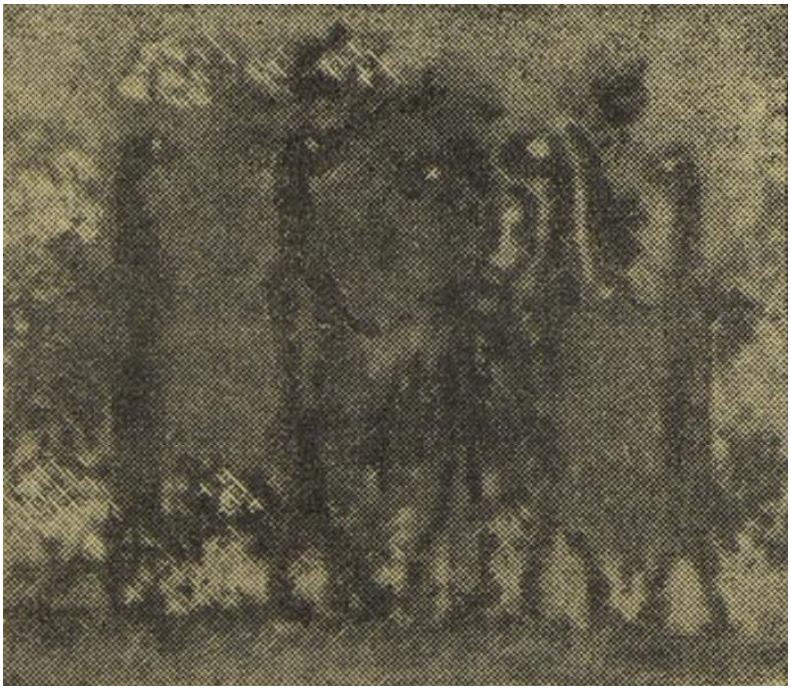

Tymczasem tamtejsi mieszkańcy są skrajnie oburzeni tym, że Płazy pozwoliły sobie dotknąć tonących osób z wyższych kast. Uważają oni bowiem Płazy za stworzenia nieczyste i nietykalne. W porcie zgromadziło się kilka tysięcy tubylców domagających się usunięcia Płazów z portu. Policja utrzymuje jednak porządek; zaledwie trzy osoby zginęły, a sto dwadzieścia zostało zatrzymanych. O dziesiątej wieczorem przywrócono spokój. Salamandry pracują dalej.

[przypis autorski]

45. *instalowanie Salamander na wszystkich kontynentach witano na ogół z żywym zainteresowaniem, a nawet z entuzjazmem* — Por. poniższy, szalenie ciekawy wycinek, niestety w nieznanym języku i w efekcie tego niemożliwy do przetłumaczenia:

Saht na kchri te salaamander bwtat

Saghr gwan t'lap ne Salaam Ander bwtati og t'cheni berchi ne Simbwana m'bengwe ogandi sűkh na moď moď opwana Salaam Ander sri m'oana gwen's. Og di limbw, og di bwtar na Salaam Ander kchri p'che ogandi p'we o'gwandi te ur maswâli sűkh? Na, ne ur lingo t'Islamli kcher oganda Salaam Andriaa ashti. Bend op'tonga kchri Simbwana mędh, salaam!.

[przypis autorski]

46. *Centrum owego handlu i swego rodzaju giełdą Płazów był Salamander Building w Singapurze* — Por. obszerny i obiektywny opis, sygnowany inicjałami e. w., z 5 października:

S-Trade

Singapur, 4 października. Leading 63. Heavy 317. Team 648. Odd Jobs 26, 35. Trash 0,08. Spawn 80–132.

Taką informację może czytelnik znaleźć codziennie w rubryce swojej gazety między telegramami z ceną bawełny, cyny lub pszenicy. Czy wiecie jednak, co oznaczają te zagadkowe liczby i słowa? No tak, handel Płazami czyli S-Trade. Ale jak ten handel naprawdę wygląda, o tym większość czytelników ma dosyć mgliste pojęcie. Prawdopodobnie wyobrażają sobie wielki targ rojący się tysiącami Płazów, gdzie przechadzają się kupcy w tropikalnych nakryciach głowy, oglądają oferowany towar i w końcu wskazują palcem na dobrze rozwiniętą, zdrową, młodą Salamandrę, mówiąc: „Chciałbym kupić tę sztukę. Ile kosztuje?".

W rzeczywistości giełda Płazów wygląda zupełnie inaczej. W singapurskiej marmurowej siedzibie S-Trade nie zobaczycie ani jednego Płaza, a jedynie uprzejmych i eleganckich urzędników w białych ubraniach, przyjmujących telefoniczne zlecenia. „Tak, proszę pana. *Leading* kosztuje sześćdziesiąt trzy. Ile? Dwieście sztuk? Dobrze, proszę pana. Dwadzieścia *Heavy* i sto osiemdziesiąt *Team*. *Okey*, rozumiem. Statek wypływa za pięć tygodni. *Right*? *Thank you, sir*". Cały pałac S-Trade huczy od rozmów telefonicznych. Sprawia on raczej wrażenie urzędu albo banku, niż jakiegoś targu. A jednak ten biały, szlachetnie wyglądający budynek z jońskimi kolumnami od frontu jest targiem bardziej światowym niż bagdadzki bazar za czasów Haruna ar-Raszída.

Wróćmy jednak do cytowanej informacji na temat notowań giełdowych, z jej handlowym żargonem. *Leadings* to są po prostu specjalnie wybrane, inteligentne, z reguły trzyletnie Płazy, starannie przyuczone do tego, by zostać dozorcami i kierownikami w koloniach robotniczych Płazów. Sprzedawane są pojedynczo, bez względu na wagę ich ciała; ceni się jedynie ich inteligencję. Singapurskie *Leadings*, mówiące dobrą angielszczyzną, uważane są za pierwszorzędne i najbardziej spolegliwe. Sporadycznie oferowane są także inaczej oznaczone kierownicze Płazy, na przykład tak zwani *Capitanos*, Inżynierzy, *Malayan Chiefs*, *Foremanders* i inne, ale *Leadings* są cenione najwyżej. Dzisiaj ich cena oscyluje w okolicach sześćdziesięciu dolarów za sztukę.

Heavies to cięższe, bardziej atletycznie zbudowane, zazwyczaj dwuletnie Płazy, których waga waha się od stu do stu dwudziestu funtów. Sprzedawane są jedynie w drużynach (tzw. *bodies*) po sześć osobników. Są wyćwiczone do najcięższych prac fizycznych, jak kruszenie kamieni, usuwanie skał i tym podobnych. Jeśli w przytoczonej informacji jest napisane „*Heavy* 317", oznacza to, że za drużynę (*body*) składającą się z sześciu ciężkich Płazów trzeba zapłacić trzysta siedemnaście dolarów. Na każdą drużynę przypada z reguły jeden *Leading* jako kierownik i nadzorca.

Teams to zwykłe pracujące Płazy o wadze od osiemdziesięciu do stu funtów, które są sprzedawane wyłącznie w zespołach (teamach) po dwadzieścia sztuk. Są przeznaczone do prac zespołowych i używa się ich chętnie do bagrowania, budowania nasypów albo tam i tym podobnych rzeczy. Na każdy *team* liczący dwudziestu osobników przypada jeden *Leading*.

Odd Jobs są klasą samą dla siebie. Są to Płazy, które z różnych powodów nie przeszły zbiorowego i specjalistycznego szkolenia, na przykład dlatego, że dorastały poza wielkimi, fachowo zarządzanymi jaszczurczymi farmami. Są to właściwie na wpół dzikie, ale często bardzo uzdolnione Płazy. Kupuje się je po jednej sztuce albo po tuzinie i używa się do różnych prac pomocniczych lub drobniejszych zadań, do których nie warto odkomenderowywać całych drużyn czy zespołów. Jeśli *Leadings* możemy uważać za elitę wśród Płazów, to *Odd Jobs* stanowią coś w rodzaju drobnego proletariatu. W ostatnim czasie są chętnie kupowane jako jaszczurczy surowiec, który poszczególni przedsiębiorcy dalej hodują i dzielą na *Leadings*, *Heavies*, *Teams* lub *Trash*.

Trash czyli śmieci (odpadki) to mniej wartościowe, słabe albo niepełnosprawne Płazy, których nie sprzedaje się pojedynczo ani w określonych partiach, lecz zbiorowo na wagę, zwykle całymi dziesiątkami ton; kilogram żywej wagi kosztuje dzisiaj od siedmiu do dziesięciu centów. Nie wiadomo właściwie, do czego służą i w jakim celu są kupowane — może do jakichś lżejszych prac w wodzie. Żeby nie doszło do nieporozumienia, przypominamy, że Płazy są dla ludzi niejadalne. Ten *Trash* kupują niemal na pniu chińscy handlarze; dokąd je wywożą, nie wiadomo.

Spawn to po prostu narybek Płazów, a dokładniej rzecz biorąc, kijanka maksymalnie roczna. Sprzedaje i kupuje się je całymi setkami i cieszą się one dużym popytem, głównie dlatego, że są tanie i ich transport jest najmniej kosztowny. Dopiero na miejscu dostawy hoduje się je nadal do czasu, aż będą zdolne do pracy. *Spawn* transportuje się w beczkach, bowiem kijanki nie opuszczają wody, tak jak to muszą czynić codziennie dorosłe Płazy. Często bywa tak, że ze *Spawn* wyrastają jednostki niezwykle uzdolnione, przewyższające nawet standardowy typ *Leading*. Dzięki temu handel narybkiem bywa szczególnie interesujący. Najbardziej uzdolnione Płazy sprzedawane są potem po kilkaset dolarów za sztukę. Amerykański milioner Denicker zapłacił nawet dwa tysiące dolarów za Płaza, który płynnie mówił dziewięcioma językami, i polecił przetransportować go specjalnym statkiem do Miami; sam transport kosztował prawie dwadzieścia tysięcy dolarów. Ostatnimi czasy narybek Płazów jest chętnie kupowany dla tak zwanych stajni, gdzie wybiera się i trenuje szybkie, sportowe Płazy. Zaprzęga się je potem trójkami do płytkich łodzi w kształcie muszli. Zawody muszli ciągniętych przez Płazy są obecnie bardzo modne i stanowią ulubioną zabawę młodych Amerykanek w Palm Beach, Honolulu czy na Kubie; noszą one nazwę *Triton-Races* albo Regaty Wenus. W lekkiej, ozdobnej muszli, ślizgającej się po powierzchni morza, stoją zawodniczki w jak najpiękniejszych i najbardziej powabnych strojach kąpielowych i trzymają w rękach jedwabne lejce potrójnego zaprzęgu Płazów. Rywalizuje się o tytuł Wenus. Mr J. S. Tinker, zwany Królem Konserw, kupił dla swej córeczki zaprzęg zawodniczych Płazów — Posejdona, Hengista i King Edwarda za co najmniej trzydzieści sześć tysięcy dolarów. To wszystko jednak wykracza już poza ramy właściwego S--Trade, który ogranicza się do tego, że dostarcza całemu światu solidnych pracujących *Leadings*, *Heavies* i *Teams*.

Wspomnieliśmy już o farmach Płazów. Niech czytelnik nie wyobraża sobie ogromnych stajni hodowlanych i zagród. Jest to kilka kilometrów pustego wybrzeża, na którym są rozrzucone domki z blachy falistej. Jeden domek jest przeznaczony dla weterynarza, jeden dla kierownika, a pozostałe dla personelu dozorującego. Dopiero podczas odpływu widać, że od brzegu biegną w morze długie tamy, dzielące wybrzeże na kilka basenów. Jeden jest dla narybku, drugi dla klasy *Leading* i tak dalej. Każdy rodzaj jest karmiony i ćwiczony oddzielnie, w nocy. Po zmierzchu Płazy wychodzą ze swych nor na brzeg i gromadzą się wokół nauczycieli; są to zazwyczaj emerytowani żołnierze. Najpierw jest lekcja mówienia. Nauczyciel odczytuje Płazom słowa, na przykład „kopać", i wyjaśnia im obrazowo ich znaczenie. Potem ustawia je czwórkami i uczy maszerować. Teraz następuje półgodzinna gimnastyka i odpoczynek w wodzie. Po przerwie Płazy uczą się obchodzenia z różnymi narzędziami i bronią, po czym mniej więcej przez trzy godziny, pod nadzorem nauczycieli, wykonują praktyczne zajęcia z zakresu budownictwa wodnego. Później wracają do wody i są karmione specjalnymi sucharami, które zawierają głównie mąkę kukurydzianą i łój; *Leadings* i *Heavies* są dokarmiane mięsem. Leni-

stwo i nieposłuszeństwo karze się pozbawieniem jedzenia, innych kar cielesnych nie ma; zresztą wrażliwość Salamander na ból jest znikoma. Wraz ze wschodem słońca na farmach Płazów nastaje martwa cisza. Ludzie idą spać, a Płazy znikają pod wodą.

Ten bieg rzeczy zmienia się w ciągu roku tylko dwa razy. Raz w okresie parzenia, gdy Płazy przez czternaście dni są pozostawione same sobie, i powtórnie — gdy na farmę przypływa statek Syndykatu Płazów i przywozi kierownikowi polecenia, ile Płazów poszczególnych klas ma zostać zabranych. Rekrutacja odbywa się w nocy; oficer okrętowy, kierownik farmy i weterynarz siedzą przy stoliku z lampą, podczas gdy dozorcy i załoga statku zamykają Salamandrom odwrót do morza. Potem jeden Płaz za drugim podchodzi do stolika i zostaje uznany za zdatnego lub nie. Wybrane Płazy wsiadają następnie do łodzi, które odwożą je na statek. Robią to na ogół dobrowolnie, to znaczy na sam ostry rozkaz; tylko czasem trzeba użyć delikatnej przemocy, jaką jest związanie. *Spawn* czyli narybek jest łowiony za pomocą sieci.

Podobnie w sposób humanitarny i higieniczny odbywa się transport Płazów na statku-cysternie; co drugi dzień wymienia się im pompami wodę w basenach i są one obficie karmione. Śmiertelność podczas transportu wynosi poniżej dziesięciu procent. Na życzenie Towarzystwa Ochrony Zwierząt na każdym tankowcu obecny jest kapelan okrętowy, który czuwa nad ludzkim traktowaniem Salamander i co noc wygłasza do nich kazanie, w którym zaszczepia im w sercach zwłaszcza szacunek do ludzi oraz pełne wdzięczności posłuszeństwo i miłość w stosunku do ich przyszłych pracodawców, którzy nie pragną niczego innego, jak tylko po ojcowsku troszczyć się o ich pomyślność. Oczywiście bardzo trudno jest wytłumaczyć Płazom, na czym polega ojcowska troska, nie znają one bowiem pojęcia ojcostwa. Wśród bardziej wykształconych Salamander przyjęło się nazywać kapelanów okrętowych Papa Płaz. Bardzo sprawdziły się także filmy edukacyjne, za pomocą których pokazuje się Płazom podczas transportu z jednej strony cuda ludzkiej techniki, z drugiej zaś ich przyszłe prace i obowiązki.

Są ludzie, którzy skrót S-Trade (*Salamander-Trade*) tłumaczą jako *Slave-Trade*, czyli handel niewolnikami. Otóż, jako bezstronni obserwatorzy możemy powiedzieć, że gdyby dawny handel niewolnikami był tak dobrze zorganizowany i tak doskonale pod względem higienicznym prowadzony jak dzisiejszy handel Płazami, moglibyśmy niewolnikom tylko gratulować. Zwłaszcza droższe Salamandry traktuje się bardzo przyzwoicie i oszczędnie, już choćby dlatego, że kapitan i załoga statku ręczą swoim wynagrodzeniem za życie powierzonych im Płazów. Autor tego artykułu był świadkiem, jak bardzo nawet ci najtwardsi marynarze na tankowcu Syndykatu Płazów byli przejęci, gdy dwieście czterdzieści pierwszorzędnych Płazów w jednym zbiorniku dostało ostrej biegunki. Chodzili im się przyglądać z oczami niemal pełnymi łez i dawali swym ludzkim uczuciom ujście we właściwy sobie szorstki sposób: „Diabli nam te ścierwa nadali!".

[przypis autorski]

47. *dzikie odłowy Płazów milcząco uważano za naturalną regulację ich populacji* — Przytaczamy autentyczny ówczesny opis:

Piraci XX wieku

E. E. K.

Była jedenasta wieczorem, gdy kapitan naszego statku kazał ściągnąć banderę i spuścić łodzie. Noc była księżycowa, tonąca w srebrzystej poświacie. Wysepka, ku której płynęliśmy, nazywała się bodaj Gardner Island w archipelagu Feniksa. Podczas takich księżycowych nocy Płazy wychodzą na brzeg i tańczą. Możecie do nich podejść i nie usłyszą was, tak są pochłonięte swym zbiorowym, niemym tańcem. Było nas dwudziestu, wyszliśmy na brzeg z wiosłami w rękach i rozwinięci w tyralierę zaczęliśmy półokręgiem otaczać ciemną gromadę rojącą się na plaży w księżycowym świetle.

Trudno opisać wrażenie, jakie wywołuje taniec Płazów. Jakieś trzysta zwierząt siedzi na tylnych nogach w absolutnie symetrycznym okręgu, zwróconych czołem do środka; środek okręgu jest pusty. Płazy nie poruszają się, są jakby zamarłe. Wygląda to jak okrągła palisada wokół jakiegoś tajemniczego ołtarza; ale nie ma tu żadnego ołtarza ani żadnego bóstwa. Nagle jedno ze zwierząt mlaśnie „ts-ts-ts" i zaczyna kołysać górną połową ciała. Ten posuwisty ruch przenosi się coraz dalej i po kilku sekundach wszystkie Płazy kołyszą górną połową tułowia, nie ruszając się przy tym z miejsca, coraz szybciej, bezdźwięcznie, coraz bardziej frenetycznie, w szalonym i upojnym wirze. Po jakimś kwadransie słabnie jeden Płaz, po nim drugi i trzeci, kołyszą się jeszcze przez chwilę wyczerpane i zamierają. Znowu wszystkie siedzą bez ruchu jak posągi. Po chwili gdzie indziej rozlega się ciche „ts-ts-ts", inny Płaz zaczyna się wić i jego taniec przenosi się naraz na cały krąg. Wiem, że ten opis wygląda bardzo mechanicznie; ale dodajcie do tego kredowe światło księżyca i regularny, długi szum przypływu. Miało to w sobie coś niesłychanie magicznego i w jakimś sensie zaklętego. Przystanąłem ze ściśniętym gardłem, z mimowolnym uczuciem grozy i przerażenia. „Człowieku, ruszaj się — krzyknął na mnie najbliższy sąsiad — bo zrobisz dziurę!".

Zacieśnialiśmy nasz pierścień wokół tanecznego kręgu zwierząt. Mężczyźni trzymali wiosła w poprzek i mówili półgłosem, raczej dlatego, że była noc, niż żeby Płazy nie mogły ich usłyszeć. „Do środka, biegiem!" — zawołał dowodzący oficer. Podbiegliśmy do tego wirującego kręgu. Wiosła z głuchym rąbnięciem uderzyły w grzbiety Salamander. Dopiero teraz Płazy

się wystraszyły, cofały się do środka albo próbowały prześlizgnąć się między wiosłami do morza, ale uderzenia wioseł odrzucały je z powrotem, skrzeczące z bólu i strachu. Popychaliśmy je żerdziami do środka, stłoczone, spychane, włażące jeden na drugiego. Dziesięciu mężczyzn zamykało je w ogrodzeniu z wioseł, a dziesięciu innych szturchało i młóciło wiosłami po tych, które próbowały podejść albo przebiec. Był to jeden wielki kłąb czarnego wijącego się, skrzeczącego w dezorientacji mięsa, na które spadały mocne razy. Potem otwarła się luka pomiędzy dwoma wiosłami; wyślizgnął się przez nią Płaz, który został ogłuszony ciosem pałką w grzbiet; po nim drugi i trzeci, aż leżało ich tam chyba ze dwadzieścia. „Zamknąć!" — rozkazał oficer i luka między wiosłami zamknęła się. Bully Beach i mieszaniec Dingo chwycili do każdej ręki nogę jednego ogłuszonego Płaza i wlekli je po piasku do łodzi jak worki. W pewnym momencie jedno z wleczonych ciał uwięzło między kamieniami; wówczas marynarz ze złością szarpnął gwałtownie i noga się urwała. „To nic — burknął stary Mike, który stał koło mnie — ona mu, człowieku, odrośnie". Gdy nawrzucali ogłuszone Płazy do łodzi, oficer rozkazał sucho: „Przygotujcie następne!". I znowu spadały ciosy pałką na grzbiety Płazów. Ten oficer nazwiskiem Bellamy był wykształconym, spokojnym człowiekiem, znakomitym szachistą; ale to było polowanie albo raczej interes, nie było więc mowy o jakichś skrupułach. W ten sposób złowiono przeszło dwieście zamroczonych Płazów. Mniej więcej siedemdziesiąt ich tam zostało, prawdopodobnie martwych i niewartych załadunku.

Na statku schwytane Płazy wrzucono do zbiorników. Nasz statek był starym tankowcem do transportu ropy naftowej; źle wyczyszczone zbiorniki śmierdziały naftą, a powierzchnia wody była tłusta i tęczowa; tylko pokrywy były odsunięte, żeby mogło się tam dostać powietrze. Gdy nawrzucali do nich Płazy, zrobiło się tam gęsto i obrzydliwie. Wyglądało to jak jakaś zupa z makaronem. Miejscami cała ta zawartość poruszała się słabo i żałośnie. W ciągu dnia zostawiło się Płazy w spokoju, żeby mogły dojść do siebie. Nazajutrz przyszło czterech mężczyzn z długimi drągami i szturchali nimi tę „zupę" (fachowo naprawdę mówi się na to *soup*). Mieszali w tej gęstwinie ciał i obserwowali, które się nie poruszają albo z których odpada mięso; te nabijali na długie haki i wyciągali ze zbiorników. „Czy zupa jest czysta?" — zapytał potem kapitan. „Tak, panie kapitanie". „Dolejcie do niej wody!". „Tak jest, panie kapitanie". To czyszczenie „zupy" musiało się odbywać codziennie. Za każdym razem wyrzucano do morza od sześciu do dziesięciu sztuk „zepsutego towaru", jak to nazywano. Naszemu statkowi wiernie towarzyszyła kawalkada wielkich, najedzonych do syta rekinów. W pobliżu zbiorników śmierdziało okropnie; mimo regularnego jej wymieniania, woda w kadziach była żółta, upstrzona odchodami i rozmoczonymi sucharami; w niej ospale pluskały się bądź leżały bez ruchu czarne, ciężko oddychające ciała. „Tutaj mają się dobrze — twierdził stary Mike. — Widziałem statek, który woził je w blaszanych beczkach po benzolu. Wszystkie im wyzdychały".

Po sześciu dniach ładowaliśmy nowy towar na wyspie Nanomea.

Więc tak wygląda handel Płazami. Co prawda, mowa tu o handlu nielegalnym, a ściślej rzecz biorąc współczesnym piractwie, które rozkwitło niemal z dnia na dzień. Mówi się, że prawie jedna czwarta wszystkich sprzedawanych i kupowanych Płazów jest łowiona w ten sposób. Istnieją wylęgarnie, które nie są warte tego, aby Syndykat Płazów utrzymywał tam stale farmy. Na mniejszych wyspach Pacyfiku Płazy rozmnożyły się tak, że stały się wręcz ciężarem. Tubylcy ich nie lubią i twierdzą, że przekopują swoimi korytarzami całe wyspy. Dlatego zarówno urzędy kolonialne, jak i sam Syndykat przymykają oczy na te rabunkowe napady na siedliska Płazów. Przyjmuje się, że istnieje około czterystu pirackich okrętów, które zajmują się tylko łupieniem Płazów. Oprócz drobnych przedsiębiorców to współczesne piractwo uprawiają całe towarzystwa okrętowe, z których największe to Pacific Trade Company z siedzibą w Dublinie; jego prezesem jest szanowny pan Charles B. Harriman. Przed rokiem warunki pracy w tej branży były nieco gorsze. Wówczas pewien chiński bandyta imieniem Teng z trzema statkami napadał wprost na farmy Syndykatu i nie cofał się nawet przed wymordowaniem ich personelu, jeśli ten stawiał mu opór. W listopadzie minionego roku ów Teng ze swą małą flotą został ostrzelany przez amerykańską kanonierkę „Minnetonka" u wybrzeża Midway Island. Od tego czasu piractwo, którego ofiarami padały Płazy, przybrało mniej dzikie formy i cieszy się stałym rozkwitem, ponieważ uzgodniono pewne warunki, na jakich je w milczeniu tolerowano, na przykład: że przy napaści na obce wybrzeże zostanie zdjęta z masztu bandera rodzimego państwa; że pod pretekstem piractwa nie będzie prowadzony eksport ani import innych towarów; że złowione Płazy nie będą sprzedawane po cenach dumpingowych i będą oznaczane w handlu jako towar drugiej jakości. Płazy w nielegalnym handlu sprzedawane są po dwadzieścia, dwadzieścia dwa dolary za sztukę. Uważane są za niższy wprawdzie, ale bardzo mocny gatunek z tego powodu, że przeżyły straszne traktowanie na pirackich okrętach. Szacuje się, że taki transport przeżywa przeciętnie dwadzieścia pięć do trzydziestu procent złapanych Płazów, ale te, które przetrwały, wytrzymają niejedno. W żargonie handlowym nazywa się je *Maccaroni* i ostatnimi czasy uwzględnia się je także w regularnych raportach handlowych.

Dwa miesiące później grałem w szachy z panem Bellamy w holu hotelu „France" w Sajgonie. Wtedy nie byłem już jednak najemnym marynarzem.

— Panie Bellamy — powiedziałem do niego — jest pan przyzwoitym człowiekiem i, jak to się mówi, dżentelmenem. Czy nie czuje pan czasem, że wbrew pańskiej naturze służy pan czemuś, co jest w istocie najpodlejszym niewolnictwem?

Bellamy wzruszył ramionami.

— Płazy to płazy — mruknął wymijająco.

— Przed dwustu laty mówiono, że Murzyni to Murzyni.

— A czy nie była to prawda? — odparł Bellamy. — Szach!

Tę partię przegrałem. Miałem nagle wrażenie, że każdy ruch na szachownicy został już kiedyś przez kogoś zrobiony. Może i nasza historia była już kiedyś rozegrana, a my przesuwamy nasze figury takimi samymi posunięciami ku takim samym porażkom jak kiedyś. Może właśnie taki przyzwoity i cichy Bellamy chwytał kiedyś Murzynów na Wybrzeżu Kości Słoniowej i woził ich na Haiti albo do Luizjany, pozwalając im zdychać w ładowni. Nie wydało mu się to niczym złym. Bellamy nie ma nigdy złych intencji. Dlatego jest niereformowalny.

— Czarne przegrały — powiedział Bellamy z zadowoleniem i wstał, przeciągając się.

[przypis autorski]

48. *nauka, która natychmiast zwróciła uwagę na badanie Płazów zarówno od strony cielesnej, jak i duchowej* — Przytaczamy sprawozdanie z kongresu naukowego w Paryżu, napisane przez naocznego świadka.

I. Congrès d'urodèles

W skrócie nazywa się go Kongresem Płazów Ogoniastych, choć jego oficjalna nazwa jest nieco dłuższa: Pierwszy Międzynarodowy Kongres Zoologów dla Badań Psychologii Płazów Ogoniastych. Jednakże prawdziwy paryżanin nie lubi zbyt długich nazw. Ci uczeni profesorowie, którzy zasiadają w amfiteatrze Sorbony, są dla niego po prostu *Messieurs les Urodèles*, panowie płazy ogoniaste, i tyle. Albo jeszcze krócej i bardziej lekceważąco: *Ces Zoos-là*.

Poszliśmy więc popatrzeć na *Ces Zoos-là* bardziej z ciekawości niż ze sprawozdawczego obowiązku. Z ciekawości, która nie dotyczyła uniwersyteckiego potencjału tych na ogół starszych okularników, lecz właśnie owych... stworów (czemu pióro wzbrania się przed słowem „zwierząt"?), o których już tyle napisano, począwszy od grubych ksiąg naukowych, po bulwarowe przyśpiewki, i które są rzekomo — według niektórych — dziennikarskim humbugiem, według innych istotami pod wieloma względami zdolniejszymi niż sam pan stworzenia i jego koronne dzieło, jak jeszcze dzisiaj (pisząc to, mam na myśli okres po wojnie światowej i innych okolicznościach dziejowych) mówi się o człowieku. Miałem nadzieję, że szacowni panowie uczestnicy Kongresu dla Badań Psychologii Płazów Ogoniastych dadzą nam, laikom, jasną i ostateczną odpowiedź, jak ma się rzecz z tymi legendarnymi zdolnościami *Andriasa Scheuchzeri*; że powiedzą nam: tak, to jest stworzenie rozumne albo przynajmniej tak dalece zdolne do korzystania z dobrodziejstw cywilizacji, jak wy czy ja; dlatego w przyszłości należy się z nim liczyć, tak jak należy liczyć się z przyszłością ludzkich ras niegdyś uważanych za dzikie i prymitywne. Niestety, żadna taka odpowiedź, ba — nawet pytanie o to na kongresie nie padły. Dzisiejsza nauka jest zbyt... profesjonalna, żeby zajmować się tego rodzaju problemami.

A zatem dowiedzmy się czegoś o tym, co się określa naukowo życiem duchowym zwierząt. Ten wysoki pan z sumiastym wąsem czarnoksiężnika, który właśnie grzmi na podium, to sławny profesor Dubosque. Wydaje się, że zwalcza jakąś zwyrodniałą teorię któregoś z szanownych kolegów, ale ten fragment jego przemowy dociera do nas niezbyt wyraźnie. Dopiero po dłuższej chwili orientujemy się, że ten rozemocjonowany czarnoksiężnik mówi o postrzeganiu przez *Andriasa* kolorów i o jego zdolności rozróżniania rozmaitych odcieni kolorystycznych. Nie wiem, czy to dobrze zrozumiałem, ale odniosłem wrażenie, że *Andrias Scheuchzeri* jest być może ślepy na kolory, ale profesor Dubosque musi być strasznie krótkowzroczny, sądząc z tego, jak podnosił swe notatki aż pod same grube, złowrogo błyszczące szkła okularów. Potem przemawiał uśmiechnięty japoński uczony doktor Okagawa. Było to coś o krzywej reakcyjnej, a także o zjawiskach, jakie powstaną, gdy przetnie się jakąś ścieżkę sensoryczną w mózgu *Andriasa*. Potem opisywał, co *Andrias* robi, gdy zmiażdży mu się mechanizm odpowiadający błędnikowi u człowieka. Następnie profesor Rehmann szczegółowo wyjaśniał, jak reaguje *Andrias* na elektrowstrząsy. Później wywiązała się burzliwa dyskusja pomiędzy nim i profesorem Brucknerem. *C'est un type*, ten profesor Bruckner: mały, złośliwy i niesamowicie impulsywny. Stwierdził między innymi, że gdy idzie o zmysły, *Andrias* jest równie źle wyposażony jak człowiek i odznacza się takim samym ubóstwem instynktów. Z czysto biologicznego punktu widzenia jest to ponoć prawie tak samo schyłkowe zwierzę jak człowiek i podobnie jak on stara się swą biologiczną niższość zrekompensować tym, co zwie się intelektem. Wydaje się jednak, że inni naukowcy nie traktowali profesora Brucknera poważnie, może dlatego, że nie przecinał żadnych ścieżek sensorycznych i nie wysyłał do mózgu *Andriasa* żadnych wyładowań elektrycznych. Potem profesor van Dieten powoli i niemal z nabożeństwem opisywał, jakie zaburzenia pojawiają się u *Andriasa*, któremu usunięto prawy czołowy płat mózgowy albo zwój potyliczny po lewej stronie mózgu. Potem amerykański profesor Devrient wygłosił...

Wybaczcie, naprawdę nie wiem, co wygłosił, gdyż w tej chwili zaczęło chodzić mi po głowie, jakie zaburzenia mogłyby się pojawić u profesora Devrienta, gdybym usunął mu prawy czołowy płat mózgowy, jak by reagował uśmiechnięty doktor Okagawa, gdybym go drażnił prądem elektrycznym, i jak mógłby się zachowywać profesor Rehmann, gdyby ktoś zmiażdżył mu labirynt uszny. Poczułem również niepewność, jak to właściwie jest z mym rozróżnianiem kolorów albo z czynnikiem „t" w moich reakcjach motorycznych. Męczyła mnie wątpliwość, czy mamy (w sensie ściśle naukowym) prawo mówić o naszym (to znaczy ludzkim) życiu duchowym, jeśli nie wypatroszyliśmy sobie nawzajem zwojów mózgowych i nie przecięli ścieżek sensorycznych. Powinniśmy właściwie rzucić się na siebie ze skalpelami w rękach, żeby móc wzajemnie badać nasze życie duchowe. Jeśli o mnie chodzi, byłbym gotów w interesie nauki rozbić okulary profesora Dubosque'a albo razić elektrowstrząsami łysinę profesora Dietena, po czym opublikowałbym artykuł opisujący, jak na to reagowali. Prawdę mówiąc, potrafię to so-

bie dokładnie wyobrazić. Już nie tak dokładnie natomiast mogę sobie wyobrazić, co się działo przy takich eksperymentach w duszy *Andriasa Scheuchzeri*, ale wydaje mi się, że jest to niezmiernie cierpliwe i dobroduszne stworzenie. Żaden z tych przemawiających tęgich umysłów nie wspomniał o tym, żeby biedny *Andrias Scheuchzeri* kiedyś się wkurzył.

Nie wątpię w to, że Pierwszy Międzynarodowy Kongres Zoologów dla Badań Psychologii Płazów Ogoniastych okazał się wielkim sukcesem naukowym, lecz kiedy będę miał wolny dzień, pójdę do Jardin des Plantes wprost do basenu *Andriasa Scheuchzeri*, żeby powiedzieć mu po cichu: „Ty, Płazie, jeśli kiedyś nadejdzie twój dzień... żeby ci nie przyszło do głowy badać naukowo życia duchowego ludzi!".

[przypis autorski]

49. *Płazy (…) były stworzeniami bardzo (…) użytecznymi* — Użyteczność Płazów badał zwłaszcza hamburski uczony Wuhrman. Spośród jego artykułów napisanych na ten temat zacytujmy przynajmniej w skrócie jeden tekst.

Bericht über die somatische Veranlagung der Molche

(Raport na temat predyspozycji somatycznych płazów)

Eksperymenty, które przeprowadziłem na pacyficznej salamandrze olbrzymiej (*Andrias Scheuchzeri* Tschudi) w moim laboratorium w Hamburgu, miały ściśle określony cel: wypróbowanie odporności Płazów na zmiany środowiska i inne wpływy zewnętrzne, a przez to wykazanie ich praktycznej użyteczności w różnych rejonach geograficznych i w zmieniających się warunkach.

Pierwsza seria eksperymentów miała dać odpowiedź na to, jak długo Płaz wytrzyma bez wody. Zwierzęta doświadczalne umieszczano w suchych zbiornikach w temperaturze 40–50 °C. Po kilku godzinach wykazywały one widoczne zmęczenie; gdy zostały polane wodą, znowu ożywały. Po dwudziestu czterech godzinach leżały nieruchomo, poruszając jedynie powiekami; tętno spowolnione, wszelkie czynności fizyczne obniżone do minimum. Zwierzęta ewidentnie cierpią i najmniejszy ruch kosztuje je wiele wysiłku. Po trzech dniach nadchodzi stan kataleptycznego odrętwienia (kseroza); zwierzęta nie reagują, nawet gdy są przypalane elektrokauterem. Kiedy podnosi się wilgotność powietrza, zaczynają przejawiać pewne oznaki życia (zamykają oczy przed ostrym światłem itp.). Gdy wysuszony w ten sposób Płaz został po siedmiu dniach wrzucony do wody, ożył po upływie kolejnej doby; jednak przy dłużej trwającym wysuszeniu większość doświadczalnych zwierząt ginęła. Wystawione na bezpośrednie działanie słońca, giną już po kilku godzinach.

Inne zwierzęta doświadczalne zostały zmuszone do obracania w ciemności wałka w ekstremalnie suchym środowisku. Po trzech godzinach ich wydolność zaczęła maleć, ale wzrosła znowu po obfitym spryskaniu wodą. Przy często powtarzanym spryskiwaniu zwierzęta były zdolne kręcić korbą wałka siedemnaście, dwadzieścia, a w jednym przypadku dwadzieścia sześć godzin bez przerwy, podczas gdy człowiek biorący udział w tym eksperymencie był już po pięciu godzinach tej samej czynności znacznie wyczerpany. Na podstawie tych eksperymentów możemy wnioskować, że Płazy mogą być z powodzeniem wykorzystywane do pracy w suchym terenie, jednak pod dwoma warunkami: że nie są wystawione na bezpośrednie działanie słońca i że co jakiś czas spryskuje się je na całej powierzchni ciała wodą.

Druga seria eksperymentów dotyczyła odporności Płazów, zwierząt pierwotnie tropikalnych, na zimno. Przy gwałtownym ochłodzeniu wody ginęły na katar jelit, ale przy stopniowej aklimatyzacji do chłodniejszego środowiska szybko pojawiało się przyzwyczajenie. Po ośmiu miesiącach pozostawały aktywne nawet przy temperaturze wody 7°C, jeśli podawano im w pożywieniu więcej tłuszczu (15–20 dkg na głowę). Jeżeli temperatura wody została obniżona poniżej 5°C, popadały w odrętwienie (gelozę); w tym stanie Płazy mogły być zamrażane i przechowywane zamarznięte w bloku lodowym przez kilka miesięcy; gdy lód się roztopił i temperatura wzrosła powyżej 5 °C, zaczynały znowu przejawiać oznaki życia, a przy siedmiu, dziesięciu stopniach zaczynały energicznie szukać pożywienia. Na podstawie tego można sądzić, że Płazy mogą bardzo łatwo aklimatyzować się także w naszym klimacie, aż po północną Norwegię i Islandię. Dla polarnych warunków klimatycznych należałoby przeprowadzić dalsze eksperymenty.

Natomiast znaczną wrażliwość przejawiają Płazy na wpływy chemiczne; przy eksperymentach z mocno rozcieńczonym ługiem, ściekami fabrycznymi, odczynnikami garbarskimi itd. odpadała im skóra całymi płatami i zwierzęta doświadczalne ginęły wskutek jakiejś zgorzeli skrzeli. Dla naszych rzek Płazy są więc praktycznie bezużyteczne.

W następnym szeregu eksperymentów udało nam się stwierdzić, jak długo wytrzymują Płazy bez jedzenia. Mogą głodować trzy tygodnie i dłużej, bez widocznych oznak innych niż osłabienie. Jednego Płaza pozostawiłem bez jedzenia przez sześć miesięcy. Ostatnie trzy miesiące spał bez ruchu i bez przerwy. Kiedy mu potem wrzuciłem do zbiornika posiekaną wątróbkę, był tak słaby, że na nią nie reagował i musiał być karmiony sztucznie. Po kilku dniach jadł normalnie i można go było użyć do dalszych badań.

Ostatni cykl eksperymentów zajmował się zdolnościami regeneracyjnymi Płazów. Jeśli Płazowi utnie się ogon, w ciągu dwóch tygodni odrośnie mu nowy; w przypadku jednego Płaza powtarzaliśmy ten eksperyment siedmiokrotnie, z jednakowym rezultatem. Tak samo odrastają mu ucięte nogi. Jednemu zwierzęciu doświadczalnemu amputowaliśmy wszystkie cztery kończyny i ogon; po trzydziestu dniach był znowu cały. Jeżeli złamie się Płazowi kość udową albo

ramieniową, odpadnie mu cała złamana kończyna, a na jej miejscu wyrośnie nowa. Podobnie odrasta wyłupione oko albo odcięty język. Ciekawe, że Płaz, któremu uciąłem język, zapomniał mowy i musiał się jej nauczyć na nowo. Jeśli Płazowi amputuje się głowę lub przetnie się jego ciało pomiędzy szyją i kością biodrową, zwierzę ginie. Można mu natomiast usunąć żołądek, część jelit, dwie trzecie wątroby i inne organy, a jego funkcje życiowe nie zostaną zakłócone, tak że można powiedzieć, iż niemal wypatroszony żywcem Płaz jest zdolny do dalszego życia. Żadne inne zwierzę nie ma takiej odporności na jakiekolwiek zranienia jak właśnie Płaz. Pod tym względem mógłby być doskonałym, prawie niezniszczalnym zwierzęciem bojowym. Niestety, na przeszkodzie temu stoi jego pokojowość i naturalna bezbronność.

Oprócz tych eksperymentów mój asystent doktor Walter Hinkel badał wartość Płazów pod kątem przydatnych surowców. Stwierdził przede wszystkim, że ciało Płazów zawiera niezwykle wysoki procent jodu i fosforu; niewykluczone, że te ważne pierwiastki dałoby się w razie potrzeby wydobywać z nich na skalę przemysłową. Skóra Płazów, sama w sobie niedobra, może być mielona i prasowana pod wysokim ciśnieniem; uzyskana w ten sposób sztuczna skóra jest lekka, dosyć silna i mogłaby być substytutem skóry wołowej. Tłuszcz Płazów jest niejadalny ze względu na obrzydliwy smak, ale nadaje się jako smar techniczny, ponieważ zamarza dopiero w bardzo niskich temperaturach. Również mięso Płazów było uważane za niejadalne, a wręcz trujące; spożywane na surowo, wywołuje gwałtowne boleści, wymioty i halucynacje zmysłowe. Doktor Hinkel po przeprowadzeniu wielu eksperymentów, które wykonywał sam na sobie, stwierdził, że te szkodliwe działania znikają, jeśli pokrojone mięso sparzyć gorącą wodą (podobnie jak w przypadku niektórych muchomorów) i umieścić na dwadzieścia cztery godziny w słabym roztworze nadmanganianu potasu. Potem można je gotować albo dusić i smakuje ono jak niedobra wołowina. Zjedliśmy przyrządzonego w taki sposób Płaza, którego nazywaliśmy Hans. Było to wytresowane i inteligentne zwierzę ze szczególnym zmysłem do pracy naukowej. Pracowało na oddziale doktora Hinkela jako jego laborant i można mu było powierzyć także drobniejsze analizy chemiczne. Rozmawialiśmy z nim całymi wieczorami, bawiąc się jego nienasyconym pragnieniem zdobywania wiedzy. Z żalem musieliśmy naszego Hansa uśpić, ponieważ oślepł na skutek moich eksperymentów z trepanacją. Mięso tego Płaza było ciemne i gąbczaste, ale jego spożycie nie wywołało żadnych nieprzyjemnych następstw. Z pewnością w razie wojennej potrzeby mięso Płazów może być mile widzianym i tanim substytutem wołowiny.

[przypis autorski]

50. *Gdy tylko Płazy stały się powszednim zjawiskiem, zmieniła się, by tak rzec, ich problematyka* — Charakterystyczny dowód stanowi ankieta pisma „Daily Star" na temat: „Czy Płazy mają duszę?". Cytujemy z tej ankiety (jednak bez gwarancji autentyczności) kilka wypowiedzi wybitnych osobistości:

mój przyjaciel, wielebny H. B. Bertram i ja przez dłuższy czas obserwowaliśmy Salamandry przy budowie tamy w Adenie. Rozmawialiśmy z nimi również dwu albo trzykrotnie, ale nie zauważyliśmy u nich żadnej oznaki wyższych uczuć, takich jak Honor, Wiara, Patriotyzm albo Sportowy Duch. A co innego, pytam się, możemy słusznie nazywać duszą?"

Truly yours,

Colonel John W. Britton

„Nie widziałem nigdy żadnego Płaza, ale jestem przekonany, że stworzenia, które nie mają własnej muzyki, nie mają też duszy".

Toscanini

„Pozostawmy na boku kwestię duszy, ale, mogąc obserwować osobniki z gatunku *Andrias Scheuchzeri*, powiedziałbym, że nie mają one indywidualności; wydają się być wszystkie równie pracowite, równie zdolne — i równie pozbawione wyrazu. Jednym słowem odzwierciedlają pewien ideał nowoczesnej cywilizacji, a mianowicie Przeciętność".

Andrè d'Artois

„Zdecydowanie nie mają duszy. W tym podobne są do człowieka".

G. B. Shaw

„Wasze pytanie wprawia mnie w zakłopotanie. Wiem na przykład, że mój chiński piesek Bibi ma małą i śliczną duszę. Również moja perska kotka Sidi Hanum ma duszę, i to jaką wspaniałą i okrutną! A Płazy? Tak, te biedactwa są bardzo zdolne i inteligentne. Potrafią mówić, liczyć i być bardzo pożyteczne. Skoro jednak są takie brzydkie..."

Wasza Madeleine Roche

„Niech sobie będą Płazy, byleby nie były marksistami".

Kurt Huber

„Nie mają duszy. Gdyby ją miały, musielibyśmy pod względem ekonomicznym postawić ich na równi z człowiekiem, co byłoby absurdalne".

Henry Bond

„Nie mają za grosz seksapilu. Dlatego też nie mają duszy".

Mae West

„Mają duszę, jak każde stworzenie i każda roślina, jak wszystko, co żyje. Wielka jest tajemnica życia".

Sandrabharata Nath

„Mają ciekawą technikę i styl pływania. Możemy się od nich wiele nauczyć, zwłaszcza gdy idzie o pływanie na długich dystansach".

Johny Weissmüller

[przypis autorski]

51. *Mme Louise Zimmermann, dyrektorka pensjonatu dla dziewcząt w Lozannie (…)* — pierwowzorem tej postaci mogła być Marie-Louise Zimmermann-Asta z pracowni dydaktyki i epistemologii nauk uniwersytetu w Genewie, autorka m.in. rozprawy *Apprendre par l'autonomie*. [przypis tłumacza]

52. *w Beaulieu (pod Niceą) pierwsze liceum dla Płazów, w którym kijanki Salamander pracujących w Marsylii uczono francuskiego języka i literatury (…)* — Więcej na ten temat znaleźć można w książce *Mme Louise Zimmermann, sa vie, ses idées, son oeuvre* (Alcan). Cytujemy z tego dzieła pełne szacunku wspomnienie Płaza, który był jednym z jej pierwszych uczniów:

„Opowiadała nam bajki La Fontaine'a, siedząc przy naszym prostym, ale czystym i wygodnym zbiorniku. Cierpiała wprawdzie z powodu wilgoci, ale nie dbała o to, w pełni oddana swemu nauczycielskiemu powołaniu. Zwracała się do nas *mes petits Chinois*, bo podobnie jak Chińczycy nie umiałyśmy wymawiać głoski r. Po pewnym czasie jednak tak się do tego przyzwyczaiła, że sama wymawiała swe nazwisko Mme Zimmelmann. My, kijanki, uwielbiałyśmy ją. Te małe, które jeszcze nie miały rozwiniętych płuc i w konsekwencji tego nie mogły opuszczać wody, płakały, że nie mogą towarzyszyć jej podczas spacerów po szkolnym ogrodzie. Była taka łagodna i miła, że — o ile wiem — rozgniewała się tylko raz: to było wtedy, gdy nasza młoda nauczycielka historii w upalny dzień włożyła strój kąpielowy i weszła pomiędzy nas do zbiornika z wodą, gdzie opowiadała nam o walkach Holendrów w obronie wolności, siedząc po szyję w wodzie. Wówczas nasza droga Mme Zimmelmann naprawdę się rozgniewała: »Natychmiast proszę iść się wykąpać, *Mademoiselle*, ale to już!« — wołała ze łzami w oczach. Dla nas była to delikatna, ale zrozumiała lekcja, że nie należymy jednak do ludzi. Później byliśmy naszej duchowej matce wdzięczni, że nam tę świadomość zaszczepiła w sposób tak zdecydowany, a zarazem taktowny.

Jeśli się dobrze uczyłyśmy, czytała nam w nagrodę współczesną poezję, na przykład wiersze François Coppé [*Coppé, François* (1842–1908): popularny w swoim czasie francuski poeta i dramaturg; przyp. tłum.]. »To wprawdzie zbyt nowoczesne — mówiła — ale w końcu to też należy dzisiaj do dobrego wykształcenia«. Pod koniec roku szkolnego urządzano akademię, na którą był zapraszany pan prefekt z Nicei oraz inne dostojne osobistości. Najzdolniejsi i bardziej zaawansowani w nauce uczniowie, którzy mieli już płuca, byli suszeni przez woźnego i ubierani w białe togi. Potem przedstawiali za cienką kurtyną (żeby damy się ich nie przestraszyły) bajki La Fontaine'a, wzory matematyczne i kolejnych władców z dynastii Kapetyngów z odpowiednimi datami. Następnie pan prefekt w długiej i pięknej przemowie wyrażał wdzięczność i szacunek naszej drogiej pani dyrektor, na czym radosny dzień się kończył. Podobnie jak o nasz rozwój duchowy troszczono się też o nasz fizyczny dobrostan. Raz w miesiącu badał nas miejscowy weterynarz, a co pół roku każdy z nas był ważony, czy ma przepisową wagę. Nasza droga dyrektorka szczególnie kładła nam do głowy, żebyśmy zrezygnowali z ohydnego, bezwstydnego zwyczaju tańców przy księżycu. Wstyd powiedzieć, ale mimo to niektórzy bardziej dojrzali wychowankowie potajemnie w czasie pełni księżyca dopuszczali się tej zwierzęcej niegodziwości. Mam nadzieję, że nasza matczyna przyjaciółka nigdy się o tym nie dowiedziała. Złamałoby to jej wielkie, szlachetne i pełne miłości serce".

[przypis autorski]

53. *skończyło się na tym, że w każdym narodzie propagowano inny Język Uniwersalny* — Sławny filolog Curtius w dziele *Janua linguarum aperta* proponował między innymi, żeby jako jedyny język porozumiewania się Płazów zaadoptowano łacinę złotego wieku Wergiliusza. »Od nas zależy dzisiaj — wołał — czy łacina, ten język najdoskonalszy, najbogatszy w reguły gramatyczne i najlepiej opracowany pod względem naukowym, stanie się znów żywą i ogólnoświatową mową. Jeśli wykształcona ludzkość nie skorzysta z tej okazji, zróbcie to wy same, *Salamandrae, gens maritima*. Wybierzcie na wasz język ojczysty *eruditam linguam Latinam*, jedyny język godny tego, żeby nim mówił *orbis terrarum*. Nieśmiertelna będzie wasza zasługa, *Salamandrae*, jeśli wskrzesicie do nowego życia wieczny język bogów i herosów. Bowiem razem z tym językiem, *gens Tritonum*, przejmiecie kiedyś dziedzictwo panującego nad światem Rzymu«.

Natomiast pewien łotewski telegrafista imieniem Wolteras, razem z pastorem Mendeliusem wynaleźli i opracowali szczególny język dla Płazów, nazwany językiem pontyckim (*pontic lang*). Wykorzystali w tym celu elementy wszystkich języków świata, zwłaszcza narzeczy afrykańskich. Ów język pontycki rozszerzył się szczególnie w krajach północnych, niestety tylko wśród ludzi. W Uppsali powstała nawet katedra tego języka, ale spośród Płazów, o ile wiadomo, nie mówił tym językiem ani jeden. Prawdę powiedziawszy, najbardziej wśród Salamander przyjął się *Basic English*, który później stał się oficjalnym językiem Płazów. [przypis autorski]

54. *Nie wierzmy nikomu na świecie, nie mamy tam ni jednego przyjaciela* — Jest to początek wiersza *Nie wierzmy nikomu* z tomu *Jitřní písně* Josefa Svatopluka Čecha (1946). [przypis tłumacza]

55. *Język czeski dla Płazów (…)* — Por. felieton pióra Jaromíra Seidla-Novoměstskiego, zachowany w zbiorach Povondry.

Nasz przyjaciel na wyspach Galapagos

Odbywając z małżonką, poetką Jindřišą Seidlową-Chrudimską, podróż dookoła świata, aby czarem tylu nowych, potężnych wrażeń chociaż częściowo zagłuszyć ból po stracie naszej drogiej cioteczki, pisarki Bohumiły Jandovej-Strešovickiej, dostaliśmy się aż na osamotnione, wieloma legendami owiane wyspy Galapagos. Mieliśmy tylko dwie godziny czasu i przeznaczyliśmy je na spacer brzegiem tej opuszczonej wyspy.

— Spójrz, jak przepięknie zachodzi dzisiaj słońce — powiedziałem do mej małżonki. — Czyż nie wygląda to tak, jakby całe niebo tonęło w zalewie złota i krwi?

— Czy pan raczy być Czechem? — rozległo się znienacka za nami pytanie wypowiedziane poprawną i czystą czeszczyzną.

Spojrzeliśmy zdumieni w tamtym kierunku. Nie było tam nikogo poza dużym czarnym Płazem, siedzącym na skałach i trzymającym w rękach coś, co wyglądało jak książka. Podczas naszej podróży dookoła świata widzieliśmy już kilka Płazów, ale nie mieliśmy dotąd okazji wdać się z nimi w rozmowę. Dlatego łaskawy czytelnik zrozumie nasze zdziwienie, kiedy na wybrzeżu tak pustym spotkaliśmy Płaza, a ponadto usłyszeliśmy pytanie w naszym ojczystym języku.

— Kto to powiedział? — zawołałem po czesku.

— To ja się ośmieliłem, proszę pana — odparł szczerze Płaz, powstając. — Nie mogłem się powstrzymać, słysząc pierwszy raz w życiu czeską mowę.

— Jak to — zdumiałem się — pan zna czeski?!

— Właśnie zajmowałem się odmianą nieregularnego czasownika być — odrzekł Płaz. — Ten czasownik jest w istocie nieregularny we wszystkich językach.

— Jak, kiedy i dlaczego — nalegałem — nauczył się pan czeskiego?

— Przypadek dał mi do rąk tę książkę — odrzekł Płaz i podał mi książkę, którą trzymał w ręce; był to *Język czeski dla Płazów*, a jej kartki nosiły ślady częstego i pilnego użytkowania. — Dostała się tu wraz z innymi książkami o pouczającej treści. Miałem do wyboru *Geometrię dla wyższych klas szkoły średniej*, *Dzieje taktyki wojennej*, *Przewodnik po Dolomitach* albo *Zasady bimetalizmu*. Wybrałem jednak tę książkę, która stała się moim najmilszym przyjacielem. Znam ją już całą na pamięć, a jednak znajduję w niej wciąż nowe źródła zabawy i pouczeń.

Moja pani i ja okazaliśmy nieopisaną radość i podziw wobec jego poprawnej, zrozumiałej wymowy.

— Niestety, nie ma tu nikogo, z kim mógłbym rozmawiać po czesku — prawił skromnie nasz nowy przyjaciel — i nawet nie jestem pewien, piąty przypadek liczby mnogiej słowa *koń* brzmi *końmi* czy *koniami*.

— Końmi — powiedziałem.

— O, nie, koniami! — wykrzyknęła żywo moja pani.

— Czy byłby pan łaskaw powiedzieć mi — zapytał nasz miły rozmówca z zapałem — co nowego słychać w naszej mateczce o stu wieżach, w Pradze?

— Rośnie, przyjacielu — odparłem ucieszony jego zainteresowaniem i w kilku słowach opisałem mu rozkwit naszej złotej metropolii.

— Jakże radosne są to wieści — mówił Płaz z nieskrywanym zadowoleniem. — A czy wiszą jeszcze na Mostowej Wieży ucięte głowy straconych czeskich panów?

— Już dawno nie — odparłem, nieco (przyznam się) zdziwiony jego pytaniem.

— To zaiste szkoda — stwierdził sympatyczny Płaz. — Była to cenna pamiątka historyczna. Niech nam Pan Bóg wybaczy, że tyle wspaniałych zabytków ucierpiało w czasie wojny trzydziestoletniej. Jeśli się nie mylę, czeska kraina została wtedy zamieniona w pustynię zbroczoną krwią i łzami. Całe szczęście przynajmniej, że nie zginął wtedy dopełniacz negacji. W tej książce piszą, że ponoć jest na wymarciu. Byłoby mi go bardzo żal, proszę pana.

— Ujęła więc pana również nasza historia! — zawołałem radośnie.

— Zaiste, proszę pana — odrzekł Płaz. — Zwłaszcza klęska białogórska i trzystuletnia niewola. Czytałem o nich bardzo dużo w tej książce. Jesteście zapewne bardzo dumni ze swej trzystuletniej niewoli. Były to niezwykłe czasy, proszę pana.

— Tak, ciężkie czasy — przytaknąłem. — Czasy ucisku i smutku.

— A jęczeliście? — pytał skwapliwie nasz przyjaciel.

— Jęczeliśmy, cierpiąc niewypowiedzianie pod jarzmem okrutnych ciemiężców.

— To mnie cieszy — odetchnął Płaz. — W mojej książce tak właśnie piszą. Bardzo się cieszę, że to prawda. To doskonała książka, proszę pana, lepsza niż *Geometria dla wyższych klas szkoły średniej*. Chciałbym kiedyś stanąć na tym pamiętnym miejscu, gdzie zostali straceni czescy panowie, a także na innych sławnych miejscach okrutnego bezprawia.

— Powinien pan nas odwiedzić — zaproponowałem mu serdecznie.

— Dziękuję za to miłe zaproszenie — skłonił się Płaz. — Niestety, nie jestem tak dalece samodzielny w moich poczynaniach...

— My byśmy pana kupili! — zawołałem. — Chcę przez to powiedzieć, że być może moglibyśmy dzięki zbiórce narodowej zapewnić środki, które umożliwiłyby panu...

— Serdeczne dzięki! — mruknął nasz przyjaciel wyraźnie wzruszony. — Słyszałem jednak, że woda w Wełtawie jest niedobra. My bowiem chorujemy w rzecznej wodzie na nieprzyjemną dezynterię. — Po czym zamyślił się odrobinę i dodał: — Ciężko byłoby mi też opuścić mój miły ogródek.

— Ach — wykrzyknęła moja pani — ja też jestem zapaloną ogrodniczką! Jakże byłabym panu wdzięczna, gdyby mi pan pokazał okazy tutejszej flory!

— Z największą przyjemnością, droga pani — odparł Płaz, kłaniając się grzecznie. — Czy nie będzie pani przeszkadzało to, że mój ogródek znajduje się pod wodą?

— Pod wodą?

— Tak, dwadzieścia dwa metry pod wodą.

— A jakie kwiaty pan tam hoduje?

— Morskie sasanki — prawił nasz przyjaciel — w kilku rzadkich odmianach. Również morskie rozgwiazdy i morskie ogórki, nie licząc krzewów koralowych. „Szczęśliwy, kto hodował dla swej ojczyzny jedną różę, jeden szczep", jak powiada poeta [Tym poetą jest František Ladislav Čelakovský, a utwór, z którego pochodzi cytowany dwuwiersz, znajduje się w tomie *Růže stolistá* (1892); przyp. tłum.].

Z żalem musieliśmy się pożegnać, gdyż statek dawał już znak do odjazdu.

— A co by pan przekazał, panie... panie... — jąkałem się, nie wiedząc, jak nasz miły druh się nazywa.

— Nazywam się Boleslav Jablonský — Płaz nieśmiało uprzedził nasze pytanie. — Jest to według mnie ładne nazwisko. Wybrałem je z mojej książki [*Jablonský, Boleslav*, właśc. *Karel Tupý* (1813–1881) — czeski poeta romantyczny, ksiądz katolicki, orędownik zbliżenia czesko-polskiego; przyp. tłum.].

— Co by pan, panie Jablonský, chciał przekazać naszemu narodowi?

Płaz zamyślił się na chwilę.

— Powiedzcie swoim rodakom — odrzekł w końcu głęboko poruszony — powiedzcie im, żeby nie ulegli starym słowiańskim waśniom... i żeby chowali we wdzięcznej pamięci Lipany [*pod Lipanami* w 1434 r. miało miejsce starcie zbrojne pomiędzy katolicką i utrakwistyczną szlachtą czeską a taborytami, radykalnym odłamem husytów, uważane za jedną z ważniejszych bitew w dziejach Czech; przyp. tłum], a zwłaszcza Białą Górę [*Biała Góra*: miejsce największej klęski w historii Czech w bitwie pomiędzy siłami czeskich protestantów a wojskami katolickich Habsburgów, stoczona 8 listopada 1620 r.; przyp. tłum]! Czołem, moje uszanowanie — skończył nagle, starając się opanować emocje.

Odpływaliśmy łodzią zamyśleni i wzruszeni. Nasz przyjaciel stał na skale i machał nam ręką; zdawało nam się, że coś woła.

— Co on wołał? — spytała moja pani.

— Nie wiem — odparłem — ale brzmiało to jakby: proszę pozdrowić pana burmistrza Baxę [Baxa, Karel (1863–1938), czeski prawnik i polityk, był wielokrotnie wybierany na burmistrza Pragi i pełnił tę funkcję w latach 1919–1937; red. WL].

[przypis autorski]

56. *przeciwnicy wiwisekcji podpisali wiele protestów i petycji, aby zakazać przeprowadzania na żywych Płazach eksperymentów naukowych; w szeregu państw takie prawo faktycznie zostało wydane* — zwłaszcza w Niemczech wszelka wiwisekcja została surowo zakazana, ale tylko żydowskim naukowcom. [przypis autorski]

57. *miejsca pracy i toalety dla Płazów zostały otoczone wysokimi drewnianymi płotami, które chroniły Płazy (…), a przede wszystkim (…) oddzielały świat Salamander od świata ludzi* — Wydaje się, że chodziło tu także o pewne pobudki moralne. Wśród papierów Povondry znalazła się wielojęzyczna *Proklamacja*, opublikowana przypuszczalnie we wszystkich gazetach na świecie i podpisana przez samą księżną Huddersfield, gdzie napisano:

> „Liga Ochrony Płazów zwraca się przede wszystkim do was, kobiety, żebyście w interesie przyzwoitości i dobrych obyczajów przyczyniły się pracą swych rąk do wielkiej akcji, której celem jest zaopatrzenie Płazów w odpowiednią odzież. Najbardziej odpowiednia do tego jest sukienka o długości 40 cm, szeroka w pasie na 60 cm, najlepiej ze wszytą gumką. Zaleca się sukienkę złożoną w fałdy (plisowaną), która dobrze pasuje i umożliwia większą swobodę ruchów. Dla

krajów tropikalnych wystarczy fartuszek zawiązywany w pasie, wykonany z całkiem prostego materiału nadającego się do prania, ewentualnie z części waszych starszych ubrań. Pomóżcie tym biednym Płazom, żeby pracując w pobliżu ludzi, nie musiały pokazywać się bez jakiegokolwiek ubrania, co zapewne obraża ich poczucie wstydu i dotyka nieprzyjemnie każdego przyzwoitego człowieka, szczególnie każdej kobiety i matki".

[przypis autorski]

58. *na drodze prawnej zobowiązać same Płazy, żeby respektowały ludzki porządek prawny i kierowały się przepisami, które zostaną dla nich wydane* — Por. pierwszy proces Płazów, który toczył się w Durbanie i był szeroko komentowany w światowej prasie (zob. wycinki Povondry). Urząd pracy w A zatrudniał robotniczą kolumnę Płazów, które po pewnym czasie tak się rozmnożyły, że nie miały już w porcie dość miejsca, i kilka kolonii kijanek osiedliło się na pobliskim wybrzeżu. Właściciel ziemski, do którego należała ta część wybrzeża, domagał się, żeby urząd portowy eksmitował swe Salamandry z jego prywatnego terenu, ponieważ ma tam swoje kąpielisko. Urząd portowy odpowiadał, że to nie jego sprawa; skoro Płazy osiedliły się na terenie skarżącego, stały się jego prywatną własnością. Podczas gdy postępowanie to odpowiednio się przeciągało, Płazy zaczęły (wiedzione z jednej strony naturalnym instynktem, z drugiej zapałem do pracy, zaszczepionym im przez wychowanie) bez polecenia i pozwolenia budować tamy i zbiorniki portowe na wybrzeżu pana B. Wtedy pan B złożył skargę na urząd portowy w związku z uszkodzeniem jego mienia. W pierwszej instancji oskarżenie zostało odrzucone z uzasadnieniem, że majątek pana B nie został przez te tamy uszkodzony, lecz ulepszony. Druga instancja przyznała rację stronie skarżącej, uzasadniając, że nikt nie musi tolerować na swym terenie zwierząt hodowlanych sąsiada i że urząd portowy w A odpowiada za wszystkie szkody wyrządzone przez Płazy, tak jak wieśniak wynagradza szkody, które sąsiadom wyrządzi jego bydło. Strona oskarżana protestowała jednak, że nie może odpowiadać za Salamandry, ponieważ nie może ich zamknąć w morzu. Na to sędzia oświadczył, że według niego można na szkody wyrządzone przez Płazy spojrzeć podobnie jak na szkody wyrządzone przez kury, których też nie można zamknąć, gdyż potrafią latać. Przedstawiciel urzędu portowego zapytywał, w jaki sposób jego klient ma Płazy eksmitować albo skłonić do tego, by same opuściły prywatne wybrzeże pana B. Sędzia odpowiedział, że to nie jest sprawa sądu. Przedstawiciel urzędu portowego pytał, jak Wysoki Sąd zapatrywałby się na to, gdyby oskarżony urząd kazał wystrzelać te niepożądane Płazy. Na to sędzia odparł, że jako brytyjski dżentelmen uważałby to za skrajnie niewłaściwe postępowanie, a także za naruszenie prawa łowieckiego pana B. Strona oskarżona powinna więc po pierwsze usunąć Płazy z prywatnego terenu skarżącego, a po drugie usunąć szkody wyrządzone tam przez tamy i regulację brzegu, i to w taki sposób, by przywrócić ów kawałek wybrzeża do stanu pierwotnego. Przedstawiciel strony oskarżonej zadał następnie pytanie, czy do wyburzenia tam i likwidacji zbiorników mogą zostać użyte Salamandry. Sędzia odrzekł na to, że w jego ocenie w żadnym wypadku, chyba że zezwoli na to skarżący, którego małżonka brzydzi się Płazami i nie może się kąpać na brzegu skażonym przez Salamandry. Oskarżana strona oponowała, że bez pomocy Płazów nie może przecież usunąć tam zbudowanych pod powierzchnią morza. Na to sędzia oświadczył, że sąd nie chce i nie może decydować o szczegółach technicznych; sądy są tu po to, aby chronić prawo własności, a nie by oceniać, co jest wykonalne, a co nie.

W ten sposób cała sprawa została pod względem prawnym zakończona. Nie wiadomo, jak urząd portowy w A poradził sobie z tą trudną sytuacją, ale ten przypadek pokazał, że Problem Płazów trzeba będzie koniecznie uregulować także za pomocą nowych przepisów prawnych. [przypis autorski]

59. *Będziemy zapewne oczekiwać od Płazów, żeby w przypadku konfliktu wojennego broniły naszych wybrzeży, ale wówczas nie możemy pozbawiać ich pewnych praw obywatelskich, na przykład prawa wyborczego, prawa do zgromadzeń, reprezentacji (…)* — Niektórzy brali równouprawnienie Płazów tak dosłownie, że domagali się, żeby Salamandry mogły piastować wszelkie publiczne urzędy w wodzie i na ziemi (J. Courtaud) albo żeby stworzyć z nich w pełni uzbrojone podmorskie pułki z własnymi głębinowymi dowódcami (generał sił morskich Desfours), albo nawet żeby dozwolone były małżeństwa mieszane ludzi z Płazami (adwokat Louis Pierrot). Przyrodnicy oponowali wprawdzie, że takie małżeństwa w ogóle nie są możliwe, ale *maître* Pierrot oświadczył, że nie chodzi o biologiczną możliwość, lecz o zasadę prawną, i że sam jest gotów pojąć za żonę samicę Płaza, żeby udowodnić, iż wspomniana reforma prawa małżeńskiego nie pozostanie jedynie na papierze. (*Monsieur* Pierrot stał się potem wziętym adwokatem w sprawach rozwodowych).

(Nadmieńmy tu w luźnym związku, że zwłaszcza w prasie amerykańskiej od czasu do czasu pojawiała się informacja o dziewczynach, które ponoć podczas kąpieli zostały zgwałcone przez Płazy. Dlatego w Stanach Zjednoczonych mnożyły się przypadki, gdy Płazy były chwytane i linczowane, a głównie palone na stosie. Daremnie uczeni występowali przeciwko temu ludowemu zwyczajowi, twierdząc, że z przyczyn anatomicznych takie przestępstwo jest ze strony Salamander fizycznie niemożliwe. Wiele dziewcząt przysięgało, że były molestowane przez Płazy, dzięki czemu dla każdego porządnego Amerykanina sprawa była jasna. Potem cieszące się popularnością palenie Płazów zostało ograniczone przynajmniej przez to, że mogło się odbywać tylko w soboty i to pod dozorem strażaków. Wtedy też powstał Ruch Przeciwko Linczowaniu Płazów, na którego czele stał czarnoskóry wielebny Robert J. Washington i do którego zgłosiły się setki tysięcy ludzi, jednak bez wyjątku samych czarnoskórych. Amerykańska prasa zaczęła twierdzić, że ten ruch ma znamiona ruchu politycznego i wywrotowego. Dlatego dochodziło do napadów na dzielnice czarnoskórych i spalono wielu mieszkańców, którzy w swych kościołach modlili się za Braci Płazy. Niechęć wobec nich osiągnęła szczyt, gdy od podpalonego murzyńskiego kościoła w Gordonville zajęło się całe miasto. Ale to nie należy już bezpośrednio do historii Płazów.)

Spośród udogodnień i korzyści, które faktycznie stały się udziałem Płazów, wymieńmy przynajmniej niektóre: każda Salamandra miała swoją metrykę i była zarejestrowana w miejscu pracy; musiała mieć urzędowe pozwolenie na pobyt; musiała płacić podatek pogłówny, który odprowadzał za nią pracodawca i potrącał jej go

z wyżywienia (ponieważ Płazy nie dostawały wynagrodzenia w pieniądzach). Podobnie musiała płacić najemne za zamieszkiwany kawałek wybrzeża, powszechne narzuty, opłaty za postawienie drewnianego ogrodzenia, opłaty szkolne i inne obciążenia publiczne. Po prostu musimy lojalnie przyznać, że pod tym względem postępowano z nimi tak jak z innymi obywatelami, doświadczały więc jednak jakiegoś równouprawnienia. [przypis autorski]

60. *przychylność wobec Płazów może przejawiać się jedynie w tym, że będzie o nich pamiętać w specjalnej modlitwie (…)* — zob. encyklikę Ojca Świętego *Mirabilia Dei opera*. [przypis autorski]

61. *Rozważano też stworzenie dla Płazów (…) podstawowego i uproszczonego nauczania chrześcijańskiego (…)* — literatura przedmiotu była w tym przypadku tak bogata, że sama jej bibliografia zajęłaby pokaźne dwa tomy. [przypis autorski]

62. *monizm* (filoz.) — kierunek filozoficzny uznający (w przeciwieństwie do dualizmu), że natura całej rzeczywistości jest jednorodna, istnieje tylko jeden byt, który dopiero sztucznie można dzielić na wiele innych. [przypis edytorski]

63. *niemal z dnia na dzień powstało mnóstwo tajnych świątyń tego kultu* — Zob. w papierach Povondry pornograficzną broszurkę, która podobno została przedrukowana z policyjnych raportów w B***. Informacji zawartych w tym „prywatnym egzemplarzu, wydanym dla celów naukowych" nie można w przyzwoitej książce cytować. Przytaczamy tylko niektóre szczegóły:

> „Świątynia kultu Salamander, znajdująca się na ulicy ***, pod numerem ***, skrywa w swym wnętrzu duży basen, wyłożony ciemnoczerwonym marmurem. Woda w basenie jest perfumowana wonnymi esencjami, ogrzewana i iluminowana od spodu ciągle zmieniającymi się kolorowymi światłami; poza tym w świątyni panuje ciemność. Przy śpiewie litanii Płazów wchodzą do tęczowego basenu po marmurowych stopniach niczym nieprzyodziani wierzący — z jednej strony mężczyźni, z drugiej kobiety, na ogół z wyższych sfer. Wspomnijmy choćby baronową M., aktora filmowego S., ambasadora D. i wiele innych znacznych osobistości. Nagle niebieski reflektor rozświetla ogromną marmurową skałę, wystającą z wody, na której leży i ciężko oddycha wielki, stary, czarny Płaz, zwany Mistrzem Salamandrem. Po chwili milczenia Mistrz zaczyna mówić. Wzywa wierzących, żeby w pełni i z całej duszy oddali się następującym obrzędom tańca Płazów i uczcili Wielkiego Salamandra. Po czym wstaje i zaczyna kołysać się i kręcić górną połową ciała. Wówczas wierzący płci męskiej także zaczynają szaleńczo, coraz szybciej kołysać się i kręcić, ponoć po to, żeby wytworzyło się Środowisko Seksualne. Tymczasem Salamandry wydają z siebie ostre »ts-ts-ts« i skrzekliwe odgłosy. Potem pod wodą gaśnie jedno światło za drugim i rozpętuje się ogólna orgia".

Nie możemy wprawdzie ręczyć za ten opis, ale pewne jest, że we wszystkich większych miastach Europy policja z jednej strony ostro prześladowała te sekty, z drugiej zaś miała mnóstwo pracy z tłumieniem ogromnych społecznych skandali z tym związanych. Sądzimy jednak, że kult Wielkiego Salamandra był wprawdzie niezwykle popularny, ale widowiskowość jego oprawy na ogół nie była taka bajkowa, a w biedniejszych warstwach w ogóle jej nie było. [przypis autorski]

64. *chrześcijańskie sekty, które próbowały ochrzcić Płazy, powołując się na słowa Pisma: „Idźcie na cały świat i nauczajcie wszystkie narody". W tym kontekście po raz pierwszy wypowiedziano, że Płazy są jakby narodem* — także wspomniana już katolicka modlitwa w intencji Płazów nazwana była *Dei creatura de gente Molche*: „Boże stworzenia narodu Płazów". [przypis autorski]

65. *oświadczenie Międzynarodówki Komunistycznej, podpisane przez towarzysza Molokowa i skierowane „do wszystkich uciskanych i rewolucyjnych Płazów całego świata"* — Oświadczenie, zachowane w papierach Povondry, brzmiało:

> Towarzysze Płazy!
> Ustrój kapitalistyczny znalazł sobie ostatnią ofiarę. Gdy jego tyrania zaczęła się definitywnie rozbijać o rewolucyjny rozmach klasowo uświadomionego proletariatu, zgniły kapitalizm zaprzągł na swe usługi was, Robotnicy Morza, zniewolił was duchowo swą burżuazyjną cywilizacją, podporządkował was swym klasowym prawom, pozbawił was jakiejkolwiek swobody i uczynił wszystko, aby was móc bezkarnie i brutalnie wykorzystywać
> (14 wersów usunięto)
> Pracujące Płazy! Nadchodzi chwila, gdy zaczniecie uświadamiać sobie cały ciężar niewolnictwa, w którym żyjecie
> (7 wersów usunięto)
> i domagać się swych praw jako klasa i jako naród!
> Towarzysze Płazy! Rewolucyjny proletariat całego świata podaje wam rękę
> (11 wersów usunięto)
> wszystkimi środkami. Zakładajcie związki zawodowe, wybierajcie mężów zaufania, zakładajcie fundusze strajkowe! Liczcie się z tym, że uświadomiona klasa robotnicza nie opuści was w waszej sprawiedliwej walce i ręka w rękę z wami przypuści ostatni atak
> (9 wersów usunięto)
> Uciskane i rewolucyjne Płazy całego świata łączcie się! Ostatni bój już nadchodzi!
> Podpisano: Molokov.

[przypis autorski]

66. *Salamandry zostały wprost zalane płomiennymi wezwaniami z rozmaitych stron, aby jako całość przyłączyły się do tego czy innego ideowego, politycznego albo społecznego programu ludzkiej społeczności* — W zbiorach Povondry znaleźliśmy tylko kilka takich proklamacji; pozostałe prawdopodobnie spaliła z czasem pani Povondrowa. Z zachowanych materiałów przytaczamy przynajmniej niektóre tytuły.

Płazy, odrzućcie broń! (Manifest pacyfistyczny)

Molche, wirft Juden heraus! (Niemiecka ulotka)

Towarzysze Płazy! (Proklamacja grupy anarchistów spod znaku Bakunina)

Koledzy Płazy! (Publiczna odezwa wodnych skautów)

Przyjaciele Płazy! (Otwarty adres Centrali towarzystw akwarystycznych i hodowców zwierząt wodnych)

Płazy, przyjaciele! (Odezwa Towarzystwa Odrodzenia Moralnego)

Obywatele Płazy! (Odezwa Reformatorskiej Frakcji Obywatelskiej w Dieppe)

Koledzy Płazy, wstąpcie w nasze szeregi! (Towarzystwo Pomocy Byłym Marynarzom)

Koledzy Płazy! (Klub Pływacki „Aegir")

Szczególnie ważne (jeśli wolno nam tak sądzić na podstawie tego, że ją Povondra starannie podkleił) była chyba proklamacja, którą cytujemy w pełnym oryginalnym brzmieniu:

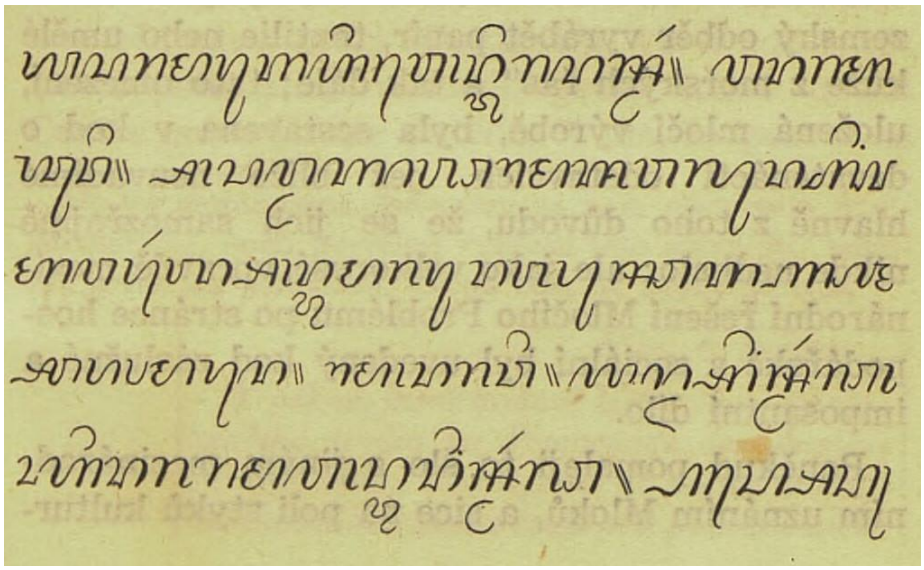

[przypis autorski]

67. *Centre Universitaire de Nice, (…) uroczysty wykład doktora Charlesa Merciera, niezwykle uczonego Płaza z portu w Tulonie, (…) na temat teorii krzywej stożkowej w geometrii nieeuklidesowej* — W zbiorach Povondry zachowało się felietonistyczne, dosyć powierzchowne opisanie tej uroczystości, w dodatku tylko połowiczne, jako że druga część gdzieś się zapodziała.

> *Nicea, 6 maja*
>
> W pięknym, jasnym budynku Instytutu Studiów Śródziemnomorskich na Promenade des Anglais panuje dziś ożywienie. Dwaj *agents de police* utrzymują na chodniku przejście dla zaproszonych osobistości, które kroczą po czerwonym dywanie do urokliwego, przyjemnie chłodnego amfiteatru. Widzimy uśmiechniętego mera Nicei, prefekta w cylindrze, generała w błękitnym mundurze, panów z czerwoną baretką Legii Honorowej, damy w dojrzałym wieku (dominuje modna w tym roku terakota), wiceadmirałów, dziennikarzy, profesorów i dostojnych staruszków wszelkich nacji, których na Côte d'Azur jest zawsze pełno. Nagle drobny incydent: pomiędzy tą całą elitą nieśmiało i niepostrzeżenie stara się prześliznąć dziwne stworzonko. Jest od głowy do ziemi zakryte jakąś długą czarną peleryną lub dominem, na oczach ma ogromne czarne okulary i pospiesznie, niepewnie podąża do przepełnionego westybulu. „*Hé, vous*! — krzyknął jeden ze strażników. — *Qu'est-ce que vous cherchez ici*? [*Hé, vous (…) cherchez ici?* (fr.) — Halo, czego pan/pani tu szuka?; przyp. tłum.]" Ale w tym momencie do wystraszonego przybysza podchodzą uniwersyteccy dostojnicy i *cher docteur* tu, *cher docteur* tam. A więc to jest doktor Charles Mercier, uczony Płaz, który dziś ma wygłosić wykład przed śmietanką Lazurowego Wybrzeża! Szybko do środka, żebyśmy jeszcze upolowali miejsce w uroczyście podekscytowanym audytorium!

Na podium zasiada *Monsieur le Maire*, *Monsieur* Paul Mallory, wielki poeta, Mme Maria Dimineanu jako delegatka Międzynarodowego Instytutu Współpracy Intelektualnej, rektor Instytutu Studiów Śródziemnomorskich i inne oficjalne osobistości. Z boku podium jest pulpit dla wykładowcy, a za nim... ależ tak, to prawdziwa blaszana wanna! Zwyczajna blaszana wanna, jakie bywają w łazienkach. Dwaj funkcjonariusze wprowadzają na podium nieśmiałe stworzenie zakryte długą kapą. Rozlegają się oklaski, w których daje się odczuć zakłopotanie publiczności. Doktor Charles Mercier kłania się wstydliwie i rozgląda się niepewnie, gdzie ma usiąść. „*Voila, Monsieur* — szepcze jeden z funkcjonariuszy i wskazuje blaszaną wannę. — To dla pana". Doktor Mercier ewidentnie bardzo się wstydzi, nie wie, jak odwrócić od siebie uwagę. Usiłuje w miarę możliwości dyskretnie zająć miejsce w wannie, ale zaplątuje się w długą pelerynę i z głośnym pluskiem wpada do wanny, opryskując przy tym obficie panów na podium, którzy jednak udają, że nic się nie stało. W audytorium ktoś zaśmiał się histerycznie, ale panowie z pierwszych rzędów oglądają się karcąco i syczą „psst"! W tej chwili powstaje *Monsieur le Maire et Depute* i prosi o głos.

— Panie i panowie — mówi — mam zaszczyt powitać na terenie pięknego miasta Nicea doktora Charlesa Merciera, wybitnego przedstawiciela życia naukowego naszych bliskich sąsiadów, mieszkańców morskich głębin. (*Doktor Mercier wynurza się do połowy ciała z wody i kłania się głęboko*). Po raz pierwszy w dziejach cywilizacji morze i ziemia podają sobie ręce na gruncie współpracy intelektualnej. Dotychczas życie duchowe napotykało nieprzekraczalną granicę: były nią oceany. Mogliśmy je przebyć, mogliśmy po nich pływać naszymi statkami we wszystkich kierunkach, ale pod ich powierzchnię, panie i panowie, cywilizacja nie mogła przeniknąć. Ten mały kawałek lądu, na którym żyje ludzkość, był aż dotąd otoczony morzem dziewiczym i dzikim. Były to wspaniałe ramy, ale była to także odwieczna granica: z jednej strony krocząca cywilizacja, z drugiej zaś wieczna i niezmienna przyroda. Ta granica, moi drodzy słuchacze, zostaje teraz przekroczona. (*Oklaski*) My, dzieci tej wielkiej doby, mamy to niezwykłe szczęście, iż jesteśmy naocznymi świadkami tego, jak rośnie nasza duchowa ojczyzna, jak przekracza własne brzegi, zstępuje do morskich odmętów, dociera do głębin i przyłącza do starej, wykształconej ziemi ocean nowoczesny i cywilizowany. Jakież to wspaniałe widowisko! (*Brawo!*) Panie i panowie, dopiero dzięki narodzinom kultury oceanicznej, której wybitnego przedstawiciela mamy zaszczyt powitać dziś wśród nas, nasza planeta stała się planetą naprawdę i w całości cywilizowaną. (*Entuzjastyczna owacja. Doktor Mercier wstaje w wannie i kłania się*).

— Drogi doktorze i wielki naukowcu — zwrócił się następnie *Monsieur le Maire et Député* do doktora Merciera, który opierał się o brzeg wanny, z przejęciem i ciężko poruszając skrzelami — zechce pan przekazać swym krajanom i przyjaciołom na dnie morza nasze gratulacje, nasz podziw i wyrazy naszej najgorętszej sympatii. Proszę im powiedzieć, że w was, naszych morskich sąsiadach, pozdrawiamy awangardę postępu, która będzie krok po kroku kolonizować bezkresne obszary morskie i na dnie oceanu założy nowy kulturalny świat. Widzę już, jak w morskich głębinach wyrastają nowe Ateny i nowy Rzym. Widzę tam rozkwitający nowy Paryż z podmorskim Luwrem i Sorboną, z podmorskim Łukiem Triumfalnym i Grobem Nieznanego Żołnierza, z teatrami i bulwarami. I pozwólcie mi wyrazić także mą najtajniejszą myśl: mam nadzieję, że naprzeciw naszej drogiej Nicei wyrośnie w błękitnych falach śródziemnomorskich nowa sławna Nicea, *wasza* Nicea, która będzie swymi wspaniałymi alejami, sadami i promenadami obrębiać nasze Lazurowe Wybrzeże. Chcemy was poznać i chcemy, żebyście wy poznali nas. Osobiście jestem przekonany, że bliższe kontakty naukowe i społeczne, które dziś pod tak szczęśliwymi auspicjami inaugurujemy, poprowadzą nasze narody do coraz bliższej współpracy kulturalnej i politycznej w interesie całej ludzkości, w interesie światowego pokoju, dobrobytu i postępu. (*Długotrwała owacja*).

Teraz powstaje doktor Charles Mercier i stara się w kilku słowach podziękować panu merowi i deputowanemu nicejskiemu, ale po pierwsze jest nazbyt wzruszony, a po drugie ma dość szczególną wymowę. Z jego przemówienia wychwyciłem jedynie kilka z trudem wypowiedzianych słów; o ile się nie mylę, było to: „bardzo zaszczycony", „kontakty kulturalne" i „Victor Hugo". Po czym wyraźnie stremowany uczony z powrotem schował się w wannie.

Głos zabiera Paul Mallory. To, co wygłasza, nie jest mową, lecz poetyckim hymnem przesiąkniętym głęboką filozofią.

— Dziękuję losowi — powiada — że dożyłem spełnienia się i potwierdzenia jednego z najpiękniejszych mitów całej ludzkości. Jest to potwierdzenie i spełnienie przedziwne: zamiast mitycznej zatopionej Atlantydy widzimy z zachwytem nową Atlantydę, która się z głębin wynurza. Drogi kolego Mercier, pan, będący poetą geometrii przestrzennej, i pańscy uczeni przyjaciele, jesteście pierwszymi wysłannikami tego nowego świata, który wyłania się z morza. Nie zrodzona z piany Afrodyta, ale Pallas Anadiomene. Jednak o wiele dziwniejsze i bez porównania bardziej tajemnicze jest to, że do tego... (brakuje zakończenia).

[przypis autorski]

68. *Pauvre petit, il est tellement laid!* (fr.) — Biedne maleństwo, jest taki brzydki! [przypis tłumacza]

69. *pelagial* (z gr. *pélagos*: morze) — toń wodna; wody otwarte mórz, oceanów i jezior; *pelagial nerytyczny* (tzw. nerytopelagial a. epipelagial) to górna warstwa wód stykających się z wodami przybrzeżnymi, do której dociera światło (głębsza strefa ciemnych wód ponad stokiem kontynentalnym nosi nazwę batypelagial, najgłębsza to abisal). [przypis edytorski]

70. *Komisja do Badania Problemu Płazów, do której zostaną zaproszeni również dwaj delegaci Płazy (…). W ten sposób Płazy osiągnęły najwyższe w owym czasie międzynarodowe uznanie swego istnienia* — W papierach Povondry zachowało się trochę niewyraźne zdjęcie z gazety, na którym obaj delegaci Płazów wychodzą po schodkach z Jeziora Genewskiego na Quai du Mont Blanc, żeby wyruszyć na posiedzenie Komisji. Wydaje się więc, że byli oficjalnie zakwaterowani w samym Lac Léman.

    Co się tyczy genewskiej Komisji do Badania Problemu Płazów, wykonała ona ogromną i pożyteczną pracę głównie przez to, że starannie wystrzegała się wszystkich drażliwych problemów politycznych i ekonomicznych. Zasiadała permanentnie przez wiele lat i odbyła ponad tysiąc trzysta posiedzeń, na których pilnie debatowano o międzynarodowym ujednoliceniu nazewnictwa dla Płazów. W tym względzie panował bowiem okropny chaos. Oprócz naukowych nazw takich jak Salamandra, Molche, Batrachus i tym podobne (które to określenia zaczęły być odbierane jako niegrzeczne), proponowano całe mnóstwo innych. Płazy miano nazywać Trytonami, Neptunidami, Tetydami, Nereidami, Atlantami, Oceanikami, Posejdonami, Lemurami, Pelagami, Litoralami, Pontykami, Batydami, Abyssami, Hydrionami, Żandemerami (*Gens de Mer* [fr.: „Ludzie Morza"; red. WL]), Sumarynami i tak dalej. Komisja do Badania Problemu Płazów miała z tych wszystkich nazw wybrać najodpowiedniejszą i zajmowała się tym gorliwie i sumiennie aż do samego końca Wieku Płazów, jednak nie doszła do ostatecznej i jednomyślnej konkluzji. [przypis autorski]

71. *spór ideowy pomiędzy „staropłazami" i „młodopłazami"* — Jest to prawdopodobnie aluzja do sporu staroczechów (nieoficjalna nazwa członków czeskiej partii liberalno-konserwatywnej, działającej w latach ok. 1860–1918) z młodoczechami, czyli członkami partii liberalno-demokratycznej, działającej mniej więcej w tym samym okresie. [przypis tłumacza]

72. *Tymczasem „staropłazy", jak się zdaje, obstawały konserwatywnie przy naturze i nie chciały zrezygnować ze starych, dobrych, zwierzęcych przyzwyczajeń i instynktów (…) pytały, czy to małpowanie ludzi przystoi dumnym i znającym swoją wartość Płazom* — Povondra włączył do swych zbiorów także dwa albo trzy artykuły z „Národní politiky", które dotyczyły dzisiejszej młodzieży; prawdopodobnie tylko przez niedopatrzenie przypisał je do tego okresu cywilizacji Płazów. [przypis autorski]

73. *Płazy (…) [m]ają swoje podmorskie i podziemne miasta, głębinowe metropolie (…) mają swój mniej lub bardziej nieznany, ale (…) technicznie bardzo zaawansowany świat* — Pewien pan z Dejvic opowiadał Povondrze, że kąpał się na plaży w Katwijk aan Zee. Wypłynął daleko w morze, tak że ratownik wołał do niego, żeby wrócił. Rzeczony pan (niejaki komisarz Příhoda) gwizdał na to. Ratownik wskoczył do łodzi i popłynął za nim.

    — Panie — powiedział do niego — tu się nie wolno kąpać!

    — Czemu nie? — zapytał komisarz Příhoda.

    — Tu są Płazy.

    — Ja się ich nie boję — oponował Příhoda.

    — One tu mają pod wodą jakieś fabryki czy coś — mruknął ratownik. — Tu się nikt nie kąpie, proszę pana.

    — Ale czemu nie?

    — Płazy tego nie lubią. [przypis autorski]

74. *japoński projekt, żeby nad Płazami (z natury czarnymi) sprawował międzynarodowy mandat naród japoński jako przedstawiciel ras kolorowych* — Ten pomysł wiązał się prawdopodobnie z silną polityczną propagandą, której niezwykle istotny dokument mamy w rękach, dzięki zbierackiej pasji Povondry. Dokument ów brzmi dosłownie: [przypis autorski]

75. *Der Nordmolch, der Edelmolch* (niem.) — płaz północny, płaz szlachetny. [przypis tłumacza]

76. *Drake, Francis* (ok. 1540–1596) — angielski korsarz, podniesiony przez królową Elżbietę do godności szlachcica i rangi admirała, największy żeglarz swoich czasów. [przypis tłumacza]

77. *Sade, Donatien Alphonse François de* (1740–1814) — słynny francuski libertyn, w rzeczywistości nie był publicystą, lecz pisarzem, autorem powieści, nowel, dramatów, poematów i in. [przypis tłumacza]

78. *kombatant* (daw.) — wojownik, żołnierz. [przypis edytorski]

79. *Bank of England* (ang.) — wybrzeże Anglii. [przypis edytorski]

80. *Solche Erfolche erreichen deutsche Molche* (niem.) — Takie osiągnięcia mają tylko niemieckie Płazy. [przypis tłumacza]

81. *Untergang der Menscheit* (niem.) — Upadek ludzkości. [przypis tłumacza]

82. *Halo, halo! Chief Salamander speaking. (…) Stop your broadcasting! Halo, Chief Salamander speaking* (ang.) — Halo, halo! Mówi Chief Salamander. Halo, mówi Chief Salamander! Wstrzymajcie wszelkie nadawanie, ludzie! Wstrzymajcie wasze nadawanie! Halo, mówi Chief Salamander! [przypis tłumacza]

83. *Ready? Ready.* (ang.) — Gotowe? Gotowe. [przypis tłumacza]

84. *Attention! (…) Now!* (ang.) — Uwaga! Uwaga! Uwaga!... Halo!... Teraz! [przypis tłumacza]

85. *Chief Salamander speaking! Halo, Chief Salamander is going to speak!* (ang.) — mówi Chief Salamander [„naczelna salamandra" a. szef Salamander], Chief Salamander ma zamiar przemówić. [przypis edytorski]

86. *John Bull* (ang.) — Jan Byk, karykaturalne ucieleśnienie Anglii i Wielkiej Brytanii, w postaci tęgiego, porywczego i gburowatego Anglika [przypis tłumacza]

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.
Ten utwór jest udostępniony na licencji Licencja Wolnej Sztuki 1.3.
Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.
Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/capek-inwazja-jaszczurow/

Tekst opracowany na podstawie: Karel Čapek, Inwazja jaszczurów, tłum. Jacek Illg, wyd. I, Fundacja Nowoczesna Polska, Warszawa 2021.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja wydana w ramach biblioteki Wolne Lektury (www.wolnelektury.pl).

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopeć-Gryz, Aleksandra Sekuła, Paulina Choromańska.

ISBN 978-83-288-6328-6

Wesprzyj Wolne Lektury!
Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.
Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?
Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.
Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.
Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.